

MARY
STEWART
SZKOŁA JEŹDZIECKA

Przełożył
WITOLD NOWAKOWSKI

Od autorki

Jest tylko jedna Hiszpańska Szkoła Jazdy, a zatem każda powieść o białych lipicanach z Wiednia musi wspomnieć i o niej. Chcę podkreślić, że wydarzenia opisane w tej książce są całkowitą fikcją. Jestem głęboko wdzięczna, że dyrektor Hiszpańskiej Szkoły Jazdy, pułkownik Alois Podhajsky, zezwolił mi łaskawie na użycie nazwy szkoły, a nawet własnego nazwiska. Dziękuję też doktorowi H. Lernerowi za opiekę i pomoc podczas mojej wizyty w podlegającej mu Państwowej Stadninie Koni Lipickich w Pibrze. Na koniec, lecz nie mniej szczerze, dziękuję państwu Prachnerom z Karntnerstrasse w Wiedniu, którzy nie szczędzili trudów, aby każdy mój pobyt w Austrii okazał się w pełni udany.

M.S.

ROZDZIAŁ I

Nawet nie wypila herbaty bez ukrytej myśli.

Edward Young: „Miłość do sławy”

Carmel Lacy jest najgłupszą ze znanych mi kobiet — a i to za mało powiedziane. W tamten deszczowy czwartek spotkałyśmy się u Harrodsa jedynie dlatego, że miałam serdecznie dosyć jej błagań, a poza tym byłam tak przygnębiona, iż zgodziłabym się na wszystko, byle tylko nie siedzieć sama w czterech ścianach pokoju, który wciąż jeszcze rozbrzmiewał echem mojej ostatniej sprzeczki z Lewisem. Nie pomagała mi nawet świadomość, że miałam całkowitą rację, a Lewis — jak zwykle — wściekał się i upierał bez wyraźnego powodu. Teraz on był w Sztokholmie, a ja tkwiłam w Londynie w czasie, kiedy oboje mieliśmy się opalać na włoskiej plaży, na pierwszym wspólnym urlopie od dwóch lat, jakie minęły od naszego ślubu. Na domiar złego bez przerwy lało. „Guardian” podawał pogodę we wszystkich częściach Europy, więc z ciekawości zerknęłam na Sztokholm. Dzień w dzień słońce, temperatura w granicach siedemnastu stopni. To dopełniło miary. Obojętnie przyjąłam wiadomość, że w południowych Włoszech od dawna nie notowano w sierpniu tak deszczowej aury, i pogrążona w smutku rozpamiętywałam grzechy Lewisa.

— Co się tak marszczysz? — spytała Carmel Lacy.

— Ja? Serio? Wybacz, to ta pogoda i wszystko tak mnie rozstraja... Nie chodziło o ciebie. Wybrałaś coś w końcu?

— Jeszcze nie. Zawsze mam z tym potworny kłopot... — zamruczała niezbyt zdecydowanie, wodząc ręką nad paterą z ciastkami, gdzieś między merengą i ekierką. — Przecież wiesz, że mi nic nie zostawią. Jak będziesz się zastanawiać choć chwilę dłużej, bez wątpienia znajdzie się jakiś klient, który sprzątnie ci sprzed nosa to, co wybierzesz.

Zdecydowała się na ekierkę. Gdyby zwlekała jeszcze parę minut, byłaby mocno nieszczęśliwa — pomyślałam bez cienia złośliwości. Carmel Lacy prezentowała ów szczególny typ dość ładnej pulchnej blondynki, której wygląd w dużej mierze zależał od jasnych włosów, zachowujących tę samą barwę aż do wczesnej starości, kiedy to, przyprószone siwizną, tworzą nowy kanon urody.

Carmel — której włosy, jak dotąd, uparcie połyskiwały odcieniem złota — chodziła z moją mamą do jednej klasy. W latach szkolnych z pewnością mogła się podobać, a miękkość rysów zapewniała jej powodzenie u chłopców. Nie bez kozery przezywano ją „Karmelkiem”. Nie była bliską przyjaciółką mamy, lecz na ogół razem spędzały wakacje, gdyż ich rodziny łączyła zbieżność interesów. Ojciec Carmel hodował konie wyścigowe, a mój dziadek, emerytowany weterynarz, był — można powiedzieć — „lekarzem na zawołanie”. Drogi obu dziewcząt rozeszły się wraz z końcem szkoły. Mama wyszła za asystenta dziadka i została w Cheshire, Carmel zaś wyjechała do Londynu, gdzie znalazła „sensowną” partię w postaci statecznego bankiera. Bankier, przystojny i w kwiecie wieku, sprawiał wrażenie człowieka zamożnego. Jeden z tych, co po czterdziestce zasiadają za kierownicą jaguara, a trójkę starannie wychowanych dzieci wysyłają do równie starannie wybranego, lecz odległego gimnazjum. Niestety, w tym przypadku małżeństwo zakończyło się fiaskiem. Carmel, choć wyglądała na idealną matkę

i żonę, okazywała taką zaborczość, że jej rodzina zaczęła z wolna tonąć w ciepłej melasie. Najstarsza córka uciekła pierwsza, zawiadomiwszy buntowniczo, że znalazła pracę w Kanadzie. Druga zerwała więzy w dziewiętnastym roku życia i bez namysłu pojechała za mężem, lotnikiem RAF-u, na Maltę. Potem przyszła kolej na męża, który przed rozstaniem dał dość kłopotliwych dowodów, żeby usprawiedliwić rozwód. Został tylko najmłodszy syn Timothy: bystry, ruchliwy, ale często popadający w uporczywe milczenie, co było całkiem zrozumiałe u dziecka cierpiącego na nadmiar matczynej miłości. Pamiętałam go jak przez mgłę z wizyt, które czasem składał w stajniach dziadka.

Carmel, oplotkowawszy wcześniej (o ile zdołałam za nią nadążyć) swoją krawcową, lekarza, obecnego towarzysza życia, ojca, moją mamę i — Bóg wie czemu — kierownika poczty, utyskiwała właśnie nad losem syna. Przy okazji wchłonęła jeszcze dwa ciastka...

— ...prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, co robić. To trudne dziecko. Ciągle mnie denerwuje. Doktor Schwapp stwierdził nie dalej jak wczoraj...

— Timmy sprawia kłopoty?

— Właśnie. Wdał się w ojca, a prawdę mówiąc, ostatni problem powstał także za przyczyną tatusia. Nie uważasz, że mój eks-małżonek, zwłaszcza po ostatnich wyczynach, mógłby na dobre zniknąć z naszego życia?

— Upomniał się o syna?

— Ależ kochanie, w tym właśnie cała sprawa! Aż mną zatrzęśło, kiedy się dowiedziałam. Wyobraź sobie, że już przedtem pisywał do Tima, i to dość regularnie, a teraz zażądał spotkania.

— Przecież... eee... siedzi za granicą — mruknęłam, żeby coś powiedzieć.

— Graham? Tak. Mieszka w Wiedniu. Nie koresponduje z nim. — Jak na Carmel był to zadziwiający popis zwięzłości.

— I od rozwodu nie widział Tima? — zapytałam. — Wy-

bacz, ciociu, ale nie znam postanowień sądu — dodałam niezręcznie.

— Na litość boską, nie mów do mnie w ten sposób, bo się czuję jak stuletnia baba! — zapiała z nieklamany oburzeniem, na krótką chwilę zapominając o wszelkich innych sprawach. — Co to znaczy: „nie znam postanowień sądu”? Wszyscy znają. Mama nie mówiła ci na bieżąco o szczegółach?

— Nie było mnie wówczas w domu — odpowiedziałam chłodniej, niż leżało to w moich zamiarach. — Nie wróciłam jeszcze z Edynburga.

— Graham zachował prawa rodzicielskie, jeśli to właśnie rozumiesz przez „postanowienia”. Zaraz potem wyjechał i Tim nie miał okazji go widzieć. Nie wiedziałam o listach... A teraz to! — trajkotała podniesionym głosem, błyskając niebieskimi oczami, chociaż w jej zachowaniu więcej było egzaltacji niż gniewu. — Mówię ci, Timmy wprost mnie zastrzelił tą wiadomością. Chłopcy są beznadziejni... I pomyśleć, po wszystkim, co dla niego zrobiłam... Byłam mu matką i ojcem, a on tak bez słowa... Uwierzyłybyś w to, Vanesso? Uwierzyła?

Zawahałam się.

— Wybacz, ale moim zdaniem... to całkiem normalny objaw — powiedziałam łagodnie. — Przecież Timothy nigdy nie wojował z ojcem i nie zasłużył na rozłąkę. Nie możesz go potępiać za to, że od czasu do czasu potrzebuje ojca. Rzecz jasna, nie powinnam się wtrącać, ale skoro pytasz...

— Dlaczego mi nie powiedział?! Po co te tajemnice? Nie musiał niczego ukrywać przed matką... — Zająknęła się. — Mocno mnie ubódl, Vanesso. O, tutaj.

Chciała przycisnąć dłoń do serca, gdzieś nad wydatnym zarysem lewej piersi, lecz po chwili cofnęła rękę i nalała sobie kolejną filiżankę herbaty.

— Wiesz, co powiada Biblia o niewdzięcznych dzieciach? „Gorszy niż pazur nie nazwanej bestii...” albo coś w tym

rodzaju. Mówię ci jako matka, że to naprawdę boli! Gorzej niż zadrapanie jakimś tam pazurem... Zresztą, co możesz wiedzieć o tego rodzaju sprawach...

Dźwięcząca w jej słowach dramatyczna nuta kazała mi natychmiast zapomnieć o współczuciu i stanowczo stanąć po stronie Tima. Nadal jednak nie znałam swojej prawdziwej roli. Carmel bez wątpienia nie błagałaby mnie o spotkanie, gdyby chodziło o zwykłą pogawędkę. Planowała rozgrywkę niczym wytrawny brydżysta. W dodatku podkreślała, że nie oczekuje współczucia czy zrozumienia od kogoś w moim wieku.

— Przepraszam. Wiem, że ci bardzo przykro, ale staram się na to spojrzeć od strony Tima. Chyba już od dawna marzył o wakacjach za granicą. Każdy chłopak jego pokroju byłby zachwycony perspektywą wyjazdu do Austrii. Boże, gdybym ja w dzieciństwie miała krewnych poza Anglią, zamęczałabym ich bez przerwy prośbą o zaproszenie. Jeśli Graham naprawdę chce go widzieć...

— Nawet przysłał pieniądze. Bez żadnego porozumienia ze mną. Widzisz? Jakbym i bez tego nie miała dość kłopotów z tym, żeby zatrzymać pisklęta w gnieździe.

Z trudem zapanowałam nad sobą, by nie parsknąć śmiechem.

— Spróbuj po prostu go puścić. To podobno najlepszy sposób, by na pewno wrócił. Wiem, co czujesz. Naprawdę. Ale mama twierdziła zawsze, że jeśli na siłę trzyma się dzieci przy sobie, uciekają przy pierwszej okazji.

Zaraz pożałowałam tych słów. Myślałam tylko o Timie i trochę o tym, jak tu znaleźć w miarę rozsądne wyjście z sytuacji. Najlepiej takie, aby nikt z zainteresowanych nie doznał dotkliwej krzywdy. Teraz jednak, wspomniawszy słowa mamy, poczułam, że posunęłam się za daleko. Ale nie musiałam się martwić. Ludzie pokroju Carmel są obojętni na krytykę, gdyż we własnym mniemaniu nie popełniają błędów. Ona także nie dostrzegała żadnych

powiązań z potrójnym dramatem, który stał się jej udziałem, bo nic nie skłaniało jej do przekonania, że przynajmniej część winy leży po jej stronie. W podobny sposób zachowują się tacy, co wciąż narzekają, że nikt ich nie kocha, a nawet nie zapytają, czy zasłużyli na miłość.

— Nie masz dzieci — skonstatowała. — Lewis nie chce?

— Miejże litość! Nie jesteśmy tak starym małżeństwem.

— Dwa lata? Dość czasu, by począć przynajmniej jedno — oświadczyła Carmel. — Lewis za rzadko bywa w domu?

— Co ma z tym wszystkim wspólnego mój związek z Lewisem? — spytałam na tyle ostro, że Carmel, bez względu na to, co zamierzała, od razu spokorniała.

— Tylko tyle, że gdybyś miała własne dzieci, byłabyś mniej radosna, ale i mniej uszczypliwa.

— A już na pewno wykazałabym dość rozsądku, żeby nie zamykać ich w klatce — ciągnęłam podniesionym tonem, choć teraz byłam już mniej wściekła na Carmel, a bardziej na siebie za to, że chwilę wcześniej usiłowałam uwięzić Lewisa. — Timothy nie jest już dzieckiem — dodałam. — Ile ma lat? Siedemnaście? Carmel, przecież każdy chłopiec z czasem wyrasta na mężczyznę.

— Ale na ogół nie tak prędko. Jeszcze wczoraj był rozkosznym bobasem...

— Kiedy ma jechać?

— Kiedy tylko zechce. A chce bardzo — odpowiedziała, po czym dorzuciła nagle z zaskakującą jak na nią szczerością: — I prawdę mówiąc, nie mam nic przeciwko temu. Nie chcę tylko, by uważał, że zawdzięcza to Grahamowi.

Policzyłam w myślach do dziesięciu.

— Zatem od razu wyślij go w podróż. Na pewno ci podziękuję.

— Pomyślałam sobie... — zaczęła z tajemniczym spojrzeniem, którego nie umiałam rozwikłać, i starannie wygładziła przód kostiumu.

Jej ręka znów powędrowała do piersi, lecz tym razem nie

szukała serca, ale wysoko upiętej broszki, lśniącej blaskiem szafirów i brylantów. Część okupu, jaki zapłacił Graham Lacy przed rozstaniem.

— Szczerze mówiąc, Vanesso, masz rację — odezwała się Carmel zupełnie innym tonem. — Powinnam pozwolić mu jechać. Dzieci dorastają i zaczynają żyć własnym życiem. Uczucia rodziców nie mają tu nic do rzeczy.

Czekałam. Jeśli właściwie odczytałam wszystkie znaki, nadchodził kulminacyjny moment.

— Vanesso?

— Tak?

Zahaczyła palcem o zapięcie broszki, wymruczała słowo, o jakim zazwyczaj myślimy, że jest nie znane pokoleniu matek, otarła serwetką kroplę krwi i z okrutną determinacją popatrzyła mi prosto w oczy.

— Mogę cię prosić o pomoc? — spytała całkiem nie pasującym do jej miny, zboliałym głosem.

— Mnie? W czym?

— Od początku do końca masz całkowitą rację. Szczerze mówiąc, w tej chwili wyjazd Tima byłby mi nawet na rękę. Chcę go puścić, ale zrozum, on ma dopiero siedemnaście lat i nigdy dotąd nie był poza domem, najwyżej na koloniach, ale to przecież co innego, prawda? Z drugiej strony, nie mogę z nim jechać... Nie chcę się spotkać z Grahamem. Dla Tima jestem wprawdzie skłonna ponieść każdą ofiarę, tylko że on się skrzywił, kiedy to zaproponowałam... Poza tym jeśli dokądś pójdzie z Grahamem, zostanę całkiem sama, a ja tak nie cierpię obcych krajów, niewygód i na dodatek nikt tam nie mówi po angielsku. Myśl, co chcesz, a ja nie puszcze dziecka samego między obcych. Dlatego pomyślałam o tobie.

Wlepiłam w nią zdumione spojrzenie.

— Nic nie rozumiem.

— Przecież to jasne. Miałaś w tym miesiącu wyjechać na wakacje, lecz Lewis nagle zmienił plany i pojechał gdzieś

w interesach... — Carmel, nawet kiedy o coś prosiła, nie potrafiła się wyzbyć natrętnej wścibskości. — Pomyślałam sobie, że do niego dołączysz, a więc przy okazji możesz odwiedzić Timmy'ego. Proste, prawda?

— Nie. Skoro Graham jest w Wiedniu...

— Przecież też tam będziesz. Nawet nie masz pojęcia, jakie to dla mnie ważne. Nic nie wiem o planach Grahama ani o innych sprawach, a Timmy nie lubi pisać... Znasz takich chłopców. Ja, rzecz jasna, nie zamierzam się kontaktować z Grahamem, ale będzie mi lżej na duszy, gdy będę miała świadomość, że ty lub Lewis jesteście w pobliżu. Lewis już nieraz bywał za granicą, więc chyba można na nim polegać, prawda?

W ostatnim zdaniu pobrzmiwała wyraźna nuta wątpliwości. Chociaż wciąż byłam wściekła na Lewisa, odruchowo stanęłam w jego obronie.

— Bez wątpienia. Ale nie mogę jechać z Timem... Nie, Carmel, pozwól mi skończyć. Nie chodzi o to, że nie lubię Wiednia, lecz mieliśmy spędzić wakacje we Włoszech i...

— No i właśnie w Wiedniu możesz dołączyć do Lewisa. To o wiele ciekawsze, a poza tym parę dni dłużej będziecie razem...

Popatrzyłam na nią.

— W Wiedniu? Ale... Co to znaczy? Nie chcesz chyba, by Lewis...

— Nie kłopotz się kosztami — wtrąciła Carmel. — Jeśli będziesz eskortować Timmy'ego...

— Piękne dzięki — odpowiedziałam sztywno. — Dam sobie radę.

Doprowadzało mnie do pasji, że Carmel uważała wszystkich dokoła za żebraków bez pensa przy duszy. Jej zdaniem nawet Lewis — który naprawdę zrobił niezły interes, podejmując pracę w renomowanej firmie chemicznej — nie kupiłby samochodu, gdyby nie udało mu się wpuścić tego w koszty przedsiębiorstwa.

— Starczy mi na bilety — dodałam oschle.

— Więc o co chodzi? — spytała. — Kto wam broni się spotkać, kiedy Lewis zapomni o pracy? On zaoszczędzi sobie wydatków na powrót, ty będziesz miała dłuższe wakacje i dodatkową frajdę. Wierz mi, że z ochotą pokryję wszelkie nieprzewidziane koszty. Sama pomyśl, czyż to nie niewiarygodne szczęście, że twój mąż akurat jest w Austrii? Zaraz kiedy się o tym dowiedziałam, chwyciłam za telefon.

— Carmel, choć na chwilę przestań snuć te cudowne plany i posłuchaj. Nie pojedę do Wiednia, ani teraz, ani odrobinę później, choćby z tej prostej przyczyny, że Lewisa tam nie ma. Siedzi w Szwecji.

— W Szwecji? Kiedy wyjechał z Austrii?

— Nie wyjechał. Od razu wybrał Skandynawię. Sztokholm, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć. Zaczął podróż w niedzielę, a w poniedziałek depešzował, że już jest na miejscu.

Przezornie nie dodałam, że była to jedyna, a na dodatek zdawkowa wiadomość, jaką otrzymałam od niego w ciągu ostatnich czterech dni. W pewnych kwestiach dorównywał mi zawziętością.

— Chyba się mylisz. Mogę przysiąc, że to był Lewis. Molly Greg go widziała i Angela Tripp... Obie zawołały: „O, Lewis March!” I faktycznie.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

— No więc wczoraj — zaczęła takim tonem, jakby tłumaczyła coś wyjątkowo tępemu dziecku — całą trójką poszliśmy na zakupy. Angy miała jeszcze godzinę do odjazdu pociągu, chciałyśmy gdzieś przysiąść i tak trafiłyśmy do kina, w którym wyświetlają same kroniki. Coś się stało... Jakaś katastrofa czy pożar... Nie pamiętam. W każdym razie na pewno w Austrii, a Lewis stał na ekranie jak żywy. Molly zawołała pierwsza: „Patrzcie, to Lewis March!” Angela zaraz dodała: „Rzeczywiście!” Potem kamera podjechała bliżej i też go rozpoznałam. Od razu pomyślałam, że na pewno wyjedziesz i że mogłabyś przy okazji zająć się Timem. No więc zadzwoniłam.

Chyba miałam okropnie głupią minę. Jeszcze głupszą, niż to sugerowała Carmel.

— Chcesz mi wmówić, że widziałas mojego męża Lewisa na kronice relacjonującej jakiś wypadek w Austrii? Niemożliwe. Musiałaś się pomylić.

— Nigdy się nie myłę — odpowiedziała skromnie.

— W żadnym razie... — urwałam, gdyż nagle zauważyłam, że mój protest wzbudził jej żywe zainteresowanie.

Wyraźnie zapomniała o własnych kłopotach, a w jej oczach zamigotały zagadkowe ogniki. Już słyszałam, jak Angela, Molly i cała reszta plotkarek roztrząsają najświeższe nowiny: „...wyobraźcie sobie, że on wyjechał, a ona nawet nie wiedziała dokąd. Może się pokłócili? A może chodzi o jakąś kobietę? Wierzcie mi, Vanessa nie miała zielonego pojęcia, że jej mąż...”

Spojrzałam na zegarek.

— Muszę pędzić. Z chęcią bym ci pomogła, ale nawet jeśli Lewis jest w Austrii, musiał tam trafić na krótko, wprost ze Sztokholmu. Nie masz pojęcia, jak często przetrzucają go z miejsca na miejsce... Sama bywam tym zaskoczona, ale cóż, taka praca... — Odepchnęłam krzesło od stołu. — Dziękuję za herbatę, miło się gawędziło... Muszę przyznać, że mnie zaciekawiłaś tą wzmianką o kronice. Jesteś pewna, że chodziło o Austrię? A konkretnie o jakie miasto? Nie pamiętasz nic więcej? Wypadek...

— Nie pamiętam. — Ostentacyjnie zaczęła przetrząsać torebkę w poszukiwaniu portmonetki. — Nie zwracałam na to uwagi. Rozmawiałam z Molly i dopiero gdy pojawił się Lewis... Więc po sprawie. Skoro nie jedziesz, to nie jedziesz. Timmy także zostanie w domu. Daj mi znać, gdybyś zmieniła zdanie.

— Bez wątplenia. Może już dzisiaj zastanę w domu jakąś wiadomość od Lewisa. — Zawahałam się chwilę i spytałam ostrożnie: — W którym kinie byliście?

— „Leicester Square”. I naprawdę widziałam Lewisa.

Wszystkie rozpoznałyśmy go w mgnieniu oka. Znasz przecież jego zachowanie.

— Dostatecznie — odpowiedziałam, chyba bardziej oschle, niż zamierzałam. — Przynajmniej tak mi się zdaje. Nie pamiętasz nic więcej?

Przeciągnęła szminką po ustach.

— Nie. Zaraz... Było coś o cyrku, ofiarach... i pożarze. Tak, na pewno chodziło o pożar. — Przekrzywiła głowę, podziwiając w małym lusterku efekt swoich zabiegów. — Ale Lewis ocalał.

Milczałam. Nie chciałam powiedzieć czegoś, czego bym żałowała.

W kinie panował mrok, z rzadka rozjaśniany błyskami ekranu. Powietrze przesycala woń papierosów i mokrych ubrań. Po omacku dotarłam na miejsce. Szczęściem o tej porze dnia widownia była w połowie pusta, więc usiadłam sama w jednym z ostatnich rzędów.

Wyświetlano kolorową kreskówkę. Z ekranu kwakał jakiś kaczor. Potem był film krajoznawczy o Danii. Tytuł brzmiał: „Kraj Jana Christiana Andersena”, ale niczego więcej nie wiem. Upłynęło niewiarygodnie wiele czasu, zanim puszczono kronikę, a jeszcze więcej, nim przeleciały najważniejsze tematy: Afryka, Bliski Wschód, Grand Prix, egzaminy...

Nagle jest.

— „Pożar cyrku w austriackiej wiosce... W niedzielę wieczorem... W Styrii... Rozszalały słoń na ulicach wioski...”

I obrazy.

Nie sam pożar, ale dymiące zgliszcza w szarym świetle poranka, policja i kilku mężczyzn zakutanych w ciężkie płaszcze, wyciągających z rumowiska resztki oporządzenia. Wokół wozy cyrkowe, nowoczesne, o opływowych kształtach, z tyłu namiot i zrębek lesistego wzgórza, potem bielutki kościół z cebulastą kopułą. Przed kamerą pojawił

się naklejony w pośpiechu afisz ze zdjęciem, nazwiskami, napisem *Eine absolute Star-Attraktion* oraz cenami biletów. Potem chyba ktoś popchnął tablicę, gdyż upadła na po-
gniecioną i zdeptaną trawę.

Zobaczyłam Lewisa. Zjawił się z boku ekranu i przez parę chwil najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że kamera jest zwrócona na niego. Stał spokojnie na skraju grupy gapiów otaczających ekipę śledczą i jak wszyscy patrzył na coś leżącego w pogorzeliisku. Potem w doskonale mi znany sposób potrząsnął głową — i zobaczyłam jego minę. Był zły. Bardzo zły. Ostatnimi czasy zbyt często widywałam go w podobnym nastroju... Choć tym razem na twarzach stojących w pobliżu ludzi widniał ten sam wyraz powagi zmieszanej ze zgrozą i bezsilnym, jakby kłopotliwym gniewem. Na pewno było to w Austrii, nie w Szwecji, chociaż od poniedziałku rano na moim biurku leżała depesza nadana ze Sztokholmu.

Obok Lewisa stała jakaś dziewczyna. Zwróciłam na nią uwagę, kiedy się poruszyła. Młoda, jasnowłosa, więcej niż ładna — obdarzona owym szczególnym typem urody, który daje się zauważyć nawet w zimnym świetle poranka. Miała na sobie czarny płaszcz przeciwdeszczowy z wysoko postawionym kołnierzem. Złote loki sływały jej na ramiona. Sprawiała wrażenie małej, kruchej i zagubionej. Mocno przywarła do boku Lewisa, a on, jakby chciał ją ochronić, wsparł rękę na jej ramieniu.

Dziewczyna uniosła głowę i dostrzegła kamerę. Szybko pociągnęła Lewisa za rękaw, po czym ze znaczącym ruchem dłoni szepnęła mu coś na ucho.

Dziewięćdziesiąt dziewięć osób na sto w podobnej sytuacji zerknęłoby odruchowo w stronę obiektywu i albo poma-chało, albo próbowało się ukryć. Mój mąż nawet nie odwrócił głowy. Pociągnąwszy za sobą dziewczynę, przepadł w tłumie.

W tej samej chwili tabor też zniknął z ekranu. Pokazano

wnętrze przemoczonego namiotu, a w nim uwiązanego słonia, nerwowo drepczącego w miejscu i pomrukującego coś do siebie.

— „...zginęło dwóch ludzi. Śledztwo trwa” — bezbarwnym głosem zakończył komentator, a na ekranie pojaśniała słoneczna plaża południowej Anglii...

„Mirror” poświęciło wypadkowi dwanaście linijek na dole szóstej strony zatytułowanych ZAGADKA PŁONĄCEGO CYRKU.

Austriacka policja wszczęła dochodzenie w sprawie pożaru, jaki wybuchł nocą w niewielkiej wiosce w pobliżu Grazu. Widok płonącego wozu cyrkowego wywołał panikę wśród stoni. Zwierzęta popędziły przez wioskę, niszcząc kilka zagród i tratując sześciolletnią dziewczynkę. Dziecko doznało poważnych obrażeń. Dwaj mężczyźni, śpiący we wspomnianym wozie, zginęli w ogniu.

„Guardian” streścił sprawę w ośmiu wierszach, nad kącikiem brydżowym, na trzynastej stronie.

Dwóch ludzi splonęło w niedzielę w nocy w pożarze wozu cyrkowego. Cyrk występował w wiosce Xlhalf-Wfen w austriackim kraju związkowym Styria w pobliżu Grazu.

Następnego ranka, w piątek dostałam wiadomość od Lewisa. List — niewątpliwie pisany jego ręką — był datowany w poniedziałek, w Sztokholmie.

Powoli kończę, więc za parę dni będę już chyba w domu. Zadepeszuję, żeby podać Ci datę powrotu. Kocham, Lewis.

Jeszcze tego samego dnia zadzwoniłam do Carmel.

— Już nie szukaj opiekunki do dziecka — powiedziałam. — Miałaś rację. To Lewis... Przysłał list. Rzeczywiście jest w Austrii i chce, żebym przyjechała. Jadę zaraz, im prędzej, tym lepiej...

ROZDZIAŁ II

*Za miody na męża, za stary na chłopca, jak strączek,
nim zostanie strąkiem, jak jabłuszko, nim zostanie jabł-
kiem; na rozstajnej drodze między chłopcem a mężem.
Piękną ma minę i mówi rezolutnie; powiedziałby kto,
że ma jeszcze mleko matki na wargach.*

Szekspir: „Wieczór Trzech Króli” *

Timothy Lacy zmienił się w zaskakujący sposób. Tak się na ogół dzieje z wszystkimi dziećmi, a jednak każdy z dorosłych przyjmuje to ze zdumieniem.

Wyrósł na wysokiego młodzieńca i moim zdaniem zrobił się bardziej podobny do dziadka niż do któregoś z rodziców. Wprost tryskający energią i ruchliwy jak żywe srebro. Miał szarozielone oczy, jasną cerę nakrapianą piegami i gęstą czuprynę blond włosów, długich oraz przyciętych w sposób, który budził głośne lamenty matki i moją cichą aprobatę. Od chwili, kiedy w głównym holu londyńskiego lotniska Carmel oficjalnie przekazała mi syna pod opiekę — w ten sam sposób, w jaki oddawała chorego spaniela mojemu ojcu — Timothy zachowywał się, oględnie mówiąc, z rezerwą. Jeśli mam być szczerą, przypominał nadąsanego malca.

Teraz mocował się z pasem bezpieczeństwa, a z jego nieporadnych ruchów widać było wyraźnie, że nigdy dotąd nie leciał samolotem. Nie narzucałam mu się z pomocą. Po płaczliwym — i mocno przesadzonym — pożegnaniu ze strony Carmel mógłby uznać, że chcę mu zawiązać śli-
niaczek.

* przekł.: Leon Ulrich

— Dobrze, że wybrałeś miejsca przed skrzydłem — powiedziałam. — Jeżeli tylko nie trafimy w chmury, będziemy mieli wspaniały widok.

O ile zauważyłam, obdarzył mnie niezbyt przychylnym spojrzeniem. A że patrzył spod grzywy lśniących i grubych włosów, stał się jeszcze bardziej podobny do steranego, lecz wciąż czujnego spaniela. Coś zamruczał, ale właśnie w tej samej chwili *caravelle* Austriackich Linii Lotniczych ze świstem i zgrzytem zaczęła sunąć po betonie. Timothy prędko odwrócił głowę do okna.

Wystartowaliśmy zgodnie z rozkładem. Samolot zwolnił nieco, zebrał siły, potem skoczył naprzód i uleciał w powietrze z impetem, który zawsze przyprawiał mnie o staromodne ciarki biegnące po kręgosłupie. Londyn został gdzieś z tyłu, mignęło wybrzeże, srebrnoniebieska wstęga kanału rozciągnęła się niczym pas pomarszczonego jedwabiu. Później pod nami zamajaczyły maleńkie poletka Belgii, coraz mniejsze, gdyż *caravelle* wspiwała się wyżej, na właściwy pułap, na którym miała odbyć dwugodzinny lot do Wiednia. Obłok przesłonił ziemię, zgęstniał, zatrzepotał niczym rybie łuski, otulił samolot grubym kocem... Wisieliśmy pozornie bez ruchu, teraz już w pełnym blasku słońca, zasłuchani w miarowy huk silników nad cudownym kobiercem chmur, przesuwających się w dole nie szybciej od spokojnej fali.

— Lot anioła — mruknęłam. — Sięgnęliśmy po boskie przywileje. Potrafimy też zsyłać gromy na całe miasta, jeśli już o to chodzi.

Timothy nie odpowiedział. Westchnęłam w duchu, zrezygnowałam z prób, by nie myśleć o tym, co mnie czeka, i sięgnęłam po jakieś czasopismo. Podano lunch, kusząco obcy, z *apfelsaft*, czerwonym winem czy szampanem, a siedzący koło mnie chłopak uparcie nie chciał rozmawiać o czymś, co z pewnością było dla niego wyprawą życia. W końcu, mimo własnych trosk, poczułam ukłucie irytacji. *Caravelle* przechyliła się w prawo; w dole, pod chmurami,

kryła się zapewne Norymberga, a my skręciliśmy na południowy wschód, w stronę Passau i austriackiej granicy. Zabrano tace, pasażerowie wstawali, przeciągali się, tłoczyli w przejściu, i wówczas, w samą porę, by zablokować drogę do toalety, wjechał wózek pełen pachnidła i papierosów.

Ładna stewardesa w błękitnym mundurze pochyliła się w moją stronę.

— Coś dla pani? Papierosy? Perfumy? Trunki?

— Nie, dziękuję.

Z ukosa popatrzyła na Tima, który odwrócił głowę od okna.

— A pan? Papierosy?

— Oczywiście — odparł buńczucznie i stanowczo za głosem. Zauważyłam, że zerknął w moją stronę. — Co macie?

Stewardesa podała mu listę, wybrał i sięgnął po pieniądze. Wręczyła mu karton. Chłopak wytrzeszczył oczy, ale jakoś zapanował nad zdumieniem i zapłacił. Wózek potoczył się dalej. Timothy energicznym ruchem wepchnął zakup do turystycznej torby, a w zamian wyciągnął tani kryminał. Znów w powietrzu zaciążyło milczeniem.

— Wiesz, nic mnie nie obchodzi, że chcesz palić dniem i nocą, po czym wykończyć się na sześć różnych rodzajów raka — powiedziałam. — Proszę bardzo. Prawdę mówiąc, im szybciej, tym lepiej. Jesteś najgorzej wychowanym młodym człowiekiem, z jakim dotychczas miałam do czynienia.

Opuścił książkę na kolana i po raz pierwszy ze zdumieniem spojrzął mi prosto w oczy.

— Nie musisz mi udowadniać, że jesteś dorosły i że wolałbyś podróżować sam. Wierz mi, ja także. I bez ciebie mam dość kłopotów, ale jakbym cię nie zabrała, do tej pory tkwiłbyś w Londynie. Na litość boską, zamiast się bzdyczyć, że przydzielono ci niańkę, okaż choć trochę dorosłości i zauważ wreszcie, że każdy medal ma dwie strony. Ty wiesz, że potrafisz o siebie zadbać, ale twoja matka i tak tego nie rozumie, a więc po co te fochy, które tylko drażnią innych?

Przecież w końcu i tak wyszło na twoje. Nie umiesz z tego skorzystać? Jesteśmy skazani na siebie, póki cię nie odwieżę do Wiednia... albo ty mnie... i nie spotkamy się z twoim ojcem. Potem każde z nas pójdzie własną drogą.

Timothy przełknął ślinę. Musiał do tego zaprząć wszystkie mięśnie ciała. Gdy zaczął mówić, głos przez chwilę pobrzmiwał mu kłopotliwym falsetem.

— Prze... przepraszam.

— Nie chcę cię zmuszać do rozmów, kiedy masz ochotę czytać lub patrzeć przez okno — dodałam. — Prawdę mówiąc, zawsze się denerwuję podczas lotu i poprzez pogawędkę próbuję zapomnieć o strachu.

— Przepraszam — powtórzył Timothy. Był czerwony jak burak, lecz jego głos wrócił do norm wymaganych od młodego mężczyzny, który potrafi pomóc kobiecie przestraszonej lotem. — Nawet nie pomyślałem, że... możesz to tak odebrać. Byłem... to znaczy wszystko było... Nie wiem, co próbowałem... — Przestał się jąkać, zagryzł usta, a potem oświadczył z rozbijającą prostotą: — Papierosy były dla taty.

Doskonały *amende honorable*. Od razu straciłam rezon. Wiedział o tym. Poznałam to po błysku w jego szarozielonych oczach.

— Timothy... — jęknęłam. — Masz zadatki na bardzo niebezpiecznego młodzieńca. Wcale nie jestem zaskoczona, że matka bała się puścić cię samego. Teraz powiedz, jak mam się do ciebie zwracać. Wiem, że dla matki jesteś Timmy, ale dla mnie to zbyt dziecinne. Wolisz Tim czy Timothy?

— Niech będzie Tim.

— Zgoda. Jestem Vanessa.

— Pieknie piękne imię. Od Vanessy Redgrave?

Wybuchnęłam śmiechem.

— Daj spokój. Mam dwadzieścia cztery lata. Nie wiem, jak otrzymałam swoje imię, pewnie mama wyszperała je w jakiejś książce. Prawdę mówiąc, to nazwa motyla, a raczej

grupy motyli, bardzo ładnych, pawików i tym podobnych. Zwiewna i zmienna... to właśnie ja, stworzona, żeby latać z kwiatka na kwiatek.

— Zatem mamy coś wspólnego — oświadczył Timothy. — W szkole nazywali mnie Mothy. Od ćmy... Hej, popatrz, coś prześwituje przez chmury... Rzeka. Może Dunaj?

— Może. Zostało nam już niewiele drogi.

— Jakbyś się bała przy lądowaniu — mruknął uprzejmie — możesz wziąć mnie za rękę.

— Czyż nie jest piękna? — spytał Timothy.

Weszliśmy w chmury, półtora kilometra nad naszym własnym cieniem. Były to już austriackie chmury, a wyglądały tak samo jak angielskie. Timothy, lekko wymięty, lecz z minuty na minutę wpadający w coraz lepszy nastrój, dotarł już do etapu zwierzeń. Właśnie wyciągnął fotografię dziewczyny na szarej klaczy. Stare zdjęcie, trochę wyblakłe. W pulchnym, ładnym i mocno usadzonym w siodle dziewczęciu ze zdumieniem rozpoznałam Carmel.

— Nooo... owszem.

Nic, co do tej pory usłyszałam od Tima — a mówił o małżeństwie Lacych takie rzeczy, jakich Carmel na pewno nie chciałyby słuchać — nic, powtarzam, nie przygotowało mnie na ten nagły wybuch uczuć do matczynego zdjęcia.

— Ile lat miała? — spytałam niezbyt pewnym głosem.

— Staruszka... Prawie piętnaście. Widać po ogonie.

— Przepraszam, po czym?

— Po ogonie. To kuc walijskiej rasy Starlight. Długowieczne bestie. Nie widać po nich starości, póki nie padną. — Nagle palnął się w czoło. — I komu ja to mówię! Przecież w zasadzie jesteś weterynarzem.

— Tylko „w zasadzie”? Tuż przed ślubem zdałam egzamin.

— Serio? Nie wiedziałem.

— Jeśli już o tym mowa — dodałam — to „w zasadzie”

doglądałam zwierząt jeszcze przed podjęciem nauki w Dick Vet. Wiesz, co to takiego? Studium weterynarii w Edynburgu. Nie da się spędzić życia wśród chorych stworzeń i nie liczyć choć trochę wiedzy na temat leczenia.

— Chyba nie... Sam dorastałem wśród koni w stadninie dziadka. Prowadziłaś praktykę?

— Oficjalnie zaledwie przez pół roku, choć właściwie każdy student ma sporo roboty, zwłaszcza w czasie ostatniego semestru. Ciągłe wypadki na wieś, doglądanie trzody, samodzielne diagnozy, prześwietlenia, pomoc w zabiegach... Trudno zliczyć. Po dyplomie asystowałam ojcu, potem poznałam Lewisa i wyszłam za mąż.

— Co właściwie robi twój małżonek?

— Pracuje dla Pan-European Chemicals. Znana firma. Nie tak duża jak IGI, lecz z ambicjami. Lewis utkwiał w dziale sprzedaży. Teraz chce się przenieść, bo ma serdecznie dość ciągłych podróży za granicę. Przedtem mu to nie przeszkadzało, ale po ślubie... Rzadko się widzujemy. Zbyt rzadko. W czasie jego wyjazdów początkowo wracałam do ojca, później jednak dostałam dorywczą pracę w PDSA, Społecznej Przychodni dla Chorych Zwierząt, tuż koło domu, pod Londynem, więc tam zostałam.

— Kurczę... Wybacz to „w zasadzie”. Wiem, że cię zdrowo uraziłem.

Przez chwilę siedział cicho, szperając wśród pozostałych fotografii. Zauważyłam, że większość z nich przedstawiała konie. Tim był już całkiem rozluźniony, spokojny i zachowywał się tak swobodnie, jakby rozmawiał z równolatką. Co dziwniejsze, ja także nie odczuwałam dzielącej nas różnicy wieku.

— Nienawidzę Londynu — powiedział nagle. — Wszystko było w porządku, póki żył dziadek. Mogłem u niego buszować, ile wlezie. Mama nie zwracała na mnie większej uwagi, zwłaszcza że dziewczyny były wciąż w domu. Gdyby tylko umiała zachować stajnie... nająć zarządcę... a nie sprzedawać... — Zebrał zdjęcia, spakował i z rozmachem

wcisnął kopertę do torby. — Wyszło na to, że teraz, po ukończeniu szkoły, całe lato przesiedzę w mieście. Zgroza. Musiałem zadziałać bardziej stanowczo.

— I zdenerwować biedną matkę perspektywą rozstania? Nic się nie martw. Przeżyje.

Błysnął oczami w moją stronę i najwyraźniej chciał coś powiedzieć, ale po chwili zrezygnował. Gdy się odezwał, wiedziałam, że mówi nie to, o co mu chodziło.

— Byłaś już kiedyś w Wiedniu?

— Nie.

— Może cię zainteresuje Hiszpańska Szkoła Jazdy? Chyba o niej słyszałaś; kilka białych lipicanów wykonujących *haute école* w takt muzyki. Całe życie chciałem obejrzeć ich występ.

— Tak, słyszałam, choć poza tym wiem stosunkowo niewiele. Też bym chciała popatrzeć. Są teraz w Wiedniu?

— Zawsze są w Wiedniu. Pokaz ma miejsce we wspaniałym budynku przypominającym osiemnastowieczną salę balową w Hofburgu. Występują w każdą niedzielę rano... ale nie w sierpniu. Sezon zaczyna się od września... — Wyszczerył zęby. — Jak dobrze pójdzie, wciąż tu będę. Rzecz jasna, każdy może wejść do stajni, obejrzeć konie i trening, i resztę zająć. Ojciec jest w Wiedniu już pół roku, więc mam nadzieję, że poznał odpowiednich ludzi, którzy wprowadzą mnie za kulisy. — Spojrzał w okno. — Chyba tracimy wysokość.

Popatrzyłam z namysłem na jego profil. Znowu odkryłam zmianę. Teraz, gdy mówił o swej pasji, o czymś, co go naprawdę zajmowało, z jego głosu i zachowania zniknęły wszelkie ślady smutnego dzieciństwa. Był inteligentnym i poważnym młodzieńcem, wiedzącym znacznie więcej na omawiany temat, niż chciał ujawnić. Ale nie tylko. W tej wiedzy wciąż się czaiły oznaki buntu.

— Dlaczego akurat Hiszpańska Szkoła Jazdy? — spytałam, żeby przerwać milczenie.

— Słucham? Ach, bo rasa lipicanów pochodzi od hiszpańskich koni. Jedna z najstarszych, jakie udało się wyho-

dować. Jeszcze z Rzymu. Wierzchowce rzymskich legionistów stacjonujących w Hiszpanii skrzyżowano z arabami i tak powstały znakomite rumaki bojowe. W średniowieczu sprzedawano je na prawo i lewo po całej Europie, aż w końcu Austriacy ściągnęli je do Lipizy, by założyć nową stadninę.

— Dłatego lipicany... Rozumiem. Zdaje mi się, że po pierwszej wojnie Austria zrzekła się Lipizy na rzecz Włoch?

Tim skinął głową.

— Cud, że konie nie zniknęły wraz z rozpadem cesarstwa. Sądzę, że nikt w młodej republice nie zajmował się relikwiami... hmm... dawnego *high life'u*. Za to kiedy doszło do publicznych pokazów, bo lipicany stały się przecież własnością państwa, Austriacy popadli w szaleńczą dumę. Trudne chwile przeżyła stadnina pod koniec ostatniej wojny, w czasie bombardowania Wiednia. Chyba czytałaś, że dyrektor szkoły, pułkownik Podhajsky, wyprowadził ogiery ze stolicy, a żołnierze armii amerykańskiej uratowali kłacz z Czechosłowacji? Stado umieszczono w stajniach w Wels, na północy kraju, później zaś przeniesiono do Pibru.

— Wiem. Piber, prawda? Gdzie to jest? Na południu?

— W Styrii, obok Grazu. Co się stało?

— Nic. Mów dalej. Opowiadaj o koniach.

Patrzył na mnie przez chwilę, jakby chciał się upewnić, czy naprawdę słucham jego wykładu, po czym wrócił do przerwanej wątku, w ujmującym stylu łącząc elokwencję z chłopięcym entuzjazmem.

— Żrebięta dorastały w Pibrze, a gdy skończyły czwarty rok życia, najlepsze wysłano na szkolenie do Wiednia. Pozostałe sprzedano. Te wiedeńskie trenowały całymi latami. Moim zdaniem prawdziwy urok przedstawienia polega na tym, że jest nie tylko piękne, lecz także...

Znów spojrzął na mnie, zawahał się i dokończył niemal nieśmiało:

— Hmm... nigdy nie czujesz podniecenia, kiedy obcujesz z czymś... tak starym? Przecież te wszystkie ruchy, krok

i figury pochodzą wprost z zarania dziejów, ze „Sztuki ujeżdżania” Ksenofonta. Pomyśleć, że cała *haute école* bierze się aż z piątego wieku przed naszą erą! A z udziałem lipicanów jest coś więcej niż *haute école*... Zwykle pokazy ujeżdżania można zobaczyć niemal wszędzie, lecz ta gracia w łączeniu figur w prawdziwy kadryl oraz tak zwane akrobacje w powietrzu...

— Co? Ach... masz na myśli te wspaniałe skoki.

— Tak. Po niemiecku nazywa się to *Schulen uber der Erde* — odparł Timothy. — Też są stare jak Ziemia. Dawniej stosowano je w bitwie, więc wierzchowiec musiał przejść odpowiednią tresurę, jeśli miał być naprawdę dobry. Wiesz, kiedy w jednym ręku dzierzysz tarczę, a w drugim miecz czy coś podobnego, twój koń w mgnieniu oka musi umieć skoczyć we właściwą stronę. Czekać chwilę... spójrz tylko na to...

Pochylił się nad torbę. Stopniowo zniżając pułap, weszliśmy w chmury i większość pasażerów z wolna przygotowywała się już do lądowania, ale on w podnieceniu zapomniał o przeżyciach związanych z pierwszym lotem.

Lekko zaczerwieniony wyprostował plecy i wsparł na kolanach książkę gęsto wypełnioną zdjęciami.

— Popatrz, tu są rozmaite figury. — Odgarnął włosy z oczu i podał mi album. — Wszystkie konie można nauczyć pewnych ruchów. Choćby takich jak *piaffe*, czyli wysoki trucht w miejscu... albo ten: powolny, piękny, zwany truchtem hiszpańskim... ale tylko najlepsze są zdolne do skoków. Widzisz? Piekielnie trudna sztuka. Bywa, że dany koń nie zdoła tego opanować. Trening trwa lata i rozwija wspaniałe mięśnie... A spójrz tutaj... To *levade*. Koń wygląda, jakby się cofał, choć inaczej wygina pęciny. Trzeba wiele wysiłku, żeby utrzymać go w tym ruchu.

— Nie wątpię. Przypomina mi stary pomnik, obraz baletystyczny czy coś takiego.

— Właśnie! Jeśli ktoś podczas bitwy zamierzyłby się na ciebie, twój koń osłoniłby cię własnym ciałem. Biedne zwierzę.

— Też był chroniony zbroją — odpowiedziałam. — Cudowne zdjęcia, Tim. Choćby tutaj: przepiękny ogier. Spójrz na ten łeb, na te mądre oczy. Niejedno widział w życiu.

— Racja — mruknął Timothy. — Pluto Theodorosta, prawdziwy gwiazdor pokazów. Zdechł niedawno. Faworyt pułkownika Podhajsky'ego. Nie znam jego następcy... może Maestoso Mercurio? Ten tutaj... a to Maestoso Alea. Mają podobne łby, bo pochodzą z tego samego rodu. To Conversano Bonavista, ulubieniec obecnego dyrektora. A tu, popatrz, czyż nie wspaniały portret? Neapolitano Petra w trakcie *courbette*. Moim zdaniem jedna z najtrudniejszych figur. Była pewna historia, chyba o nim... Chciano go oddać w prezencie któremuś z władców Wschodu, ale jeździec go zabił, a potem sam popełnił samobójstwo, by nie dopuścić do rozstania.

— Wielkie nieba... Naprawdę?

— Nie wiem. Takich rzeczy nie znajdziesz w żadnej książce, ale sporo mi opowiadał stary austriacki koniuszy, który przez długie lata mieszkał w Anglii i od czasu do czasu odwiedzał dziadka. Może coś poplątałem, chociaż z drugiej strony wcale bym się nie zdziwił, gdyby to była prawda. Wiesz przecież, jak łatwo się przywiązać do konia... A jeśli pracujesz przy nim, tak jak oni, dzień w dzień przez... Boże, powiedzmy dwadzieścia lat...

— Wierzę. Ten ma ciemną maść. Myślałam, że występują tylko siwki.

— Gniadosz. Neapolitano Ancona. Początkowo chowano różne konie, ale z czasem, stopniowo, prócz siwych zostały tylko gniade. Zgodnie z tradycją w każdym pokazie występuje jeden gniadosz.

— Skąd się biorą ich imiona? Były już dwa Neapolitano i dwa Maestoso.

— Wszystkie pochodzą od sześciu pierwszych ogierów. Łączy się imię ogiera i klaczy-matki.

— Wiesz o nich wyjątkowo dużo — powiedziałam z należnym szacunkiem.

Zawahał się, zarumienił i odparł z prostotą:

— Jak mnie wezmą, chcę tam pracować. Dlatego jadę.

— Rzeczywiście jest sześć rodzajów raka? — spytał Tim.

— Niby czego?!

Po ostatniej bombie, jaką mnie uraczył, nie czułam się na siłach, żeby ciągnąć rozmowę. Cisza się przedłużała, aż do chwili, gdy stewardesa zapowiedziała po niemiecku i angielsku, że zbliżamy się już do Wiednia i że należy zapiąć pasy oraz zgasić papierosy...

Wypadliśmy z chmur i, zdawałoby się, tuż pod nami zafalowały płaskie, świeżo skoszone pola Austrii. Gdzieś tam z przodu, w mgielce letniego wieczoru wśród parków, nad szarą, poskręcaną rzeką leżał Wiedeń.

Timothy najwyraźniej chciał przyjacielską pogawędką odwrócić moją uwagę od koszmarów lądowania.

— Sześć rodzajów raka na skutek palenia.

— Ach, pamiętam... — odpowiedziałam. — Cóż, chyba tak, ale nie musisz się przejmować, jeśli ci chodzi o ojca. Założę się, że wie, co robi.

— Wcale się nie przejmuję. Przynajmniej nie tak, jak myślisz.

Coś w jego głosie nasunęło mi podejrzenie, że nie chodzi jednak o zwykłą pogawędkę. Wprost przeciwnie, ostatnia ostrożna uwaga zawisła tuż nade mną na kształt przynęty.

Postanowiłam dać się złapać.

— Co cię zatem trapi?

— Twój mąż będzie czekał na lotnisku?

— Nie. Mam... do niego zadzwonić. Zarezerwowałam pokój w hotelu, więc jeśli można, zabiorę się do miasta z tobą i twoim ojcem. Chyba że już przedtem zechcesz się pozbyć niańki...

Nie uśmiechnął się.

— Ojciec nie przyjdzie.

— Ale matka mówiła...

— Wiem, co mówiła. Nie przyjdzie. Po... powiedziałem jej tak dlatego, żeby uprościć sprawę. Skłamałem.

— Jasne. W takim razie... — Urwałam, widząc jego minę. — Coś ważnego?

— Nooo... — Chrząknął. — Ja... myślałem, że to w porządku, ale teraz, gdy przyszło co do czego, trochę się boję. Powiem nawet... — dodał z nagłą, niepokojącą goryczą — powiem nawet, że mama miała zupełną rację, uważając mnie za smarkacza, który powinien siedzieć w domu, ale...

Głośno przełknął ślinę.

— Wynajęłaś pokój w hotelu?

— Tak. W samym centrum. Przy Stephansplatz, naprzeciwko katedry Świętego Stefana. Dlaczego pytasz? Chcesz tam ze mną pojechać?

— Jeśli mogę...

— Pewnie — odpowiedziałam rzeško. — Nie ma sprawy. Znajdziesz w torbie choć trochę miejsca na te czasopisma?

— Tak, tak, proszę... Pani March...

— Vanesso — sprostowałam. — Nie musisz mi mówić tego, czego nie chcesz.

— Lepiej będzie, jak powiem.

— Tim... spróbuj się uspokoić. Przecież nie może być aż tak źle. Co zrobiłeś? Zapomniałeś powiadomić ojca o dacie przyjazdu?

— Gorzej. Wcale na mnie nie czeka. Nawet nie wie o mojej podróży. Zmyśliłem wszystko, żeby się wyrwać z domu. Prawdę mówiąc — oznajmił z desperacją — nie pisał do mnie. Ani razu. Och... — Chyba coś zauważył w moich oczach. — Wszystko jedno. Nie byliśmy sobie zbyt bliscy, więc jeśli nie chciał, to jego sprawa, prawda? Nie myśl sobie, że nakłamałem mamie o listach, bo... bo uważałem, że powinien pisać. Po prostu próbowałem wyjechać.

Skończył swoją małą spowiedź czymś w rodzaju przeprosin.

Nie patrzyłam na niego. Nie mogłam, bo nie chciałam głośno powiedzieć tego, co myślałam o jego rodzicach.

— Innymi słowy — mruknęłam — uciekłeś?

— Tak. W pewien sposób. Tak.

— A teraz, gdy cię uziemiono z opiekuńczą niańką, uznałeś, że najlepiej wyznać prawdę?

— Nie. — Chyba był mi wdzięczny, że potrafiłam zachować zrównoważony i neutralny ton. — Zwiąłbym bez trudu. Pomyślałem jednak, że to nie *fair*, żeby zostawiać cię w ten sposób.

— Jasne. Piękne dzięki. Cóż... trzeba trochę pomyśleć. Ile masz pieniędzy?

— Jakieś dwadzieścia funtów.

— A skąd wzięłeś na bilet, skoro ojciec nie przysłał przekazu?

— Hmmmm... ukradłem — odparł Timothy.

— Tim! Nieźle się wpakowałeś. Komu?

— Nikomu. Wybrałem z konta, którym miałem dysponować dopiero, gdy skończę osiemnaście lat — wyjaśnił. — To i tak już niedługo.

— Mam rozumieć, że w ogóle nie zamierzasz się skontaktować z ojcem? Wykorzystałeś fakt, że mieszka w Wiedniu tylko po to, aby zorganizować ucieczkę?

— Niezupełnie. Muszę przecież gdzieś mieszkać, dopóki nie znajdę pracy, a dwadzieścia funtów nie starczy na długo. Może być niezły bigos, ale dam sobie radę.

Mówił całkiem spokojnie, więc odetchnęłam z ulgą. Chyba był nieco twardszy, niż myślałam. Dobrze, bo czekała go ciężka próba.

— Najpierw pojedziemy razem do hotelu — oświadczyłam. — Wykapiemy się i tak dalej, a potem zadzwonimy do ojca. Pewnie po ciebie przyjedzie... o ile będzie w domu. Wiesz, że jest w Wiedniu? Mamy sierpień, mógł wyjechać na urlop.

— Po to wzięłem dwadzieścia funtów — odpowiedział Timothy. — Na czas... bezkrólewia.

Nagle do mnie dotarło. Popatrzyłam na niego, a on spod ciężkiej grzywy włosów odpowiedział mi przeciągłym spojrzeniem, w którym czał się cień rozbawienia.

— Timothy! Chcesz mi wmówić, że okłamałeś biedną matkę i na ślepo uleciałeś w przestworza, nie mając zielonego pojęcia, gdzie szukać ojca?

— Wiem tylko tyle, że mieszka w Wiedniu. Stąd przychodziła forsa na szkołę i tym podobne rzeczy.

— Znasz przynajmniej adres?

— Nie.

Zapadła napięta cisza. Tim widać źle zrozumiał moje milczenie, gdyż po chwili dodał prędko:

— Nie myśl tylko, że przysporzę ci jakichś kłopotów. Jeśli będzie za późno, żeby znaleźć na przykład bank taty, po prostu wynajmę pokój. Do poniedziałku. W ogóle nie musisz się o mnie martwić. Wiem, czego chcę, i mam mnóstwo rzeczy do zrobienia. Kiedy się spotkasz z mężem?

— Jeszcze nie wiem.

— Zadzwońisz do niego dziś wieczorem?

Znowu cisza. Wzięłam głęboki oddech, lecz nie musiałam się fatygować. Szarozielone oczy Tima rozszerzyły się w nagłym zdumieniu. Kosmyk włosów zafalował w górę.

— Vanesso! — Tim znakomicie sparodiował mój ton i tym samym przełamał między nami ostatnią barierę. — Chcesz mi wmówić, że okłamałaś moją biedną matkę i na ślepo uleciałaś w przestworza, nie mając zielonego pojęcia, gdzie szukać męża?

Skinęłam głową. Popatrzyliśmy sobie w oczy, a caravelle tymczasem delikatnie jak mewa dotknęła ziemi. Za oknami przemknęły płaskie pola Schwechatu, światła zamigotały we mgle wczesnego wieczoru. Wokół nas narastał zgłęb obcych głosów. Pasażerowie sięgali po płaszcz i torby.

Timothy zebrał się w sobie.

— Dwie sieroty w szalejącej burzy — zamruczał. — Bez obawy, Vanesso. Zajmę się tobą.

ROZDZIAŁ III

*Bo w każdej bidzie, co nas chwyta,
Gdzieś uwikłana jest kobieta.*

W. S. Gilbert: „Upadle wróżki”

Okazało się, że nietrudno odszukać ojca Tima. Adres znaleźliśmy w książce telefonicznej. To znaczy Tim znalazł. Ja w tym czasie siedziałam na łóżku w dużym, przyjemnym, chociaż dość hałaśliwym pokoju hotelu Am Stephansplatz i rozmawiałam z recepcją, chcąc ustalić godziny pracy wiedeńskich banków.

— To na pewno on — oznajmił Tim i podsunął mi pod sam nos otwartą książkę. — O, tutaj. Prinz Eugenstrasse osiemdziesiąt jeden. Numer telefonu sześćdziesiąt trzy-czterdzieści dwa-sześćdziesiąt jeden.

— Banki są już zamknięte, więc być może dojechał do domu. Albo jest tam ktoś, kto wie, gdzie go szukać. Na pewno ma gosposię. — Odłożyłam słuchawkę i spuściłam nogi z łóżka. — Gdybym równie łatwo mogła odszukać Lewisa, do kolacji byłoby po kłopotcie. Przynajmniej częściowo — dodałam. — Proszę, działaj... Telefonistka z centrali mówi po angielsku.

— Niepotrzebnie. Całkiem dobrze radzę sobie z niemieckim. Zaliczyłem semestr na piątkę i wprost nie mogę się doczekać pierwszej prawdziwej rozmowy.

— W takim razie... — Wciąż się wahał, więc dokończyłam: — Nie bądź dzieckiem, Tim.

Skrzywił się, potem błysnął zębami w uśmiechu i sięgnął po słuchawkę. Poszłam do łazienki i zamknęłam za sobą drzwi.

Wziąwszy pod uwagę wszystkie okoliczności, rozmawiał zadziwiająco krótko. Kiedy wróciłam do pokoju, siedział oparty o parapet i spoglądał na tłum przechodniów mijających katedrę Świętego Stefana.

— Nawet się nie wkurzył — mruknął, nie odwracając głowy.

Otworzyłam walizkę i zaczęłam rozpakowywać rzeczy.

— Aaa... Był w domu? Świetnie. Czyli jeden problem z głowy. Bardzo się cieszę. Przyjedzie po ciebie czy weźmiesz taksówkę?

— Prawdę mówiąc, właśnie wychodził — odparł Tim. — Na cały wieczór. Idzie z narzeczoną na koncert.

Pieczołowicie wygładziłam wyjętą sukienkę i odwiesiłam ją do szafy.

— Wiedziałaś o niej?

— Nie. Przecież ci mówiłem, że do mnie nie pisał. Jakaś Christl. Chyba to zdrobnienie od Christina.

— Tak? Austriaczka?

— Rodowita wiedeńska. Ładne imię, prawda?

Wyciągnęłam następną łaszek.

— Przecież nie mógł się zwierzać przez telefon.

— Raczej nie. Powiedziałem mu, gdzie jesteśmy. Odparł, że co prawda nie zdoła zrezygnować z koncertu, ale możemy spotkać się później. Na kolacji w... zapisałem... w hotelu Sacher. Tuż przy operze. Bar „Błękitny”, o jedenastej.

Oderwał wzrok od okna i spojrzał na mnie. Z jego miny nie mogłam wyczytać, o czym myśli. Uniosłam brwi.

— Niezły wypad jak na pierwszą noc w mieście. „Bar »Błękitny«, o jedenastej”. Brzmi jak cytaty z Iana Fleminga. Już nie musisz się trzymać fartuszka.

— Hmmmm... — mruknął. — W końcu sam tego chciałem, nie?

— Teraz żałujesz? — spytałam.

— Szczerze? Nie wiem. A powinienem?

— Byłoby to całkiem zrozumiałe. Czasem trudno pogodzić się z myślą o powtórnym małżeństwie któregoś z rodziców.

— To prawda. Mama też zamierza wyjść za mąż.

Było to jedno z tych stwierdzeń, na które nie ma żadnej rozsądnej odpowiedzi. Milczałam. Stałam z naręczem pończoch i chyba wyglądałam równie głupio, jak się czułam.

— Nie wiedziałam — wykrztusiłam w końcu.

— Och, bo to nie jest oficjalna sprawa. Jak ją spytałem, stanowczo zaprzeczyła, ale na pewno tak będzie. Mogę się założyć.

— Lubisz go?

— W końcu dlaczego nie? To John Linley, wydawca. Znasz go?

— Nie, choć pamiętam, że twoja matka wspominała o nim.

Miałam nadzieję, że ton mojego głosu nie zdradził ogromnej ulgi. W porównaniu z innymi kochasiami Carmel „wydawca” zasługiwał na pełny szacunek. Nie obchodziło mnie jej prywatne życie, ale coraz bardziej troszczyłam się o Tima.

Nie podjął tematu.

— Ile kosztuje tu nocleg ze śniadaniem? — spytał.

Powiedziałam.

— Twój tata nie miał czasu, żeby załatwić formalności. Wolisz zabrać walizkę do Sacher, czy odbierzesz ją później?

— W tym sęk — odparł. — Nic nie mówił, że mam u niego mieszkać. Raczej wyglądało na to, że byłoby to mu nie na rękę. Z drugiej strony wcale się nie pogniewał, że przyjechałem do Wiednia. Kiedy ochłonął z zaskoczenia, przeszedł nad tym do porządku dziennego i zachowywał się całkiem znośnie. Nie zamierza mnie zaraz odesłać, więc na pewno pomoże w znalezieniu posady. Spieszył się, nie mieliśmy czasu pogadać, ale napomknął coś o zezwoleniu na

pracę, dodał, że trzeba to poważnie przemyśleć i że teraz powinienem korzystać z wakacji. W końcu spytał, czy mam dość pieniędzy.

— To mi się podoba — powiedziałam. — Sądzę, że przy dzisiejszym wieczornym spotkaniu omówicie wszystkie szczegóły. Pewnie zechce, żebyś od jutra u niego zamieszkała.

— Nie wiem... — odparł Timothy. — Jak wspomniałem, miło przyjął moją niespodziewaną wizytę, chociaż sądzę, że w głębi duszy jest mocno zaskoczony. Chce się ze mną zobaczyć, to prawda, ale nawet przez chwilę nie myślał, że moglibyśmy razem zamieszkać. Stąd zresztą pytanie o pieniądze.

W jego słowach nie było krzty cynizmu, raczej proste stwierdzenie faktu, wsparte zadziwiająco celną obserwacją, jaka mogłaby zdumieć niejednych rodziców, lekceważących zazwyczaj percepcję dziecka.

— Poza tym — dodał — odniosłem wrażenie, że już ma lokatora.

Popatrzyłam na niego przez chwilę i pokiwałam głową.

— Miejmy nadzieję, że to Christl, bo inaczej wszystko się zacznie komplikować.

— Biedny tata — niespodziewanie stwierdził Timothy i wybuchnął śmiechem. — Zapędziłem go w kozii róg, prawda? Pewnie się teraz nieźle poci. No, sprawdźmy lepiej, czy dostanę tu jakiś pokój. Założę się, że mi wcisną apartament z oddzielną łazienką i setką innych cudów.

— Już zbyt późno, żeby szukać tańszego hotelu. Sądzę zresztą, że twój ojciec zajmie się opłatami. Kurczę, przecież jest ci winien przynajmniej nocleg!

— Prawda, jak amen w pacierzu. A poza tym zawsze mogę się uciec do małego szantażu. Nie uważasz, że mam przed sobą złotą przyszłość?

Podszedł do telefonu.

Tak... — pomyślałam, odkładając ostatnią parę butów. — Sam tego chciałeś. Musi być jednak jakiś łatwiejszy

sposób na dorastanie niż nagły wyskok spod matczynego fartuszka i ucieczka w chłodną, obcą noc, przy brzęku paru monet obojętnie rzuconych męską dłonią. Zdziwiająco, jak normalnym i miłym chłopcem okazał się Timothy...

— Wszystko gra — oświadczył i odłożył słuchawkę. — Pokój dwieście szesnaście, piętro wyżej. Tam osiadę. A co z tobą? Już chcesz zacząć poszukiwania męża, czy przedtem coś zjemy? Nie wiem, jak ty, ale ja nie wytrzymam do jedenastej. Padam z głodu.

Uniosłam wzrok.

— Dzięki za odrobinę taktu. Pewnie aż cię korci, żebym wyjawiała, w co się wplątałam.

Błysnął zębami w uśmiechu.

— Nie mnie o tym sądzić.

Zamknęłam szafę i opadłam na fotel.

— Jeśli poskromisz swój głód przez pięć minut, powiem ci całą prawdę.

— Tylko, jeżeli rzeczywiście tego chcesz.

— Ufność za ufność. Poza tym muszę się przed kimś wygadać. Sprawa jest bardzo prosta, przygnębiająca i wręcz paskudna, ale cóż, takie rzeczy zdarzają się niemal co dzień. Tyle tylko, że nie sądziłam, że i mnie to spotka. Zamierzałam z Lewisem jechać na wakacje, pierwszy prawdziwy urlop od dnia naszego ślubu. Już ci mówiłam, że na dobre utknął w PEC i haruje jak niewolnik, chociaż za dobrą pensję. Zawsze kochał podróże, więc nie bardzo mu przeszkadzało, że nigdy nie wiedział, kiedy wyślą go do Hongkongu, a kiedy do Oslo. Jak się pobraliśmy, uznał, iż pora zmienić wydział, chciał tylko dobrze wyszkolić zastępcę. Miało to potrwać ze dwa, trzy lata. Teraz doszedł do wniosku, że już dosyć. Wiem, zachowywałam się nie najlepiej, ale w końcu to była jego osobista decyzja. Chcieliśmy założyć prawdziwą rodzinę, a w tych warunkach nie mogliśmy właściwie... opiekować się dziećmi.

Tim milczał. Znów stanął przy oknie i najwyraźniej liczył

wzrokiem kamienie w masywnej fasadzie katedry Świętego Stefana.

— Wreszcie... — bardzo się starałam, żeby nie mówić zbyt obronnym tonem — oświadczył, że w połowie sierpnia przechodzi do innej pracy, że czeka nas cały miesiąc prawdziwych wakacji i że pojedziemy, dokąd tylko zechcę. Coś w rodzaju drugiej podróży poślubnej. Pierwsza trwała zaledwie dziesięć dni. Gdy byliśmy w pełni gotowi do drogi, firma dała mu kolejne zlecenie. Tydzień, dwa... sami nie wiedzieli, ile to może potrwać. Właśnie wtedy, kiedy mieliśmy wyjeżdżać! Lewis kupił bilety, ja byłam spakowana... Wszystko.

— Parszywa sprawa — mruknął Timothy w stronę Świętego Stefana.

— Właśnie tak pomyślałam. I powiedziałam. W dodatku nie był to żaden rozkaz, ale prośba ze strony firmy. Lewis oświadczył jednak, że musi jechać, że nikt poza nim nie da sobie rady i tak dalej... Spytałam wówczas, co z facetem, którego uczył, ale on bąknął tylko coś o „ostatnim zadaniu” i powtórzył, że musi jechać. Byłam rozczarowana i wściekła, więc jak typowa baba zrobiłam mu scenę typu „kochasz pracę bardziej ode mnie”. Nie cierpię kobiet, które tak mówią. Praca jest dla mężczyzny całym życiem, a to wymaga od nas choćby małej dozy lojalności... której mnie właśnie zabrakło.

— Wcale ci się nie dziwię — wtrącił Timothy. — Każdy by się wkurzył.

— Sęk w tym, że Lewis także był wściekły z powodu zmiany planów. Spytał, czy naprawdę nie widzę, że wolałby być ze mną, i co ma zrobić, skoro brak rozsądnej alternatywy. Zażądałam wówczas, by zabrał mnie ze sobą. Odmówił, zatem urządziłam mu piekło. Zareagował gniewem i tak się zaczęła najgorsza kłótnia w naszym wspólnym życiu. Nagadałam mu masę głupot, Tim. Wciąż o tym myślę.

Obdarzył mnie ciężkim spojrzeniem. Dziwnie przypominał małego chłopca.

— Dreczę cię wyrzuty, bo mu sprawiłaś przykrość?

Na chwilę zapomniałam, z kim rozmawiam.

— Lewis — powiedziałam powoli — jest arogancki, oschły, zapatrzony wyłącznie w siebie i nie ma żadnych uczuć.

— Tak — odparł Timothy. — To znaczy... nie. Jeśli cię nie wziął, to po co przyjechałaś, zwłaszcza po takiej awanturze?

Zerknęłam na swoje dłonie, zbyt mocno zaciśnięte na kolanie.

— To jeszcze gorsza część opowieści. Podejrzewam, że jest z dziewczyną. Dlatego nie do końca śmiesz mnie wpadka twego ojca.

— Vanesso...

— Wybacz, Tim. Jestem okropna. W żadnym razie nie nadaję się na niańkę ani nawet na zwykłą opiekunkę, ale byłam tak nieszczęśliwa, że musiałam coś zrobić. Dlatego przyjechałam.

— Nie smuć się. Proszę... — Jak to bywa na ogół z mężczyznami, nieporadnie próbował mnie pocieszyć. Nieporadnie, lecz ujmująco. — To na pewno pomyłka. Nie wierz w niczyje plotki. Sama zobaczysz, że prawda wygląda całkiem inaczej.

— Tak. Tak. Na pewno masz rację. — Wyprostowałam się w fotelu, jakbym chciała w ten sposób zrzucić dreżące mnie troski. — Nikt mi nic zresztą nie mówił, takie tylko odniosłam wrażenie i rzecz jasna, mogłam się mylić. Wciąż mi wstyd za mój wybuch. Wszystko bym naprawiła, gdyby Lewis nie musiał od razu jechać. Jak się kiedyś ożenisz, Timothy... — zmusiłam się do uśmiechu — nie trać czasu na awantury. To istne piekło. Jak teraz o tym myślę... Lewis wybiegł z mieszkania, stanął w drzwiach, jakby nagle coś sobie przypomniał, wrócił... Nawet na niego nie patrzyłam. Cmoknął mnie na pożegnanie i wyszedł.

Posłałam Timowi smętne spojrzenie. Z ulgą przekładałam myśli na słowa.

— Zrozumiałam to o wiele później... Zachowywał się tak jak ktoś, kto wyrusza na niebezpieczną misję i nie chce odchodzić w gniewie. Tak... wiem, że to prawda. Dlatego musiałam tu przyjechać.

Wlepił we mnie zdumione spojrzenie.

— Co znaczy „niebezpieczną”? Jaką? Skąd takie podejrzenia?

— Nie mam pojęcia. Zaraz opowiem ci resztę. Będę się streszczać.

Powiedziałam więc o kronice i o ciągu zdarzeń, które przywiodły mnie do Austrii w poszukiwaniu męża.

Słuchał w milczeniu, przycupnięty na poręczy drugiego fotela. Kiedy skończyłam, nie odzywał się jeszcze przez minutę czy dwie. Potem odgarnął włosy z czoła ruchem, który zaczęłam rozpoznawać jako widomy znak podjęcia ważkiej decyzji.

— Z odnalezieniem cyrku nie będzie większych trudności. Ostatnimi czasy niewiele się zachowało wędrownych taborów i przypuszczam, że wszyscy w Austrii wiedzą, gdzie go szukać. Zapytamy portiera w holu. Równie dobry start jak każdy inny. Idziemy?

Wstałam.

— Nie. Najpierw coś zjemy. Wyszukamy prawdziwie wiedeńską restaurację i postaramy się odzyskać nieco wigoru. Potem ja się zajmę „Sprawą zaginionego męża”, a ty przypadkiem „Ojciec i Fraulein”.

— Wspólnie będziemy działać na dwa fronty.

Uniósł się z fotela i rozprostował swą wysmukłą sylwetkę. Przewyższał mnie o pół głowy. Spojrzał w dół, prosto w moje oczy i nagle zrobił niewyraźną minę.

— Dziś rano... zachowywałem się jak przygłup. Teraz strasznie się cieszę, że lecieliśmy razem.

— Ja też — odpowiedziałam i sięgnęłam do szafy po płaszcz. — Na miłość boską, chodźmy na kolację.

Tim okazał się znakomitym tłumaczem, a portier był tak pomocny jak książka telefoniczna. Od razu rozpoznał cyrk jako „Zirkus Wagner”, a wioskę, w której doszło do wypadku, zidentyfikował jako Oberhausen, położone nieco za Bruck, w górzystym regionie Gleinalpe, na zachód od głównej drogi wiodącej z Wiednia do Grazu i do granicy z Jugosławią.

— Praca detektywa to pestka — zauważył Tim, kiedy przekazał mi uzyskane informacje.

Znam niemiecki na tyle, by od biedy czytać napisy na szyldach i rozumiem garść zwrotów pod warunkiem, że są wypowiedzane wolno, wyraźnie i z odpowiednią gestykulacją. Tim, choć czasem także z miną typowego ucznia sylabizował niektóre wyrazy i podpierał się pantomimą, mówił o wiele płynniej, więc nie musiał zbyt długo czekać na odpowiednie rezultaty.

— Spytaj go o pożar — poprosiłam. — Musiał być chyba groźny, skoro słyszano o nim aż w Wiedniu.

Okazało się, że nie. Portier wykonał parę zdecydowanie uspokajających gestów. Wiedział dużo, gdyż sam pochodził z wioski leżącej opodal Innsbrucka, gdzie cyrk Wagnera stawał zimą na kwaterę. Znał dyrektora, kilku artystów i miał całkiem niezłe pojęcie o trasie letnich występów. Pożar? Owszem, potworny wypadek. Tak, były dwie ofiary, bo wóz spłonął w nocy, razem z ludźmi. Kim byli? Jeden doglądał koni, dobry chłopak, znał się na rzeczy, ale wiecie państwo, lubił wypić... Bez wątpienia był wówczas pijany, kopnął lampę albo nie uważał z gazem... W ciasnym wozie nietrudno o wypadek, a takie rzeczy zdarzały się już wcześniej... Tylko dlatego nie wyrzucili biedaka z pracy, że ów stary Franzl miał osobiste układy z Herr Wagnerem, a poza tym naprawdę lubił konie...

— A ten drugi?

W tym momencie kończyła się wiedza portiera. Wzruszył ramionami i rozłożył szeroko ręce. Nie potrzebowałam nie-

mieckiego, żeby zrozumieć, co to znaczy. Ktoś obcy. Ani z cyrku, ani z wioski. Herr Wagner też go nie znał; nie wiedział nawet, że stary Franzl tej nocy miał gościa. Krążyły plotki — portier też je słyszał — że nie chodziło o wypadek, że Franzi był uwikłany w jakąś kryminalną aferę i że razem z tym drugim został zamordowany. Wiecie państwo, zawsze ludzie gadają, jak policja od razu nie zamknie sprawy... Każdy, kto dobrze znał Franzla, uważa to za wierutną bzdurę. Tego drugiego też chyba w końcu rozpoznali, lecz prawdę mówiąc, jak tu spamiętać nazwisko, nawet jeśli podali je w gazetach...

Portier uśmiechnął się przeproszająco i raz jeszcze wzruszył szerokimi ramionami.

— Widzi pani, *gnädige Frau*, już po sprawie i prasa straciła zainteresowanie. Nawet by nie wspomnieli o śmierci Franzla, gdyby nie chodziło o słoń... Czytała pani? Prawdę mówiąc, był tylko jeden słoń, stary i pokazywany wyłącznie podczas parad. Jak zerwał się z uwięzi, podbiegł zaledwie parę kroków w stronę wioski i nie skrzywdził nikogo. Ta dziewczynka, co niby odniosła rany, przewróciła się w czasie panicznej ucieczki. Słoń jej nawet nie dotknął.

— Spytaj go, czy kiedykolwiek słyszał o Lewisie Marchu — powiedziałam do Tima.

— Nie — odparł portier, choć raz względnie krótko.

Chciałam jak najszybciej zakończyć rozmowę, ale portier tak pęczniał z dumy, iż zdobył słuchaczy, że się nawet nie zastanawiał nad przyczyną naszego zainteresowania. Jeszcze parę pytań i wiedzieliśmy wszystko, co trzeba. Dwa dni temu cyrk był wciąż w Oberhausen, bo został zatrzymany przez policję. Potem miał jechać do Hohenwaldu, pięćdziesiąt kilometrów w głąb Gleinalpe. Jutro o dziewiątej czterdzieści rano z Wiednia wyrusza pociąg, który po południu staje w Bruck, a stamtąd przed wieczorem można miejscowym autobusem dotrzeć do Oberhausen albo — jeśli trzeba — nawet do Hohenwaldu. Z noclegami też nie ma

kłopotu. W Oberhausen jest piękny mały *Gasthof*, zwany (rzecz jasna) Edelweiss i wystarczy (rzecz jasna) wspomnieć nazwisko portiera urzędującej tam Frau Weber, aby zgotowała gościom jak najlepsze przyjęcie...

— Boże... — jęknął Timothy, kiedy znów wyszliśmy na hałaśliwy skwer przed hotelem i skręciliśmy w stronę Karn-
tnerstrasse. — Chciałbym z tobą pojechać. Marzyłem, żeby
poznać kulisy cyrku. Obiecuj, że zadzwonisz jutro wiecz-
orem, zgoda? Powiesz, co się zdarzyło i jak ci idzie.

— Obiecuję... O ile będę wiedziała, gdzie cię szukać.

— Oczywiście — przytaknął. — Jeśli ojciec i Christl mnie
nie wezmą, jedziemy razem. Nieswojo mi na myśl, że wy-
bierasz się sama w taką podróż. Na pewno nie chcesz,
żebym ci towarzyszył? Kto ci kupi bilety i sprawdzi rozkład
jazdy autobusów?

— Wierzę, że byłbyś nieocenionym pomocnikiem, ale
teraz radzę się spieszyć, jeśli mamy na czas odnaleźć hotel
Sacher. Nadal sądzisz, że dasz radę zjeść jeszcze jedną kola-
cję? W Deutsches Haus pochłonąłeś całe *Huhnerleberisotto*.

— Dobry Boże, to było wieki temu! — Po posiłku Timo-
thy odzyskał radość życia. Z uśmiechem sunął zatłoczoną
ulicą i tak pilnie oglądał każdą witrynę, że zaczynałam się
obawiać, czy kiedykolwiek dotrzemy na umówione spot-
kanie. — Co to w ogóle za Sacher? Nieciekawa nazwa.
Mają muzyków?

— Nie wiem, ale zaręczam ci, że na pewno nie będzie
nudno. Każdy, kto odwiedza Austrię, uważa za punkt ho-
noru, by tam choć raz zajrzeć. Cudowny wystrój, atmosfera
starego Wiednia... Sam rozumiesz, barok, złoto, czerwony
plusz i dawne dobre czasy... Hotel założyła madame Sacher,
jeszcze w dziewiętnastym wieku i do dziś ponoć krążą w nim
duchy arcyksiążąt, generałów i wiedeńskiej śmietanki towa-
rzyskiej z epoki panowania Habsburgów. Czytałam w prze-
wodniku o księciu, który dla zakładu wszedł tam zupełnie
nagi, strojny jedynie w szablę i parę orderów.

— Nieźle — mruknął Timothy. — Dla mnie bomba. Ciekawe, co by na to powiedziała matka?

Hotel Sacher w pełni potwierdził moje wyobrażenia. Rzęsiste oświetlone wnętrza, szkarłat i złoto, perskie dywany, portrety w ciężkich ramach, mahoń, kwiaty i dziewiętnastowieczna przestrzeń, zapewniająca komfort wypoczynku. Bar „Błękitny”, gdzie miał czekać Graham Lacy ze swoją damą, był z kolei niewielką, przytulną niszą, ozdobioną błękitnym brokatem i tak intymnie oświetloną, iż brakowało mi latarki, aby wziąć ze stołu kieliszek. Koktajl z szampanem kosztował osiem szylingów sześć pensów sztuka. Ojciec Tima zamówił drinki z nonszalancją człowieka, który bezskutecznie próbuje ukryć, iż chodzi o łąpówkę. Christl ze swej strony udawała, że cowieczorne pijanie szampana z Grahamem to sprawa całkiem normalna. Może rzeczywiście tak było.

Z zaskoczeniem stwierdziłam, że polubiłam tę dziewczynę. Nie wiem, czego się spodziewałam; może drapieżnej nordyckiej blondynki, podobnej do tej, jaka stała u boku Lewisa. Christl także miała jasne włosy, lecz ani grama drapieżności — przynajmniej nie na pierwszy rzut oka. Była pulchna, ładna i z pewnością lepiej się czuła w kuchni, smażąc Grahamowi omlety, niż w barze „Błękitnym” hotelu Sacher z kieliszkiem szampana w dłoni. Miała na sobie niebieską suknię, podkreślającą kolor jej oczu, i nie nosiła żadnych pierścionków. Ojciec Tima niewiele się zmienił, chociaż upływ lat pogrubiał jego przystojne rysy, a z wylewnego zachowania wyraźnie wynikało, iż jest zakłopotany przyjazdem syna, który ośmielił się mu przerwać słodką idyllę z niebrzydką Austriaczką.

Że to była idylla, zauważyłam od razu. Graham zakochał się po uszy w młodszej o dwadzieścia lat dziewczynie i nie próbował tego ukrywać. Nie krył także (choć, gwoli

sprawiedliwości trzeba powiedzieć, iż bardzo się starał), że wizytę syna uważa, delikatnie mówiąc, za niefortunny zbieg okoliczności. Kiedy przeszliśmy na kolację do głównej sali, znów zobaczyłam na twarzy Tima ów wyraz pełnej smutku niepewności.

Christl także go dostrzegła. Zerknęłam na nią dokładnie w chwili, kiedy Graham był zajęty rozmową z kelnerem, a ona zebrała się w sobie, by pocieszyć Tima. Oczarowała go bez trudu, gdyż po pierwsze była niewiele starsza, po drugie — ładna, a po trzecie — miała w sobie ów szczególnie, pełen ciepła wiedeński urok, który (a co do tego są zgodni zarówno miłośnicy, jak i wrogowie tego miasta) „gra pieśń, jaką chcesz usłyszeć”. Zanim do połowy opróżniliśmy kieliszki wina, Timothy zdążył się już rozluźnić i pałaszował kolację z takim zapałem, jakby od rana nic nie jadł. Jego ojciec, też mniej spięty, przeniósł uwagę na mnie.

Podziękował uprzejmie za opiekę nad Timem, zręcznie pomijając kwestię, dlaczego to dziś wieczorem nie może zabrać syna do siebie, po czym z wyraźną obojętnością spytał o zdrowie Carmel. Równie beznamyślnie zagadnął o moją rodzinę. Widać było, że gnębi go ciekawość, co tak naprawdę robię w Wiedniu i w jaki sposób Carmel zdołała mnie wciągnąć w swoje sprawy. Najwidoczniej Tim niczego mu nie zdradził w czasie krótkiej rozmowy telefonicznej.

— Mam wakacje — oznajmiłam. — Męża wysłali do Sztokholmu niemal w przeddzień wyjazdu, więc wyruszyłam sama. Dołączycy do mnie później.

— W Wiedniu?

— Nie, w Grazu. Chcemy zwiedzić południową Austrię. Wyjeżdżam jutro rano. Przez przypadek znalazłam się w tym samym samolocie co Timothy.

— Naprawdę? — uprzejmie zdziwił się Graham. — Austria jest wprost przepiękna. Gdzie zamierza się pani zatrzymać?

Ponieważ tuż przed chwilą wysłałam siebie i Lewisa na

wspomniane „zwiedzanie”, nie miałam najmniejszego pojęcia, co odpowiedzieć. Na szczęście dwa lata małżeńskiego stażu nauczyły mnie różnych kobiecych sposobów, jak wybrnąć z trudnej sytuacji.

— Nie wiem — odpowiedziałam bez namysłu. — Kłopoty z zakwaterowaniem pozostawiłam mężowi. Prawdę mówiąc, nigdy nie ingeruję w jego plany. Jadę odpocząć i jestem pewna, że mi będzie dobrze.

— Tak, tak... — mruknął Graham Lacy, a potem zwrócił się do syna: — A ty co zamierzasz, Tim?

Timothy, zaskoczony tak bezpośrednim pytaniem, poczerwieniał, głośno przełknął ślinę i milczał. Słuchał moich kłamstw bez mrugnięcia okiem, podejrzewam, że nawet z pewnym rozbawieniem, ale teraz, gdy miał wybierać między szczerym wyznaniem, że liczył na pomoc ojca, albo jakimś naprędce wymyślonym oszustwem, zupełnie stracił rezon. Nastąpiła bolesna chwila ciszy.

Otworzyłam usta, by coś powiedzieć, ale ubiegła mnie Christl.

— Przecież to jasne: chce zwiedzić Wiedeń! — odezwała się miłym i łagodnym głosem. — Cóż by innego! Prawda, Timmy? — Wymówiła to miękko, niemal „Timi”. — Z przyjemnością zostałabym twoją przewodniczką! Tyle tu wspaniałości, atrakcji turystycznych... choćby Hofburg, Schönbrunn, Prater, Kahlenberg i wszystkie inne ukochane miejsca wiedeńczyków... Przykro mi, lecz nie mogę. Jutro rano wyjeżdżam na wieś. Naprawdę szkoda, ale moi rodzice już od wielu miesięcy nalegali, abym ich odwiedziła, no i w końcu im obiecałam...

— Ale... — zaczął Graham.

Wzięła go za rękę, więc posłusznie umilkł, choć jego zaskoczona mina zdradzała niemal wszystko. Christl posłała mu znaczące spojrzenie. Najwyraźniej zamierzała z szybkością światła opuścić mieszkanie, aby mógł bez przeszkód dopełnić obowiązku i zająć się synem.

— No... — znów odezwał się Graham. Chrząknął. — Jutro niedziela, więc mam wolne. Słuchaj, stary, może wpadnę gdzieś koło jedenastej, zgarnę ciebie i twoje rzeczy, a jak się już urządzisz, ruszymy w miasto? Wprawdzie w ciągu tygodnia nieco brak mi czasu, ale po paru próbach zaczniesz sobie radzić...

Timothy patrzył to na ojca, to na jego przyjaciółkę. Widział to samo, co ja widziałam. Wciąż się lekko rumienił, lecz kiedy zaczął mówić, w jego głosie nie było śladu zdenerwowania.

— To bardzo miła propozycja, tato, ale musisz trochę poczekać. Mam zamiar towarzyszyć Vanessie w podróży na południe.

Trzeba przyznać, że ani Graham, ani Christl nie dali po sobie poznać, że sprawiło im to ogromną ulgę.

— Serio? — spytał Graham. — W pełni doceniam uprzejmość pani March, lecz z drugiej strony, skoro będzie podróżować z mężem, nie sądzisz chyba...

— Lewis nie dotrze tutaj wcześniej niż za dwa, trzy dni — wtrąciłam spieszenie. — Prawdę mówiąc, nie wiem, kiedy zakończy sprawy, więc mam do zagospodarowania sporo wolnego czasu. Obecność Tima będzie mi bardzo na rękę.

— Nie martw się, nie zwałę im się na głowy — wesoło i bez cienia ironii dodał Timothy. — I tak chciałem odwiedzić Styrię, a przede wszystkim Piber, gdzie jest hodowla lipicanów, więc jeśli Vanessa szuka towarzystwa, upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu. Nie masz mi za złe tej „pieczenia”, Vanesso?

— Ani trochę.

— W takim razie — spokojnie oświadczył Lacy junior — wszystko już załatwione. Zawiadomię cię, tato, kiedy wracam do Wiednia.

Z zainteresowaniem zerknął na wjeżdżającą właśnie na stół paterę z ciastkami i wybrał przeogromną porcję *Sachertorte*, słodkiego tortu czekoladowego z bitą śmietaną.

Zanim dopiliśmy kawę, doszło do zupełnego pojednania. Przy stoliku zapanowała luźna i niewymuszona atmosfera. Kiedy w końcu opuściliśmy lokal, Timothy i Graham zgodnie, ramię w ramię, podążyli w kierunku szatni. Wrócili zadowoleni. Graham chyba bez bólu przebrnął przez „problem pieniężny”, a Tim nie musiał uciekać się do szantażu, by otrzymać odpowiednią sumę.

— Szczęśliwej drogi — powiedział Graham, gdy zaczęliśmy się żegnać. — Opiekuj się panią March, Timmy. I zadzwoń przed przyjazdem. Gdybyś mnie zawiadomił teraz... — Przerwał, po czym dokończył niezręcznie: — To nie było najlepsze powitanie dawno nie widzianego syna.

Żart zabrzmiał raczej smutno na spowitej cieniem nocy wiedeńskiej ulicy.

— Poprawię się następnym razem — z uśmiechem obiecał Timothy. — I dziękuję za wszystko. Było super.

Peugeot odjechał. Timothy i ja wróciliśmy piechotą do hotelu.

— Nie gniewasz się? — spytał Tim.

— Przecież wiesz, że nie. Powiedziałam już wcześniej: cieszę się z twojego towarzystwa. Nie kłamałam. A skoro mowa o kłamstwach... Dobrana z nas para, co? To naprawdę miła dziewczyna, Tim.

— Owszem. Z początku byłem wściekły. Nie umiałem się pohamować. Ale potem mi przeszło.

Mijaliśmy właśnie jasno oświetloną księgarnię Parchnera. W oczach Tima zauważyłam coś, czego nie było w nich przedtem. Jakieś... czyste, wewnętrzne światło.

— Poza tym — dodał — on ma pełne prawo do własnego życia. Nikomu z nas nie wolno przywiązywać się zbyt mocno do drugiej osoby. Czasem trzeba pozwolić jej odejść.

— Masz rację — odparłam.

ROZDZIAŁ IV

Więc jestem na koniec w Lesie Ardeńskim! tym większy ze mnie błazen; kiedyś był w domu, lepiej mi było; ale podróżny musi przestać na małym.

Szekspir: „Jak wam się podoba” *

Następnego dnia o piątej po południu dotarliśmy do Oberhausen.

Teraz, skoro miałam przy sobie Tima, zrezygnowałam z pierwotnego planu jazdy pociągiem do Bruck lub Grazu i wynajęcia samochodu dopiero tam. Przede wszystkim była niedziela i nie miałam pewności, czy odpowiednie biura są jeszcze otwarte. Okazało się jednak, że w Wiedniu można załatwić wszystko i o każdej porze, zwłaszcza dzięki uczynności pań z recepcji hotelu Am Stephansplatz.

Tak więc tuż przed południem opuściliśmy miasto wynajętym volkswagenem. Jechaliśmy pustawymi ulicami; ja za kierownicą, Tim obok, z mapą rozłożoną na kolanach. Bezbłędnie poprowadził mnie przez Triester Strasse, obok cmentarzyska samochodów, do drogi na Wiener Neustadt.

Dzień był przepiękny. Posuwaliśmy się autobahną prowadzącą z Wiednia na południowy zachód. Krajobraz po obu stronach autostrady, początkowo nudny i upstrzony fabrykami, wkrótce z monotonnej równiny zmienił się w zalesione wzgórza. Za Wiener Neustadt znaleźliśmy się wśród gęsto porośniętych zboczy, zielonych pastwisk i romantycz-

* przekł.: Leon Urlich

nych turni poprzecinanych strumieniami bądź ukoronowanych blankami zamków.

Był to pejzaż bardziej z sielanki niż romansu, bardziej pasterski niż napawający grozą. W dolinach rosły zboża, a złote pola ciągnęły się aż do podnóża gór. Nawet kiedy szosa — majstersztyk austriackiej inżynierii — zakolami zaczęła się wspinać w stronę przełęczy Semmering, sceneria nie uległa najmniejszym zakłóceniom; ogromne połacie sosnowego lasu stały się wspinałą ramą dla leżącego w dole obrazu spokojnej ludzkiej egzystencji.

Na obiad zatrzymaliśmy się w Semmering — na wysokości dziewięciuset osiemdziesięciu pięciu metrów, w miejscu, gdzie nawet zimą świeciło słońce, a teraz, w samym środku lata, powietrze było tak rześkie, że Tim zgłodniał bardziej niż zazwyczaj, a ja w pełni odzyskałam apetyt, stłumiony nerwowym napięciem, do którego nie chciałam się przyznać, a które narastało, w miarę jak zbliżał się koniec podróży.

Przed trzecią znów byliśmy w drodze, mijając coraz piękniejsze widoki, aż parę kilometrów za Bruck porzuciliśmy autostradę oraz biegnącą wzdłuż niej rzekę i skręciliśmy w dolinę.

Zjechałam na gęsto posypane igliwem pobocze.

— Masz prawo jazdy? — spytałam Tima. — Chcesz prowadzić?

— Z przyjemnością — odparł szybko. — Zmęczyłaś się?

— Trochę. Nie przywykłam do jazdy prawą stroną, z kierownicą na niewłaściwym miejscu i wśród aut pędzących do domu po weekendowej wycieczce. Muszę przyznać, że świetnie radziłeś sobie z mapą i ze znakami. Mam nadzieję, że ci dorównam. A może już wiesz, jak jechać?

— Chyba wiem — odparł. Zamieniliśmy się miejscami. — Poza tym na tej bocznej drodze nie będzie zbyt wielkiego ruchu.

Zerknął na deskę rozdzielczą, żeby sprawdzić rozkład przyrządów, pobawił się dźwignią biegów i ruszyliśmy. Nie

byłam zaskoczona — już od dawna przestałam uważać go za dziecko — że okazał się całkiem dobrym kierowcą. Mogłam więc odpoczywać i myśleć o czekającej mnie przyszłości, choć głupia duma nakazywała mi udawać, że podziwiam widok za oknem.

A było co podziwiać. Szosa najpierw biegła przez sosnowy zagajnik, wzdłuż głośno szumiącego strumienia, później zaś, po okrążeniu zielonego wzgórza, zaczynała się wspinać, pozawijana wokół zębatych skał, gęsto porośniętych lasem. Strumień łoskotał coraz głośniej, spływając kaskadami w stronę kamienistej kotliny.

Wkrótce wyjechaliśmy z wąskiego przesmyku i znaleźliśmy się w szerokiej dolinie otoczonej wzgórzami. Tu już szosa była mniej kręta, zatopiona w zielonych łąkach, porośniętych wysokimi do kolan, biało-żółtymi kwiatami. Za połoniną piętrzyły się góry; z dołu łagodne, pokryte trawą, obramowane tłumem sosen, jakby spływających po zboczu, aby wypełnić każdy wolny załom i każdą szczelinę. Można było pomyśleć, że to las wieńczący szczyty wykipiał gęstą zielenią i zalał wszystkie zakamarki niczym śmietanka na puddingu. Wyżej, nad zwartą płataniną gałęzi, sterczał nagi kamień; połyskujące srebrem zręby skały, gdzieś tam przestronięte białym welonem spadającej wody.

Mimo to krajobraz nie przytłaczał. Góry, odarte z majestatu, majaczyły gdzieś z boku, a oko przyciągały o wiele bliższe, rozkołysane złotem łąki i ujmująco sielski widok maleńkich domków, tu i tam przycupniętych wokół kościołów i zagród. Na polach schło świeżo skoszone zboże, pozaczepiane na tykach niczym len na kądzieli, a rżysko z tej odległości przypominało pluszowy dywan. Raz po raz mijaliśmy kapliczkę, mikroskopijny ołtarz wyjęty z apsydy, z malowaną figurką w otoczeniu kwiatów i jaskółek polatujących nad spadzistym dachem. Chaty, o ścianach białych lub także malowanych, najczęściej różem bądź błękitem, pod każdym oknem miały skrzynkę pełną petunii, geranium

i margerytek. W sadach rosły nabrzmiałe owocami jabłonie i śliwy, a przy każdym domu stała rozłożysta morela. Wszystko lśniło, grało, kusiło blaskiem. Małe wiejskie kościoły dumnie wznosiły kopulaste wieże, ozdobione na szczycie złocistym kurkiem. Krowy o barwie dojrzałego miodu leniwie pasły się na łąkach, miarowo pobrzękując ogromnymi dzwonekami. Tu, w dolinie, było tak wiele słońca, kolorów i spokoju, że wzrok rzadko umykał ku strzelistym skałom. Te ostatnie stanowiły jedynie tło dla pejzażu, na którym z wolna kładły się długie popołudniowe cienie.

Gdy wjechaliśmy do Oberhausen, od razu zobaczyłam naklejony na pniu drzewa plakat z napisem CYRK WAGNERA. Chwilę potem na prawo od szosy ukazał się cały tabor. Dziwaczna kolekcja wozów, namiotów i ciągników, rozstawiona w ordynku wokół centralnego namiotu.

Timothy zwolnił, żebym mogła popatrzeć.

— Wciąż są tutaj — mruknął. — To już coś. Od czego zaczniemy?

— Jedziemy dalej. Spróbujmy znaleźć *Gasthof*. Portier mówił chyba, że to na końcu wioski... Najpierw musimy się zakwaterować.

— Zgoda.

Uliczka była wąska, bez chodników, jedynie z wydeptaną ścieżką po obu stronach, za drzewami. Tu i ówdzie jakiś ganek czy parę schodków, niemal dotykających szosy, zmuszały przechodniów do porzucenia pobocza i wyjścia na jezdnię. Wcale im to nie przeszkadzało. Prawdę mówiąc, chętniej korzystali z gładkiego asfaltu aniżeli z pylistej drożki. Bez rozglądania się na boki przechodzili przed maską samochodu. Jak w większości austriackich wiosek tutaj także obowiązywał zakaz używania klaksonu, więc sunęliśmy w iście ślimaczym tempie. Do moich uszu docierały tylko nieco złośliwe, choć utrzymane w wesołym tonie uwagi Tima.

W końcu opuściliśmy ciasną drogę i wjechaliśmy na rynek,

gdzie stała wiekowa studnia i kilka ławek pod cienistymi drzewami. Na wprost nas wznosił się kościół z cebulastą kopułą i złotą strzałką wiatrowskazu. Dalej ulica rozchodziła się w dwie strony.

— Stańmy tutaj i zapytajmy, w którą stronę skręcić — zaproponowałam. — Jak źle pojedziemy w tym tłumie, Bóg wie, ile czasu upłynie, zanim zdołamy zawrócić.

Tim zaparkował przy krawężniku pod platanem i wychylił się przez okienko. Nie musiał długo czekać na pomoc: przez ulicę szła właśnie trójka rozchichotanych kobiet z szóstką dzieci czepiających się ich spódnic. Odpowiedziały wszystkie naraz, szeroko wymachując rękami, a dzieciaki, oniemiałe na dźwięk obcego akcentu w głosie Tima, otoczyły samochód kołem i wpatrywały się w nas szeroko rozwartymi, niebieskimi oczami.

Wreszcie Tim cofnął głowę.

— Nie mów — odezwałam się. — Niech zgadnę. W prawo.

Błysnął zębami w uśmiechu.

— Nie da się zabłądzić. Cisza i spokój, jak zapewniały, gdyż główna droga odchodzi w lewo. Podoba mi się tutaj. Popatrz choćby na tę konstrukcję, pompę, czy coś takiego, sądząc po kutym w żelazie wystroju. Piękna. A tam? *Konditorei*, piekarnia, ze stolikami w środku. Może kupimy parę ciastek? Nie teraz, jak już wynajmiemy pokój...

Paplał dalej, wyraźnie podniecony, z twarzą skąpaną w promieniach słońca, ale przestałam go słuchać, a nawet widzieć. Uroczą, pełną gwaru i ludzi wioska stała się cieniem za plecami jednej jedynej osoby. Zobaczyłam blondynkę Lewisa.

Stała koło studni, żeby zamienić kilka słów ze starą kobietą w czerni, niosącą naręczę kwiatów. Była częściowo odwrócona i dzieliło ją ode mnie co najmniej trzydzieści metrów, ale nie mogłam się mylić. Potem spojrzała w moją stronę i już wiedziałam na pewno. To właśnie ją zobaczyłam

w kronice. Co gorsza, w pełnym świetle dnia prezentowała się jeszcze piękniej. Średniego wzrostu, o szczupłej, ponętnej figurze, z włosami starannie związanymi w koński ogon, utraciła ów nieco dwuznaczny wygląd, jaki nadawał jej czarny płaszcz i rozwichrzona fryzura. Teraz była ubrana w tradycyjną białą bluzkę, kwiecistą *drindl* i fartuszek. Mogła mieć co najwyżej osiemnaście lat.

Właśnie ze śmiechem pożegnała starszą kobietę i ruszyła w kierunku naszego samochodu.

— Tim — powiedziałam cicho — schowaj głowę i zamknij okno. Szybko.

Usłuchał natychmiast.

— Ta dziewczyna, co idzie w naszą stronę... Ta ładna blondynka w niebieskiej spódnicy... Właśnie ją widziałam w kronice. Nie, nie patrz na nią. Zerknij tylko, żebyś mógł ją potem rozpoznać.

Szła dziarskim krokiem w cieniu gałęzi drzew i bez jednego spojrzenia w bok minęła auto. Nie odwróciłam się, lecz widziałam, że Tim ją obserwuje we wstecznym lusterku.

— Idzie w głąb ulicy. Czekamy?

— Tak. Zobacz, gdzie skręci.

— Straciłem ją z oczu — powiedział po chwili. — Kręci się tam zbyt wielu ludzi. Szła prosto w stronę, z której przyjechaliśmy.

— Do cyrku?

— Chyba tak. Chcesz, żebym zrobił szybki wypad i wyszedł, czy naprawdę tam poszła?

— A możesz?

— Pewnie. — Już wyskakiwał z samochodu. — Zawsze chciałem grać rolę Jamesa Bonda. A kto by nie chciał? Zostań i zapłać za parkowanie.

Trzasnęła drzwiami. Przekręciłam lusterko w taki sposób, że mogłam widzieć jego wysoką postać sunącą środkiem ulicy. Nonszalancją ruchów dorównywał mieszkańcom wioski. Potem zniknął.

Opadłam na fotel, ale nie po to, by odpocząć. Bez zdziwienia zauważyłam, że drzę, a moje oczy niechętnie, lecz gorączkowo przeszukiwały ciżbę.

Zatem się nie myliłam. Zbyt wiele faktów znalazło potwierdzenie. Teraz, kiedy zyskałam pewność, zaczęłam się z wolna rozklejać. W ciemnym kinie widok Lewisa i dziewczyny w obcej scenerii, w czasie krótkiej, nabrzmiałej tragedią sceny, zdawał się odległym snem, nierealnym i odchodzącym w zapomnienie, gdy tylko zapłonęły światła. I jak zawsze bywa w podobnych przypadkach, gwar londyńskiej ulicy odepchnął ów sen jeszcze dalej od prawdziwego świata. Mój nagły przyjazd do Austrii wciąż miał w sobie posmak nierealności. Magiczny urok gór, sielska dolina... wszystko to wydawało się częścią iluzji.

Ale teraz?... Oberhausen, cyrk, dziewczyna... i Lewis?

— Nie kazali ci płacić? — To był Tim.

— Nie. Przestraszyłeś mnie. Nie słyszałam, że wracasz.

— Wreszcie odnalazłem prawdziwe powołanie. — Usadził się obok mnie, na fotelu kierowcy. — Zręcznie śledziłem podejrzaną aż do samego cyrku. Chyba tam pracuje, bo bez wahania przeszła przez bramę i zniknęła między wozami. Mieszkańcy wioski, a był ich cały tłum, łącznie z dziećmi, kierują się w drugą stronę, gdzie ustawiono coś w rodzaju otwartej dla publiczności menażerii. Przy bramie stał bileter, ale nie zadawałem mu żadnych pytań. Dobrze zrobiłem?

— Jak najbardziej.

— A teraz inne wieści. Cyrk rusza jutro w drogę. Na plakatach nalepiono informację, że pożegnalny występ odbędzie się dzisiaj o ósmej.

— Tak? Zatem mieliśmy szczęście. Dzięki, Tim.

— Drobiazg. Miałem niezłą zabawę. Chyba nie będę tracił czasu w Hiszpańskiej Szkole Jazdy. To nie dla Bonda... Chociaż prawdę mówiąc, moim ulubieńcem był zawsze Archie Goodwin, pomocnik Nero Wolfe'a. Przystojny, rzutki i pies na kobiety...

— No to masz swoją szansę — wtrąciłam. — O ile zawczasu nie wpadniemy na Lewisa. Chcę, żebyś śledził tę dziewczynę.

— Czyli tak zwana spleta długu. Da się zrobić — oświadczył wesoło. — Kurczę, jak ta droga jeszcze się zwęzi, zdrapiemy cały lakier... Czekaj, to chyba tutaj.

Gasthof „Edelweiss” był czarujący i — mimo nazwy — bezpretensjonalny. Długi, niski, jednopiętrowy budynek, z ukwieconymi oknami i ze spadzistym dachem, na którym wygrzewało się kilka gołębi. Stał na samym skraju wioski, a przechodząca obok szosa okazała się dojazdem do jakiejś zagrody. Na starannie zgrabionym dziedzińcu, pod orzechem, przy równo ustawionych stołach siedziało parę osób popijających kawę i piwo. Gruchające gołębie uwijały się pod ławami. W górze śmigały jaskółki, planujące już pewnie odlot w cieplejsze strony. Powietrze pachniało sosną.

Dostaliśmy sąsiednie pokoje, wychodzące na szeroką werandę z tyłu domu. Okna spoglądały na pola, a w maleńkich, czystych pokojach panowała niezmacona cisza. W moim na wyskrobanej do białości sosnowej podłodze leżały dwa jaskrawe, pseudoperskie dywaniki. Stało tu kilka solidnych mebli: wygodny fotel, piękny stary kufer z ciemnego drewna, malowany na bokach, i niezbyt wygodna szafa. Żelazne żyrandole i ciężko okute drzwi przywodziły na myśl wystrój gotyckiej katedry. Na ścianach wisiały dwa malowane olejną farbą na desce obrazy. Jeden z nich przedstawiał jakiegoś świętego w błękitnej szacie, zabijającego smoka, drugi — podobną postać, tyle że odzianą na czerwono i podlewającą kwiaty. Wyglądało na to, że Austria mogła się pochwalić sporym bogactwem świętych.

Rozpakowałam się pospiesznie. Początkowo sądziłam, że przyda mi się chwila samotności, żebym mogła raz jeszcze wszystko przemyśleć. Okazało się jednak, że wcale nie mam ochoty na refleksje. Wyłączyłam umysł i skupiłam całą uwagę na przeglądaniu garderoby. Cieszyłam się, że już za chwilę siądę z Timem przy stole pod orzechem.

Ale gdy byłam już gotowa, zwlekałam z wyjściem. Otworzyłam na oścież oszklone drzwi i przeszłam na werandę.

Wznosiła się zaledwie metr nad ziemią, więc gdy zerknęłam przez balustradę, miałam wrażenie, że stoję wprost na łące. W nozdrza uderzył mnie dawno zapomniany zapach świeżo skoszonego siana, schnącego w popołudniowym słońcu. Za połącią przyszczyżonej zieleni szumiał ukryty wśród drzew potok, a jeszcze dalej, za zwiewną zasłoną wierzb i jesionów, piętrzyły się sosny, prawie sięgające srebrzystych szczytów. Część doliny tonęła w głębokim cieniu. Było już wpół do siódmej.

Na ciche stuknięcie odwróciłam głowę. Timothy wyszedł na swoją część werandy. Miał na sobie czystą koszulę i był najwyraźniej gotów do akcji.

— Aaaa... tu jesteś. Tak myślałem. Postanowiłaś już co dalej?

— Jeszcze nie. Wybacz, ale nieco straciłam głowę. Odkąd ujrzałam tę dziewczynę, nie mogę dojść do siebie. Jeśli chcesz wiedzieć, to jakbym spotkała ducha.

— Nie wierzyłaś, że naprawdę istnieje? Rozumiem — dodał zaskakująco. — Czułem to samo na widok Christl. Chociaż z drugiej strony, nie bardzo wiem, po co się nią martwisz... To znaczy... nawet jeśli jest jakiś związek... że widziałaś ich razem w kronice... Przecież... — Zawahał się, chwilę szukał odpowiedniego słowa, a potem rzucił bez ogródek: — Kurczę, może sobie być ładna, ale co to ma z tobą wspólnego?! Jesteś piękna! Słyszałaś to już od kogoś?

Prawdę mówiąc tak, i to nieraz, ale nigdy w ten sposób. Po prostu odebrało mi mowę.

— Dziękuję — wykrztusiłam w końcu. — Ale... nie to mnie najbardziej martwi. Po prostu... miałam być całkiem gdzieś indziej, więc nie bardzo wiem, jak odszukać Lewisa i co mówić, kiedy się już spotkamy... — Stanęłam plecami do łąki i energicznie uniosłam głowę. Nadchodził czas decyzji. — Dobrze... Główne ślady prowadzą do cyrku. Występ

zaczyna się o ósmej? Więc mamy mnóstwo czasu..Zjemy, pogawędzimy z Frau Weber, a potem pójdziemy do wioski. Jeśli tutejsza wieś choć trochę przypomina naszą, poczta pantoflowa działa z szybkością światła. Lewis mógł się dowiedzieć o moim przybyciu już pół minuty po tym, jak się wpisałam do księgi meldunkowej.

— Ponieważ to ostatni pokaz, zaczęną się zwijać zaraz po finale i do rana będą już w drodze. — Tim zerknął na mnie spod oka. — Myślę sobie... że mógłbym nieco wcześniej załatwić bilety.

— Tkwili tutaj przez cały tydzień, zatem nie ma pośpiechu... — Roześmiałam się. — Jasne. Dlaczego nie? Pięknie wyśledziłeś „podejrzaną”, to i teraz dasz sobie radę.

— Wzór dyskrecji — obiecał. — Nie pisnę ani słowa. Wrócę na kolację.

— Bez wątpienia — mruknęłam, ale już go nie było.

ROZDZIAŁ V

Widzę, że pan ten nie jest u pani dobrze zapisany.

Szekspir: „Wiele hałasu o nic” *

Cień orzecha lekko kładł się na stole, a ciepły powiew wiatru targał czerwonym, kraciastym obrusem. Zwinięty w kłębek pod jednym z drzew spał ogromny bernardyn. Widać trafił go jakiś psi sen, gdyż od czasu do czasu drżał na całym ciecie. Wokół panował błogi spokój. Sączyłam wermut i powtarzałam sobie w duchu, że muszę myśleć, myśleć, myśleć... Cały czas wlepiąłem wzrok w ulicę, jakby w nadziei, że ujrzę nadchodzącego Lewisa.

Presja była tak silna, że aż drgnęłam na widok Tima. Chwilę później naprawdę zamarłam ze zgrozy, gdyż zobaczyłam, kto mu towarzyszy. Nie, nie Lewis, ale... znajoma blondynka.

Timothy stanął przy moim stole i dokonał wzajemnej prezentacji.

— Vanesso, to Annalisa Wagner. Z cyrku... Pamiętasz te namioty po drugiej stronie wioski? Panno Wagner, to pani... — Zbyt późno spostrzegł pułapkę. Utknął w pół zdania.

— March — powiedziała, nie spuszczać oka z dziewczyny. — Vanessa March.

* przekł: Zofia Siwicka

— Witam panią. — W jej zachowaniu nie było nic szczególnego, poza normalną uprzejmością. Zauważyłam kwaśno, że miała miły głos i bezbłędnie mówiła po angielsku.

— Zechce się pani przysiąść, panno Wagner?

— Z chęcią, dziękuję. Proszę mi mówić Annalisa.

— Coś do picia? — spytał Timothy.

— Kawę.

— Tylko kawę? Może wermut albo...

Potrząsnęła głową.

— My, cyrkowcy, rzadko sięgamy po alkohol. To nie popłaca. Proszę o kawę.

Tim skinął dłonią na kelnerkę, która zaraz do nas podeszła — rzadkie zjawisko w każdym kraju, ale w Austrii (o czym zdążyłam się przekonać) graniczące z cudem. Tim zachowywał się tak, jakby sam kandydował na kierownika sali. Ukradkowym, choć triumfalnym gestem dał mi znak „działaj” i usiadł. Annalisa także — z uśmiechem wygładzając spódnicę w niebieskie kwiaty.

Z bliska była jeszcze ładniejsza, obdarzona jasną germańską urodą i zupełnie niepodobna do Christi. Chyba nikt nie mógł sobie wyobrazić Fräulein Wagner stojącej przy kuchni. Jej miejsce było raczej wśród smukłych i wysportowanych piękności, jakie zdobywały medale olimpijskie za jazdę figurową na lodzie albo z niewiarygodną zręcznością balansowały na nartach podczas slalomu. To, że w kinie jawiła mi się jako krucha i delikatna, wywołane było obecnością Lewisa, a przede wszystkim kontrastem z jego barczystą sylwetką i opiekuńczym zachowaniem. A może — pomyślałam o tym dopiero teraz — kamera uchwyciła ją w chwili szoku i otępienia. W końcu chodziło o jej cyrk...

— Nazywasz się Wagner, prawda? Cyrk należy do twojej rodziny? — spytałam.

— Do ojca. Timothy wspomniał, że będziecie na wieczornym przedstawieniu.

— Owszem. Co prawda właśnie przyjechaliśmy, ale sły-

szałam, że od jutra ruszacie w trasę. Nie chciałabym przepięć pożegnalnego występu.

— Zwijamy namiot dziś w nocy, zaraz po finale. — Pokiwała głową. — I tak siedzieliśmy tu zbyt długo.

Czekałam, lecz nie zamierzała ciągnąć tego wątku.

— Lubisz cyrk?

Zawahałam się.

— Niezupełnie — odpowiedziałam zgodnie z prawdą. — Nie przepadam za tresurą zwierząt, ale uwielbiam co innego: taniec na linie, trapez, klaunów i akrobatów.

— A konie?

— Och, nie zaliczam koni do tresowanych zwierząt. Chodziło mi o małpy, niedźwiedzie, tygrysy... Kocham konie. Dużo ich macie?

— Raczej nie. To niewielki cyrk, ale nie ma prawdziwego cyrku bez koni. Dla nas są najważniejsze. Ojciec naucza woltyżerki, a nasz zespół jest tak dobry jak w cyrku Schumann, choć oczywiście znacznie mniejszy.

— Cieszę się, że je zobaczę. A mój młody przyjaciel będzie wprost zachwycony.

— Wiem. Przyłapałam go w stajni. Nie mam pojęcia, jak tam się przekradł.

— Kupiłem bilet do menażerii, lecz gdy za rogiem dostrzegłem konie, odechciało mi się oglądać małpy i papugi.

— Tak, tak... Marna impreza. Obliczona głównie na dzieci.

— Świetnie mówisz po angielsku — wtrąciłam.

— Moja matka była Angielką, a poza tym wciąż ćwiczę, bo nasz cyrk to prawdziwa wieża Babel. Ludzie z całego świata: klauni z Francji, Węgier w tańcu na linie, akrobaci z Japonii, Anglik w komicznym numerze z osłem i amerykański zongler. Do tego garść Austriaków i Niemców.

— Narody Zjednoczone — zauważył Tim.

— Właśnie. — Z uśmiechem spojrzała na niego. — I to naprawdę zjednoczone. Tak trzeba.

— Ty też występujesz?

— Tak. Asystuję ojcu... a na samym początku każdego przedstawienia jest numer wzięty z rodeo. Trochę jeźdź solo. Mam lipicana...

— Co masz?! — Słyszalne w głosie Tima podniecenie w pełni usprawiedliwiało ów nagły okrzyk.

— Lipicana. To taka rasa...

— Wiem. Znam. Chciałem jechać do Pibru, obejrzeć stadninę, a potem pokaz w Wiedniu. Naprawdę masz szkolonego lipicana? Sądziłem, że ich nie sprzedają.

— Szkolony, ale nie ze szkoły. Dziadek kupił go jako czterolatka, a wuj zajął się treningiem... Mnie także nie skąpił nauk.

— Jazda wyższej klasy?

Skinęła głową.

— Występujesz sama? Jesteś... jak to się mówi? *Écuyere*?

Mimochodem zauważyłam, że Annalisa awansowała w słowniku Tima z „podejrzanej” lub „blondynki Lewisa” na główną gwiazdę. Zatem dobrze ją oceniłam: była młodą kobietą o dostatecznych umiejętnościach i sile, aby utrzymać na wodzy dorosłego ogiera o mięśniach jak ze stali.

— Jezu! — Timothy aż pokraśniał z uwielbienia.

— Ależ nie, zapewniam, że nie wzięliby mnie do Wiednia! — zaprotestowała ze śmiechem. — Żadnych akrobacji w powietrzu z wyjątkiem *levade* i czasami *croupade*... — Odwróciła się do mnie. — To skok, kiedy koń zwija nogi... dobrze mówię?

— Kurczy — odpowiedział Timothy.

— ...kurczy nogi pod siebie i ląduje dokładnie w tym samym miejscu. Chciałam, żeby go wyuczono *capriole*, kiedy po *croupade* następuje wyrzut tylnych nóg niemal do poziomu, ale to bardzo trudna sztuka i nie dał rady. Więcej w tym mojej winy niż jego.

Widząc cielęcy zachwyt w oczach Tima, sądziłam, że zaprotestuje, ale nie zrobił tego. Podobnie jak ona wiedział, że odpowiedzialność zawsze spada na jeźdźca.

— W innych figurach jest wprost wspaniały — dodała Annalisa. — Pochodzi z linii Maestoso i nosi imię Maestoso Leda... Obdarzony znakomitym słuchem... Zresztą, co wam będę mówić. Zobaczycie dziś wieczorem. Jak się uda, spróbuję *croupade*, specjalnie dla was.

Wymruczeliśmy podziękowania. Tim błyskał oczami. Musiałam ostro wziąć się do roboty, jeśli chciałam, żeby Annalisa pozostała Główną Podejrzaną w „Sprawie zaginionego męża”.

— Nie mogę się doczekać — mówił Tim. — Był wśród innych koni? Nie widziałem go.

— Stałeś po drugiej stronie stajni. — Znow mu przesłała promienny uśmiech. — Nie dotarłeś, gdzie trzeba. Chcecie po występie obejść wszystkie boksy? Będzie dość czasu, zanim zwiną namiot.

— Też pytanie! — Zaraz się zmitygował i zerknął na mnie. — Vanesso?...

— Z przyjemnością — odpowiedziałam. — Ile ich macie?

— Wszystkich razem dwadzieścia siedem, do tego kuce. Te, które występują, są znakomite. Timothy na pewno je polubi. Dwanaście wyśmienicie ułożonych palomino. Na dziś w pełni sprawnych jest tylko dziesięć, ale i tak będzie na co patrzeć.

— W pełni sprawnych? — powtórzyłam, ciekawa, czy powiedziała to świadomie, czy jej angielski był jednak nieco kulawy. — A co z pozostałymi? Chore?

— Nie, ale są tak cenne, że zasługują na szczególną troskę. Tydzień temu kilka zostało poranionych. Nocą wybuchł pożar wozu, przestraszone zaczęły się szarpać... Sami rozumiecie... — Zniżyła głos. — Co gorsza... w tamtym wozie było dwóch ludzi. Spłonęli.

— Straszne... Jak to się stało?

— Jeszcze nie wiadomo. — Pomyślałam, że na tym koniec, ale Annalisa energicznie wzruszyła ramionami i mówiła dalej: — Jak zostanieie dłużej, na pewno poznacie szczegóły. W całym Oberhausen od tygodnia aż huczy. Przyjechała policja, wszczęto śledztwo, cyrk musiał zostać... — Zmar-

szczyła nos. — „Śledztwo"... Wielogodzinne przesłuchania, grzebanie w zgłiszczach, a na koniec rozkaz: „Jutro możecie jechać. Już po wszystkim".

— Tak mi przykro... Musiałaś to bardzo przeżyć.

— Nie bardziej niż ojciec. — Skierowała na mnie spojrzenie niebieskich oczu. — Właścicielem wozu był nasz kuzyn, Franz Wagner... wujek Franzi, jak go nazywałam, chociaż łączyło nas dalsze pokrewieństwo. Zawsze dla mnie był stary. Dołączył do zespołu, gdy byłam jeszcze dzieckiem.

W nagłym odruchu współczucia zapomniałam o uprzedzeniach.

— Fräulein... Wybacz, Annaliso. Nie wiedziałam, że to twój krewny. Okropne. Jak się trzymasz?

Znowu wzruszyła ramionami, jakby chciała odpędzić przeszłość.

— Już po wszystkim.

— A ten drugi? Wspominałaś o dwóch ofiarach...

— Nie miał nic wspólnego z cyrkiem. Spotkał gdzieś wujka Franzla i wpadł na jednego... albo na pogawędkę. Kto to może wiedzieć? Nikt z nas nawet nie podejrzewał, że w wozie są dwie osoby. Wujka wyciągnęli zaraz... Żył jeszcze chwilę... parę minut. Drugie ciało znaleziono dopiero w zgłiszczach.

— Jasne.

Umilkłam na chwilę. Może nie powinnam była jej mocniej naciskać, ale zauważyłam, że mimo smutnej miny mówiła całkiem spokojnie. Pewnie powtarzała to setki razy w ciągu minionego tygodnia.

— Ustalono jego tożsamość?

Skinęła głową.

— Anglik. Nazywał się Paul Denver i pracował w wiedeńskim oddziale jakiejś brytyjskiej firmy... Nie wiem dokładnie, co robił; coś związanego z rolnictwem. Ojciec go nie znał i nawet nie słyszał, żeby należał do przyjaciół wujka Franzla. To był nasz pierwszy dzień w Oberhausen... Zwykle zaczynamy występy w niedzielę, więc można sądzić, że wuj

Franzl poszedł wieczorem do knajpy, spotkał chętnego kompana, razem wrócili do taboru i... Pewnie marudzili do późna przy flasce... Nietrudno sobie to wyobrazić...

Urwała, więc wtrąciłam „tak”. Bez kłopotu mogłam odtworzyć bieg wydarzeń. Wóz płonący niczym pochodnia, dalej wystraszone konie, dziki wrzask z menażerii, chaotyczne okrzyki ludzi...

— Spadła lampa — ciągnęła Annalisa. — Znalezione pęknięty haczyk. Zaalarmował nas kwik koni. Potem rozległo się wołanie, że w wozie ktoś został, ale pożar rozgorzał na dobre... Z mroku wybiegł inny Anglik... Pomógł wyciągnąć ciało. Policja ustaliła, że się znali. Mieli wyznaczone spotkanie w Oberhausen.

Pierwszy zareagował Timothy.

— Inny Anglik?

— Tak. Pracownik tej samej firmy. Właśnie przybył z Wiednia, zobaczył ogień i pospieszył na pomoc.

— Kiedy wyjechał? — To znów Timothy.

— Wyjechał? — powtórzyła Annalisa. — Nie... Wciąż jest tutaj.

Nagle urwała, uśmiechnęła się i wraz z tym uśmiechem z jej twarzy zniknął cały smutek. Spoglądała gdzieś za mnie, na drugą stronę ulicy.

— Właśnie idzie! — zawołała.

W cieniu rzucanym przez orzech zamajaczyła jakaś postać. Stała, spoglądając na nas. Chyba uniosłam się z krzesła, niepomna na obecność Annalisy. Słyszałam tylko, że Tim o coś spytał. Potem przybysz wyszedł na zalany słońcem dziedziniec, popatrzył na mnie i w jego obcych, obojętnych oczach zamigotał błysk zaskoczenia.

— To nie on — szepnęłam do Tima i opadłam na krzesło.

Tuż nad uchem usłyszałam okrzyk Annalisy:

— Lee! Chodź do nas!

Przybysz stanął przy stole.

— Lee, to jest Vanessa March — przedstawiła mnie Annalisa. — Vanesso, to pan Elliott. A to Tim.

Wymamrotałam Bóg wie co, a „pan Elliott” uściskał dłoń Tima. Potem usiadł tuż przy mnie.

— Jak rozumiem, właśnie przyjechaliście, bo inaczej już bym o was usłyszała. Tutaj wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

Siłą woli opanowałam panikę, jaka ogarnęła mnie na wzmiankę o „innym Angliku”, i odparłam spokojnie, choć nieco słabym głosem:

— Wierzę... Przybyliśmy z Wiednia samochodem zaledwie przed godziną.

— A co was sprowadza do Oberhausen?

— Och, nic takiego... widoki.

Przechwyciłam szybkie spojrzenie Tima, pełne obaw, chociaż na pozór wesoło gawędził z Annalisa, i postanowiłam brnąć dalej.

— Prawdę mówiąc... spodziewałam się spotkać męża. Miał być w Grazu... ale zawiadomił mnie, że się spóźni. Pomyślałam wówczas, że warto zwiedzić tak piękną okolicę...

— Całkiem słusznie. Zostajecie w wiosce?

— Tylko na dzisiejszą noc. Tu, w „Edelweiss”. Wracamy... jutro. Tim chce odwiedzić Piber, gdzie jest hodowla lipicanów, więc wybierzemy tamtą drogę. Nie wiem, kiedy znów dostanę wiadomość od męża.

Coś z moich prawdziwych uczuć musiało przeniknąć przez maskę uprzejmości, gdyż Elliott mruknął kojącem tonem:

— Na pewno niedługo.

Zdobyłam się na promienny uśmiech.

— Mam nadzieję! A tymczasem zażywamy z Timem rozkoszy życia. Na dziś wieczór planujemy wypad do cyrku.

— Tim to twój brat? — spytała Annalisa. — Nie wymienił swego nazwiska. March?

— Nie, w tym wypadku byłbym raczej szwagrem — odparł

Timothy. — Nazywam się Lacy. Żadnego pokrewieństwa. Kumpel, szofer i naczelny konterfil.

— Konter-fil? — powtórzyła ze zdumieniem. — Co to znaczy? Dla mnie nie brzmi zbyt ładnie.

— I dla mnie — wtrąciłam. — Tim chciał powiedzieć, że wziął na siebie organizację naszej wycieczki. Prawdę mówiąc, nie zaszłabym daleko bez jego znajomości niemieckiego. Dobrze, konterfilu, zamów coś do picia dla pana Elliotta.

— Jeśli to przyniosą w czasie krótszym niż dwadzieścia minut — odezwał się Elliott — będziesz wart w platynie tyle, ile ważysz. Dobry Boże! — zawołał, gdy kelnerka, czujna na każde skinienie Tima, przystanęła przy naszym stole.

Całą trójką wdali się w zawziętą konwersację. Ku mojemu zaskoczeniu, pan Elliott świetnie władał niemieckim.

Zanim kelnerka odeszła, zdążyłam się pozbierać i byłam gotowa do dalszej rozmowy.

Elliott wyjął z kieszeni fajkę i zapalił. Wyglądał jak rasowy Anglik. Gdyby sądzić wyłącznie po jakimś i dość marnym ubraniu, mógł pochodzić z każdego zakątka świata. Był dość wysoki, mocno zbudowany i poruszał się niczym napięta sprężyna, co znamionowało siłę i wewnętrzne opanowanie. Brakowało mu natomiast wyraźnie zarysowanej osobowości. Nawet głos — wprawdzie miły — miał jakiś bezbarwny. Ciemne włosy, oczy nieokreślonej barwy... coś między niebieskim a szarym. Szczupłe ręce, chociaż zauważyłam złamany paznokieć i smugi brudu, jakby ciężko machał łopatą. Annalisa wspomniała, że pracował w firmie, a więc może pomagał przy naprawie taboru? Jego strój kazał odrzucić takie przypuszczenie; był to tani, niedzielny garnitur, w dodatku mocno sfatygowany.

— Słyszałam od Fräulein Wagner, że zjechał pan w interesach i trafił w sam środek tragedii...

— Powiedziała pani i o tym? Tak, jeden z tych dwóch nieszczęśników był moim kolegą. Pracował nad wdrożeniem

nowych nawozów... Właśnie miałem do niego dołączyć, gdy zginął.

— Przykro mi... — Zamieniliśmy kilka konwencjonalnych zdań, po czym zapytałam: — Gdzie pan pracuje?

— W Wiedniu naszym partnerem jest Kalkenbrunner Fertilisers.

— Tak? Więc zapewne zna pan firmę mego męża. To Pan-European Chemicals.

— Oczywiście, choć w tej chwili nie potrafię wymienić nazwisk. Zaraz... Stewart? Chyba tak... Craig? Może nawet spotkałem pani męża, ale przykro mi, nie pamiętam. Często zagląda do Wiednia?

— Nie mam zielonego pojęcia — odpowiedziałam zgodnie z prawdą, chociaż nie zabrzmiało to zbyt uprzejmie. Rozmowa zaczynała mnie nudzić. — O, wraca kelnerka. Jest pan w Oberhausen od momentu wypadku?

— Tak. Dochodzenie trwało dosyć długo, więc dostałem urlop od firmy. Zostałem, żeby pomóc. — Uśmiechnął się. — Ale nie policji, tylko cyrkowcom. Annalisa może potwierdzić, że przykładałem się do każdej pracy...

— Oczywiście! Byłeś wspaniały. — Popatrzyła na Elliotta z takim samym uwielbieniem, z jakim Timothy zerkał na nią. — Aż trudno sobie wyobrazić... Jak wspomniałam, to mały cyrk i przydała się każda para rąk do roboty. Zwłaszcza po śmierci wujka Franzla... Nawet nie przypuszczałam, jak wiele od niego zależało. Ale tak jest zawsze, gdy ktoś umiera, prawda? Był znakomitym jeźdźcem, chociaż nigdy nie występował na arenie... Nie chciał. Nie umiał. Zwykle zajmował się końmi... To on wy trenował Maestoso Ledę... i nauczył mnie trzymać wodze...

Było jasne, że powinniśmy pozwolić jej mówić. Słuchaliśmy w milczeniu. Pan Elliott siedział rozparty na krześle, nie spuszczać oczu z dziewczyny.

— Dobrze pamiętam dzień, kiedy do nas dołączył — ciągnęła. — Dziesięć lat temu, wkrótce po moich ósmym

urodzinach. Żył jeszcze wówczas mój dziadek. Tabor stanął w pobliżu Weis, w Górnej Austrii. Dziadek kupił Maestoso Ledę, a ponieważ stadnina była właśnie w Weis, wybraliśmy się, by obejrzeć inne lipicany. Wyobrazasz sobie, jak to przeżyłam? — zwróciła się do Tima. — W Weis znaleźliśmy jeszcze koński targ i tam dziwnym trafem spotkałam wujka Franzla, który przybył wraz z kupcem z jakiegoś czeskiego cyrku... Przedtem chyba odsłużył swoje w wojsku. Nigdy nie był zbyt blisko związany z rodziną, ale ucieszył się na widok dziadka i kiedy ruszyliśmy na północ, do Bawarii, pojechał z nami. — Uśmiechnęła się. — Teraz wydaje mi się, jakby zawsze był przy nas. Zapomniałam nawet, że nie nazywał się Wagner... Zmienił nazwisko na prośbę dziadka. Pracował w stajni, przy koniach, czyścił... jak się mówi na siodło, strzemień, ogłowie i tym podobne rzeczy? Nie uprząż...

— Rząd? — podsunął Timothy.

— O, właśnie. Dzięki. Do tego był weterynarzem. Leczył. Gdy go zabrakło, mieliśmy mnóstwo pracy przy zwierzętach poranionych w czasie pożaru... Ojciec musiał zająć się cyrkiem, a nasz stajenny, Rudi, złamał rękę, próbując okiełznać wystraszone konie... Wszystko więc spadło na mnie. Szczęściem zjawił się Lee... Rzecz jasna, inni artyści także pomagali, chociaż muszą codziennie ćwiczyć... Nie było łatwo.

— Właśnie — z emfazą dorzucił Elliott. — Kto powiedział, że piekło jest rajem dla koni?

— Nikt — odpowiedziałam cierpko. — Powiadają, że Anglia jest rajem dla koni i piekłem dla kobiet.

— Naprawdę? — z zainteresowaniem spytała Annalisa.

— Czasami. Proszę sobie nie przerywać, panie Elliott. Chciał pan powiedzieć, że przez tydzień doglądał dwudziestu siedmiu koni? — Mimo woli obrzuciłam znaczącym spojrzeniem jego ubranie.

Zauważył to i uśmiechnął się lekko.

— Owszem. Starannie dbałem, można rzec, o ich codzienną toaletę. Praca zgrzebłem należy do najłatwiejszych, jeśli

ktoś odkryje, że sierść się układa od dziobu do rufy i że trzeba ciągnąć ręką w tę stronę. Od zgryzu do kopyta. Co ciekawsze, one to lubią. Przynajmniej na ogół. Tylko raz zostałem ugryziony.

— Żal mi pana... — westchnęłam. — Kuce są jeszcze gorsze.

— Nimi na szczęście zajmuje się pewien dżentelmen z Węgier. Ma tę przewagę, że sam jest niewiele wyższy od nich. To był pouczający tydzień. Aż nie chce się wyjeżdżać.

— Nie chcę, żebyś wyjeżdżał — odezwała się Annalisa. — Bez ciebie nie dam sobie rady.

— Sam będę miał niezły kłopot, by na nowo przywyknąć do dawnych zajęć — odparł Elliott. Popatrzył na zegarek. — Przykro mi, ale moim zdaniem powinnaś się zbierać. Konie są już gotowe do występu.

— Boże, prawda!

Zerwała się na równe nogi. Kelnerka jak na zawołanie stanęła obok Tima. Elliott spierał się chwilę, chcąc zapłacić rachunek, lecz Timothy — od tej chwili mógł liczyć na moje pełne wsparcie — wyperswadował mu to bez trudu.

— Piękne dzięki — bąknął pan Elliott.

— Cieszę się, że was poznałam — powiedziała Annalisa. — Zobaczymy się po występie? Wystarczy spytać; każdy wskaże drogę. — Wybuchnęła beztróskim śmiechem. — Czuję się jak primadonna zapraszająca wielbicieli. Mam nadzieję, że będziecie zadowoleni. *Kommst du, Lee?*

Poszli. Usiedliśmy.

— Myślałam, że dołączysz do nich — powiedziałam.

— Uznałem, że będzie lepiej, jak zostanę z tobą — odparł Timothy. Spojrzał na mnie. — Wszystko dobrze? Wyglądasz okropnie śmiesznie.

— Śmiesznie? Co to znaczy?

— Zbladłaś jak prześcieradło, kiedy przyszedł Elliott. Chyba się spodziewałaś, że ujrzysz męża.

Przytaknęłam.

— Ja też. Kiedy Annalisa wspomniała o „drugim Angliku”, pomyślałem, że właśnie dobijamy do brzegu.

Pokręciłam głową.

— Nie. Nawet moje nazwisko nie wywarło na niej najmniejszego wrażenia. Gdyby pan March nadal był w wiosce...

— Racja! Zupełnie o tym zapomniałem. Boże, jak człowiek może być głupi... — Zmarszczył brwi. — Zaraz... przecież to było na samym wstępie... zanim pojawił się Elliott. Czego się tak przestraszyłaś, gdy Annalisa zawołała „właśnie idzie!”?

— Nie wiem. Myślałam, że to... jednak on. Zobaczyłam... Posłuchaj, Tim... — Popatrzyłam na swoje dłonie, tak mocno zaciśnięte na skraju obrusa, że paznokcie przebiły cienką tkaninę. Z wolna rozprostowałam palce i wygładziłam pomięty skrawek materiału. — Po... popełniłam potworny błąd. Na widok pana Elliotta w pierwszej chwili myślałam, że to Lewis. Zauważyłam omyłkę dopiero wówczas, gdy wyszedł z cienia. Wiesz już, co chcę powiedzieć?

Wiedział, i to lepiej ode mnie.

— Znaczy ten facet... Elliott... był tym z kroniki? Jest tak podobny do twego męża... że... że... można go nazwać sobowtórem? Jezu! — Jego oczy błysnęły niezwykłą radością, ale zaraz posmutniał, zdając sobie sprawę z konsekwencji mego odkrycia. — Jezu! — powtórzył całkiem innym tonem. — Przebyłaś taki kawał drogi do Austrii, a on przez cały czas był w Sztokholmie?

— Właśnie — odpowiedziałam.

Zapadła chwila ciszy, tak znaczącej, że aż dzwoniła w uszach.

— Nie sądzisz, że to trochę... skomplikowane? — spytał Tim.

— Eufemizm roku.

— Co teraz zrobisz?

— A ty?

— Na początek coś zjem — odparł bez wahania i rozejrzał się za kelnerką.

ROZDZIAŁ VI

/ zobaczył piękną damę na białym rumaku.

piosenka dziecięca

Rzecz zrozumiała, że cyrk Wagnera sprawiał nieco przygnębiające wrażenie. Jak już wcześniej zauważył Timothy, w takich miejscach jak Oberhausen odbywało się zwykle jedno, dwa przedstawienia. Tym razem tabor tkwił tu cały tydzień. Wprawdzie tuż po pożarze zrezygnowano z występów, lecz policja dała zezwolenie na dwa spektakle w sobotę i jeden w niedzielę, co w pewien sposób miało zrekompensować straty. Niestety obywatele Oberhausen i mieszkańcy okolicznych wiosek zwartym tłumem zjawili się w sobotę, więc niedzielny występ zgromadził zaledwie garść publiczności. Tim bez trudu znalazł dwa miejsca w — j a k to nazwał — „łóży honorowej”. Były to nawet wygodne, składane krzesła obite czerwonym pluszem tuż przy barierce ograniczającej arenę. Zauważyłam, że co najmniej połowę widzów stanowiły dzieci. Potem się okazało, że Herr Wagner obniżył cenę biletów i że dzieciaki z całej doliny skorzystały z okazji, aby jeszcze raz obejrzeć przedstawienie. Rozsądny pomysł; zapewniał pewien zysk, a artyści nie występowali przed pustą widownią.

Karzeł w szkarłatnych, workowatych spodniach sprzedał nam program i zajęliśmy miejsca. Wnętrze namiotu rozbrzmiewało muzyką płynącą z potężnego głośnika; jak

wszędzie w Austrii, dźwięki nie drażniły uszu. Nawet w małym wędrownym cyrku można było usłyszeć Offenbacha, Suppého lub Straussa. Namiot, choć niezbyt duży, tonął w jaskrawych światłach, a słupy w czterech „rogach” areny robiły tak piorunujące wrażenie, że dach zdawał się ginać w mroku na niebotycznej wysokości. Rozpięta w górze lina przypominała połyskującą nić. Na platformach wokół reflektorów przykucnęli technicy. Powietrze przesyciła woń cyrku: mieszanina zwierzęcego potu, zdeptanej trawy oraz zadziwiająco silna woń tytoniu.

Światła drgnęły, muzyka nabrała innych tonów, rozległy się dźwięki marsza. Uniesiono kurtynę oddzielającą arenę od kulis. Ruszyła parada.

Jak na tak mały cyrk poziom przedstawienia był zaskakująco dobry. Herr Wagner osobiście prowadził występ. Niski, krępy, nawet w cylindrze i surducie wyglądał na dżokeja. W „rodeo” po paradzie wziął udział tabun koni — prawdziwych cyrkowych koni „w starym stylu”: srokatek, gniadych i dereszy — oraz kilku artystów, kręcących lassem i popisujących się wołyżerką. Annalisa przemknęła przez chwilę, niemal nie do rozpoznania w szerokoskrzydłym kapeluszu, na dziwnie cętkowanym wierzchowcu o różowych chrapach i różowo obramowanych oczach. Koń wyglądał jak hipopotam, ale poruszał się z gibkością kota. Potem był komiczny numer z osłem, a następnie Herr Wagner i jego tresowane rumaki.

Piękne... Same gwiazdy, łeb w łeb dziesięć palomino, maść jak surowy jedwab, grzywy i ogony lśniące czystością. Zawirowały w kręgu światła, zakołysały pióropuszcami... Jedwabiste grzywy powiewały w pędzie. Teraz zwrot i kolejny obrót, w linii, jeden za drugim, niczym piana na huczącej fali, a tu błyski reflektorów, migoczące rzędy, złota plama blasku goniąca złote konie. I znów błysk. Rumaki słońca, malowane i oblane złotem, prowadzone — można by przysiąc — wąską linią światła, niczym białe konie w zaprzęgu księżycy.

Potem pióropusze opadły, kopyta dotknęły ziemi, muzyka

zgasła i mieliśmy przed sobą dziesięć zadowolonych z siebie zwierząt, trącających nosami kieszenie Herr Wagnera w poszukiwaniu cukru.

— Tylko mi nie wmawiaj, że któryś z nich mógłby ugryźć — usłyszałam nad uchem szept Tima.

Roześmiałam się.

— A co na to pan Elliott, ekspert od koni? Wyszczotkował je całkiem dobrze. Wyglądają wspaniale.

— Jeśli naprawdę jest tak zielony, jak twierdzi, można go nazwać prawdziwym bohaterem, że się podjął tej pracy. Śmieszny facet, nie sądzisz?

— Jak to śmieszny? — spytałam.

— Nooo... przecież nikt z jego zawodem nie chciałby utkwic na wsi i harować do bólu ramion. Czuję w tym jakiś sekret.

— Strzela oczami za Annalisą.

— Jest za stary... — rzucił z pogardą.

— Żaden facet nie jest za stary, póki nad nim nie przybija wieka trumny.

— Wieko się przykręca, nie przybija.

— Boże, czy ty naprawdę musisz wszystko lepiej wiedzieć? A wracając do sprawy, na pewno nie jest starszy od Lewisa. Widzisz go gdzieś?

— Kogo?

— Pana Elliotta.

— Nie — odparł Timothy. — Pewnie siedzi za kulisami i jak szalony wecuje od dziobu do rufy Maestoso Ledę. Gniewasz się, że przyszedliśmy?

— Nie, dlaczego?

— Przecież musisz się denerwować jak diabli, chociaż przyznam, że dobrze nad sobą panujesz.

— A co mam robić? Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, czuję się jak pijana. Urznięta w trupa, jak powiadają w domu. Do jutra i tak nic nie zdziałam, więc mogę się bawić.

— Przyszło mi do głowy, żeby wysłać depezę do Sztokholmu...

W tej samej chwili, przy ogłuszającym brzęku czyneli i dzikim aplauzie publiczności, na arenę wkroczyli klauni. Timothy jednym susem przeniósł się w czas dzieciństwa. Gniótl trzymany w ręku program i zanosił się śmiechem. Prawdę mówiąc, byłam niewiele lepsza. Numer nie wymagał wyjaśnień, składał się z samych znanych, lecz wciąż zabawnych chwytów, aż po dowcip z wodą — najbardziej mokry, jaki widziałam w życiu — i wielki finał z udziałem starej słońicy, która z wyraźnym błyskiem zadowolenia w świńskich oczkach polewała uciekających klaunów.

Potem były dwie akrobatki z różowymi parasolkami, popisujące się na linie, po nich grupa tresowanych psów, a jeszcze później Tim przytknął palec do programu, zerknął na mnie i szepnął:

— Teraz popatrz.

Zadźwięczały fanfary, dyrektor rzucił krótką zapowiedź, rozchyłono czerwoną kurtynę i z mrocznych kulis w krąg światła wyskoczył biały ogier. W siodle, strojna w ciemnoniebieski kostium przypominający mundur huzara, siedziała Annalisa. Piękniejsza niż zwykle, uśmiechnięta, opanowana i twarda niczym trzask z bata. Koń nie miał piór i ozdób; przygotowano go do pracy, chociaż ogłowie było prawdziwym dziełem sztuki — szkarłatne, nabijane złotem — a czaprak błyskał kolorami, jakby naszyto nań każdy dostępny na świecie klejnot.

— O kurczę... — usłyszałam nabożny jęk Tima.

Patrzył na konia, nie na dziewczynę. Przypomniało mi się zdjęcie Carmel na kucu i uśmiechnęłam się mimo woli. Tutaj jeździec zasłużył na więcej uwagi. Domyślałam się, że wszelkie figury i zwroty, które ogier wykonywał pozornie bez trudu, wymagały wielu lat pracy i cierpliwości. Także od Annalisy, choć to nie ona była głównym trenerem. Podziwiałam zręczność, z jaką prowadziła wierzchowca. Pełna gracji i nieruchoma, jakby wrośnięta w siodło, jakby wtopiona w roztańczone zwierzę.

Szept Tima pomagał mi rozpoznać poszczególne fazy baletu. Oto powolny, dumny krok hiszpański; ognisty trucht w miejscu, czyli *piaffe*; jazda bokiem, miękkim, płynnym ruchem, a na koniec, zgodnie z obietnicą, akrobacje w powietrzu. Rumak pomknął na środek areny, parsknął, stulił uszy, wbił kopyta w trociny, po czym uniósł tułów wraz z jeźdźcem do *levade*, klasycznej pozycji konnego pomnika. Przez dwa długie takty stał nieruchomo, potem dotknął na chwilę podkowami ziemi i — widziałam grube węzły mięśni sprężone pod skórą — skoczył pionowo w górę, podrywając wszystkie cztery nogi. Na chwilę zawisł wysoko w powietrzu, z podkurczonymi kolanami, rzęsiście oświetlony blaskiem reflektorów. Czaprak i ogłowie migotały milionami barw, lecz ja widziałam jedynie wibrujące mięśnie i błysk ciemnych oczu zwierzęcia. Brakowało mu tylko skrzydeł.

Potem znów był na ziemi i równym krokiem okrążył arenę, chyląc łeb przed aplauzem widowni. W końcu, wciąż roztańczony i dumny, zniknął w mroku za kurtyną.

Wzięłam głęboki oddech. Wydawało mi się, że siedziałam z zapartym tchem niemal godzinę. Timothy patrzył na mnie z uśmiechem.

— Co na finał? — spytałam.

Zerknął w program.

— Będziesz miała *absolute Star-Attraktion...* Sandor Balog. Duet „Balog i Nagy” na wysokiej linii.

— Na litość boską, zawsze się przy tym boję.

— Ja też — odparł uszczęśliwiony Tim i usadowił się wygodniej na krześle.

Lina mignęła w świetle, a dwóch potężnie umięśnionych mężczyzn rozpoczęło wspinaczkę po sznurowej drabince. Orkiestra zagrała walca, pierwszy akrobata wkroczył na linę. Obserwowałam go z napięciem. Zapomniałam o swoich kłopotach, a jutro — Lewis czy nie Lewis — wydawało się strasznie odległe.

Kiedy po zakończeniu przedstawienia wraz z grupą widzów opuściliśmy cyrkowy namiot, okazało się, że jest już całkiem ciemno.

— Tędy — oznajmił Tim, pociągając mnie w lewo.

W dzień stały tu wozy i mniejsze namioty, ale teraz plac świecił pustkami. Główny namiot też został zaatakowany przez grupę techników. Poodczepiano grube liny, podtrzymujące boki, a zwinięte bele płótna przenoszono do wielkiej przyczepy. Nie wygaszono tylko reflektorów, pewnie po to, aby oświetlić plac robót. Dwaj akrobaci, przebrani w swetry, dzinsy i trampki, zdejmowali trapez. Umilkł szum ogromnego generatora i włączono małą, zastępczą prądnicę, dostarczającą tylko tyle energii, by nie pogasły światła. Pomocnicy w kombinezonach nosili drabiny, pudła, skrzynie i kosze pełne ubrań. W stronę bramy po rozjeżdżonej ziemi z wolna sunął traktor ciągnący sporą przyczepę.

— Chyba lwy — powiedział Tim. — Czujesz ten smród? Stajnie są z drugiej strony. Uważaj, patrz pod nogi.

Dwie dziewczyny ciągnęły po ziemi linę. W jednej z nich rozpoznałam młodą akrobatkę. Wciąż poruszała się z gracją, choć wyglądała całkiem inaczej w obcisłych czarnych spodniach i bluzie.

Chwilę później, tuż przed nami, na wygniecioną trawę padł jasny snop blasku. W szeroko otwartych drzwiach wozu ukazała się ciemna sylwetka Annalisy. Dziewczyna spoglądała w ciemność.

— Tim? Pani March? Przepraszam, że zniknęłam, ale musiałam się przebrać.

Zbiegła ze schodków. Przepadł gdzieś zawadiacki młody huzar w niebieskich aksamitach, a ponownie zjawiała się smukła nastolatka z włosami związanymi w koński ogon. Jak pozostali artyści, których widzieliśmy po drodze, miała na sobie spodnie i granatowy sweter. Zmyła już sceniczny makijaż. Bez szminki wyglądała czysto i świeżo; w pełni gotowa do ciężkiej pracy, ale nie pozbawiona zalotnej kobiecości.

— Od razu zaprowadzę was do koni. Co prawda odjeź-

dżają dopiero rano, ale przed podróżą muszą dobrze wypocząć. Podobało się przedstawienie?

— Jak najbardziej — odpowiedziałam. — A przede wszystkim twój występ... Mówię zupełnie szczerze. Jesteś wspaniałym jeźdźcem, Annaliso. Nigdy dotąd nie widziałam tak dobrego pokazu... I dziękujemy za *croupade*. Cudowne. Byłam pod wrażeniem.

— Przepiękne! — z niekłamanym entuzjazmem dodał Timothy.

Zatopieni w rozmowie minęliśmy rząd oświetlonych wozów. Widziałam, że Annalisa aż pokraśniała z dumy.

— Nic podobnego... Nie zasługuję na tyle pochwał... — zaprotestowała niemal ze wstydem. — To Maestoso Leda wspaniale się spisał. Miał dobry dzień... i cieszę się, że przyszliście. Nigdy nie można mieć pewności, że się uda. Gdybym poświęcała mu więcej czasu, byłby wspaniałym koniem. Ale tu, w cyrku, nie ma zbyt wielu okazji do szlifowania skoków. Konie pracują, są zmęczone i nie mają szans na osiągnięcie wysokiej formy. W Hiszpańskiej Szkole Jazdy trenują całe lata, nim wyjadą na arenę, a nawet wówczas niektóre z nich nie nadają się do skoków. To dziedzina zastrzeżona wyłącznie dla najlepszych.

— Mnie się podobało... — odpowiedziałam. — Palomino też wypadły niezgorzej.

— Tak, to wspaniałe konie. Oto one. Wzięłam marchew, żeby je poczęstować, gdybyście mieli ochotę.

Zwierzęta zgromadzono w długim namiocie, który był równie solidny i wygodny jak murowana stajnia. Światło wydobywało z mroku rząd końskich zadów, częściowo skrytych pod derkami. Ogony kołysały się miarowo. Czuć było słodko-kwaśny zapach siana, a słychać — pełne ukontentowania żucie. W głębi pracowało dwóch ludzi. Jeden grabił ściółkę, drugi polerował wiszące na słupie ogłowie. Z ciemnego kąta dobiegło powitalne parsknięcie. Zobaczyłam kształtny biały łeb i ciemne oczy wpatrzone w Annalisę.

Pozbawiony błyszczących ozdób i rozluźniony Maestoso

Leda prezentował się nadal pięknie, choć mniej dumnie niż na arenie. Pierwszy raz oglądałam z bliska słynnego lipicana. Wydawał się dziwnie niski; mocno osadzony w kłębie, miał nie więcej niż czternaście piędzi. Silne nogi, szeroka pierś, gruby kark, tułów i mięsiste uda, w sam raz stworzone do efektownych skoków. Zarysem łba przypominał ogiery ze starych malowideł, które niegdyś wydawały mi się zbyt stylizowane. Teraz już wiedziałam, gdzie szukać krągłych rumaków, błyszczących niczym jabłka, lecz obdarzonych łabędzio zgiętą szyją, niewielkim łbem i maleńkimi uszami. Był to — jeśli wolno mi użyć tego słowa — starożytny profil, wąski i rzeźbiony niczym grecki relief, dołączony do masywnego ciała. Przyciągały uwagę oczy — duże, ciemne, wilgotne... łagodne, chociaż bez śladu słabości.

Ogier parsknął ponownie na widok marchwi, po czym pochylił łeb w stronę wyciągniętej ręki dziewczyny. Timothy i Annalisa zaczęli go karmić. Zapomnieli o bożym świecie. Popatrzyłam na nich przez chwilę, po czym poszłam wzdłuż zagród obejrzeć inne konie. Przeważały ogiery. Palomino prezentowały się dumniej niż lipican, choć także odpoczywały. U dwóch zauważyłam bandaże na nogach, u trzeciego paskudną szramę na zadzie, ale całość wyglądała nie najgorzej. Tym lepiej dla cyrku Wagnera. Konie boją się ognia i nawet jeden lub dwa ogarnięte paniką mogą wyrządzić wiele szkód, jeśli wyrwą się z boksu.

Spostrzegłam, że zwierzęta w dwóch ostatnich zagrodach już leżą, więc postanowiłam zawrócić. Nie chciałam im przerywać wypoczynku, a wiedziałam z doświadczenia, że wstaną, kiedy będą je mijać. Przystanęłam za to przy kucach — kudłatych małych bestiach, dwukrotnie szybszych od swych większych krewniaków i dwukrotnie bardziej złośliwych. Zanim doszłam do „królewskiej” zagrody, gdzie wciąż stali Timothy i Annalisa, stajenni już zniknęli. Wszystko było gotowe na nocny spoczynek. Naprzeciwko białego ogiera — w przedostatnim boksie — zobaczyłam jeszcze jednego konia, podobnej budowy co lipican, ale całkiem

innego wyglądu. Srokacz, o brzydkiej maści, z ciężko zwieszonym łbem i zmierzwioną, jakby nie czesaną grzywą. W pierwszej chwili myślałam, że to ten, którego dosiadała Annalisa w czasie „rodeo”, ale potem dostrzegłam, że jest znacznie starszy. Prawie nie tknął obroku, opróżnił tylko wiadro z wodą i smętnym wzrokiem patrzył na puste dno.

Przemówiłam doń cicho i pogłaskałam po grzbiecie.

Podeszła do mnie Annalisa.

— Uznałaś, że zbyt wiele czasu spędzamy z królem, więc przyszaś do żebraka? Przykro mi, nie mam już marchwi.

— I tak by nie jadł — powiedziała. — Nawet nie spojrział na obrok. Nie uległam porywom demokracji, pomyślałam, że może jest chory.

— Wciąż nic nie je? Tak już jest od tygodnia. — Popatrzyła na pełny żłób, puste wiadro i zrobiła zatroskaną minę. — To koń wujka Franzla, biedny stary Srokacz... Tak się zachowuje od dnia pożaru. Przywykł wyłącznie do opieki wujka. Stary... Wuj powtarzał nieraz, że jest dwóch starców w taborze. — Zagryzła usta, nie spuszczać wzroku ze zwierzęcia. — Chyba... nie wiem, czy to dobre słowo... żałuje wujka.

— Oplakuje. Pewnie tak, chociaż z drugiej strony sędzę, że mu coś dolega. Boli. — Przesunęłam dłonią po karku konia i odsunęłam derkę. — Popatrz, jak się poci. Ma zupełnie mokrą sierść na grzbiecie i u nasady karku. Spójrz na oczy... Skóra napięta i twarda jak worek. Ktoś go badał?

— Weterynarz. Przyjechał z Bruck zaraz po pożarze, a potem był jeszcze dwukrotnie. Ostatni raz w zeszły czwartek.

— Oglądał go?

— Tak jak inne. Po pierwszych oględzinach chyba go pomiął, bo nic nie wskazywało na to, że Srokacz jest chory. — Powątpiewająco zerknęła na mnie, po czym przeniosła wzrok na konia. — Racja, nie wygląda najlepiej, ale gdyby naprawdę na coś cierpiał... — Zawahała się.

— Vanessa jest weterynarzem — wtrącił Tim.

Annalisa szeroko rozwarła oczy.

— Co? Naprawdę? W takim razie...

— Zaprzęgaliście go do pracy? — spytałam.

Potrząsnęła głową.

— Nie. Jest za stary. Moim zdaniem ma już ponad dwadzieścia lat. Wujek Franzl ściągnął go z Czechosłowacji, kiedy dołączył do nas przed dziesięcioma laty. Początkowo chcieliśmy, żeby występował... ale uczył się bardzo wolno i nie nadawał się na arenę. Ojciec na pewno by go sprzedał, gdyby nie sprzeciwił wujka Franzla. Jak już mówiłam, nie mogliśmy sobie pozwolić, żeby konie nie pracowały, więc w tamtych latach, przed zakupem ciągników i motorowych wozów, wprzęgaliśmy go do taboru. Wujek go czasem dosiadał albo pozwalał na nim jeździć dzieciom. Teraz... — ciągnęła z niepokojem — skoro jest chory... Za parę godzin wyjeżdżamy, a za trzy dni opuszczamy granice Austrii. Aż się boję myśleć, co powie ojciec...

— Znalazłaś coś? — spytał mnie Timothy.

Rzeczywiście, znalazłam. Tuż nad kolaniem przedniej nogi odkryłam brzydką opuchliznę. Wskazałam na nią i przystąpiłam do dalszych oględzin. Stary koń stał ze zwieszonym łbem, raz tylko trącił mnie nosem, gdy dotknęłam chorego miejsca.

— Przytrzymaj go za kark, dobrze? — poprosiłam Tima. — Już, staruszk, spokojnie.

— Co to jest? — spytała Annalisa, spoglądając mi nad ramieniem.

— Krwiak. Musiał się uderzyć w czasie pożaru albo kopnął go inny koń... Nastąpiło naderwanie ścięgna... Popatrz tutaj. Z początku, przez dzień, dwa, na pewno nic nie było widać, a ponieważ wciąż stał w stajni, nikt nie spostrzegł, że kuleje. Derka skrywała opuchliznę... Jak najszybciej trzeba coś z tym zrobić. Paskudny widok.

— Tak, prawda... Ale co począć? Co zamierzasz?

Uniosłam głowę.

— Nie uczyłam się chirurgii, Annaliso. Musisz wezwać

weterynarza z Bruck. Nie chciałam mu wchodzić w paradę.

— Nie powinien tego przegapić — burknął Tim. — Każdy widzi, że zwierzak jest chory.

— Bądźmy szczerzy — odpowiedziałam. — W zwykłych okolicznościach na pewno ktoś by to zauważył, ale właściciel konia nie żyje, a Herr Wagner przez cały miniony tydzień miał dość innych zajęć. Powiedziałam wam, że krwiał wystąpił dopiero po paru dniach, więc można usprawiedliwić weterynarza.

— Ale co dalej? — pytała Annalisa.

— Trzeba przeciąć, osuszyć i usztywnić nogę.

— Umiesz to zrobić?

Wyprostowałam się.

— Teoretycznie tak, lecz macie przecież chirurga-weterynarza. Powiniście go wezwać.

— W niedzielę? Niemal o północy? Kiedy o szóstej rano wsiadamy do pociągu?

— Możesz to zrobić, Vanesso? — zapytał Timothy.

— Nie powinnam, Tim. Nie znam austriackich przepisów, lecz nie zamierzam wchodzić nikomu w drogę i odbierać chleba koledze po fachu. A nawet gdybym chciała, najpierw musiałabym uzyskać stosowne zezwolenie. I nie mam odpowiednich instrumentów.

— Są narzędzia wujka Franzla — wtrąciła Annalisa. — Nie spłonęły. Mam je w swoim wozie. Błagam, Vanesso...

— To już nie ma nic wspólnego z weterynarzem z Bruck — oświadczył Tim. — Wziął pieniądze, prawda? Cyrk rusza w trasę, więc po wszystkim.

— Właśnie! — podchwyciła dziewczyna. Stary koń stał bez ruchu. Czułam pod dłonią jego gorącą i chropawą skórę. — Będiesz naszym nowym lekarzem! Zatrudniam cię! Ja, sama! Nawet jeśli to nielegalne, nikt się nie dowie!

— Co „nielegalne”? — zabrzmiał od drzwi nowy głos.

ROZDZIAŁ VII

Myślisz sobie, że jestem końskim konowalem?

Marlowe: „Doktor Faustus”

W progu stał sam Herr Wagner: potężnie zbudowany mężczyzna o wyrazistej twarzy i długich, ciemnych, choć przyprószonej siwizną włosach. Miał ogorzałe, wysmagane wiatrem policzki i grube brwi, spod których bystro spoglądały brązowe oczy.

Za nim zjawiła się jeszcze jedna postać — wyższa i nieco szczuplejsza, lecz także mocno umięśniona. *Star-Attraktion* w popisach na linie, Węgier Sandor Balog. Ciemne włosy miał gładko zaczesane do tyłu nad wysokim czołem, a oczy skryte pod gęstymi brwiami — niemal czarne. Płaski nos i szeroko rozstawione kości policzkowe nadawały mu wygląd Mongoła, zwłaszcza gdy się uśmiechał, mrużąc powieki. Do tego wyraziste nozdrza i pełne, dobrze wykrojone usta... Niepokojąca fizjonomia, może nawet okrutna. Teraz się nie uśmiechał — i nie patrzył (jak należałoby sądzić) na parę intruzów stojących obok konia, lecz wpijał wzrok w Annalisę.

— Kim są twoi goście, Liesl? — spytał Herr Wagner.

— Ojczcie! *Lieber Gott*, ale mnie przestraszyłeś! Nie słyszałam, że idziesz. To pani March, Angielka... Zatrzymała się w wiosce... a to Tim, jej towarzysz podróży.

Przedstawiła nam Węgra. Zauważyłam, że wołała na niego

nie patrzeć, chociaż on musnął mnie zaledwie przelotnym, obojętnym spojrzeniem i nadal się w nią wpatrywał. Herr Wagner powitał nas z kurtuazją, po czym zerknął na zwierzę.

— Co z tym weterynarzem? Dobrze słyszałem? I co ma być „nielegalne”?

Annalisa zawahała się, zaczęła mówić, ale nagle spojrzała na mnie.

— Pozwolisz?

Odwróciła się w stronę ojca i szybko zaszwargotała po niemiecku. Z jej gestów rozumiałam, że opowiadała o nas, o naszej znajomości i o tym, jak odkryłam przypadłość Srokacza.

Węgier nie zwracał na jej paplaninę najmniejszej uwagi. Tylko na dźwięk nazwiska Lee Elliotta zmarszczył lekko brwi, jakby podzielał moje podejrzenia, że pan Elliott zadurzył się w dziewczynie. Nie był z tego zadowolony. Potem cała rozmowa zaczęła go najwyraźniej nudzić. Przeszedł do następnych zagród — do ostatniej, przy której zgromadzono uprzęż i siodła — i stał, gładząc dłonią błyszczący czaprak Maestoso Ledy. Wciąż patrzył na Annalisę.

Dziewczyna zakończyła przemowę błagalnym zdaniem, z którego wyłowiłam słowo „Bruck”, i znacząco spojrzała na zegarek.

Herr Wagner — co przyjąłam bez większego zdziwienia — nie wydawał się poruszony jej afektacją. Podeszedł do mnie, płynną angielszczyzną z silnym austriackim akcentem przeprosił za „moc kłopotów”, podziękował za „uprzejmość” i na koniec oświadczył, że „nie może mnie fatygować”.

— Córką jest jeszcze młoda i... — wzruszywszy szerokimi ramionami, uśmiechnął się czarująco — ...nieco impulsywna. Nie powinna prosić o takie rzeczy. Wobec gościa, damy...

Roześmiałam się.

— Żadnej damy. Studiowałam weterynarię i przywykłam do gorszych widoków. Niestety... to nie moja sprawa. Macie własnego chirurga, który na pewno przyjedzie na wezwanie.

Jeśli nie ma tu telefonu, zadzwonię z Gasthof „Edelweiss”... a raczej poproszę Tima, by to zrobił. Mówi po niemiecku.

Herr Wagner milczał chyba przez minutę. Wszedł do boksu i dokładnie obejrzał zwierzę.

— Tak... Wszystko jasne. Wstyd mi, że wcześniej nic nie zauważyłem. Porozmawiam z Hansem i Rudim. Proszę jednak zrozumieć, *gnädige Frau*, że mieliśmy huk pracy... a ów koń pozostawał na ogół pod opieką kuzyna Franzla. Chłopcy pewnie zajęli się innymi... jak zwykle, *verstehen Sie?* Zapomnieli o starym. Stara, stara szkapa...

Przesunął dłoń po karku konia, poklepał go czułym, niemal pożegnalnym ruchem i wrócił do nas.

— Późno już. Napiją się państwo kawy przed powrotem do wioski? Nie, proszę nie odmawiać. Liesl zawsze parzy kawę o tej porze... Dzisiaj mnie zaniedbała, więc zaczęłam jej szukać.

— Dziękuję — powiedziałam — ale jeśli mam wezwać weterynarza, lepiej będzie, jak pójdę. Minęła północ.

— Zbyteczny kłopot, *gnädige Frau* — odparł Herr Wagner.

Timothy zrozumiał pierwszy. W lot pojął znaczenie pożegnalnych pieszczot i wspomniął słowa Annalisy, że „w tak niewielkim cyrku konie muszą pracować”. Nikt nie mógł winić Herr Wagnera za podjęcie decyzji o zabiciu Srokacza. Od dawna nie zarabiał na siebie i nie nadawał się nawet do prostych zajęć. W wędrownej trupie nie ma miejsca dla darmozjadów.

Zobaczyłam, że Timothy zeszywniał lekko, z ręką opartą na drzwiach zagrody i ze wzrokiem wbitym w Herr Wagnera. Wolną dłonią pogładził pysk konia, jakby chciał go ochronić przed złowrogim losem. Zwierzę polizało mu palce. Tim spojrział na mnie.

— Herr Wagner... jeśli pan pozwoli, dokonam zabiegu. To potrwa jakieś pół godziny, a gdy zabandażuję nogę, będzie pan mógł zabrać zwierzę do pociągu. Za trzy lub cztery tygodnie będzie mógł pracować.

Herr Wagner stanął w drzwiach namiotu. Wydawało mi się, że chce odmówić, ale Tim szepnął „proszę” niemal dziecięcym tonem i na twarzy dyrektora cyrku odbił się wyraz wahania.

— Tak, ojcze... proszę — dodała dziewczyna.

Węgier milczał. Można było pomyśleć, że oddziela go od nas gruba szyba. Trzymał siodło i czaprak Annalisy i najwyraźniej czekał, by pójść za pryncypałem.

Herr Wagner szeroko rozłożył ręce.

— Nie możemy żądać... — zaczął.

— Może pan — przerwałam mu z najmiłszym uśmiechem, na jaki mogłam się zdobyć. — To wystarczy, by zabieg był w pełni legalny.

— Nie! — wykrzyknęła nagle Annalisa. — To ja proszę! Ja... tylko ja! W całym tym zamieszaniu zupełnie zapomniałam... To był koń wujka Franzla, zatem teraz należy do mnie... — Podbiegła do ojca i rozpostarła ramiona w niezamierzonej parodii jego wcześniejszego gestu. — Przecież nie zaprzeczysz! Wuj zostawił mi wszystko, co ocalało... zdjęcia, flet, papugę... i starego Srokacza! Skoro jest mój, mogę prosić Vanesse... i jeśli zdoła wejść do wagonu... — zakończyła błagalnie, choć jej ojciec już od paru chwil śmiał się niemal do łez, aż jego ogorzałą twarz pokryły drobne zmarszczki.

— So... Sami państwo widzą, jak to dziewczę mną rządzi. Zawsze znajdzie sposób, żeby postawić na swoim. Wykapana matka... tak, wykapana matka. Rzeczywiście, Franzi wszystko scedował na ciebie... i masz prawo własności do konia... — Śmiał się huczącym, iście dyrektorskim głosem. Cicho zabrzęczały łańcuchy; konie zaczęły się wiercić. — Dobrze, dobrze, skoro tak bardzo chcecie... Prawdziwe z was dzieci. Czego pani potrzeba, *gnädige Fr aut*

— Narzędzi, o których wspomniała Annalisa. Wrzątku. Kawałka nylonowej nici. Muszę także zrobić zastrzyk przeciwężcowy. Macie to wszystko? Dobrze. I więcej światła.

Nie chcę go wyprowadzać. W swojej własnej zagrodzie będzie o wiele spokojniejszy, ale tu trochę ciemno.

— Mam porządną latarkę — odezwała się Annalisa. — Jest w moim wozie. Sandor ma drugą. Przyniesiesz?

— *Natürlich.*

Zabrzmiało to jak głos lalki... albo raczej upiora z teatralnej sceny, tak odległa była od nas postać w jednolitym czarnym stroju, ukryta w mrokach stajni. Węgier mówił czysto, choć twardo i beznamytnie. Gdy się odwrócił, by odejść, zawołałam za nim:

— Nie... Dzięki za fatygę, ale chodzi o coś innego. Lampę z długim przewodem... No, wie pan, z kablem.

— Nic prostszego — oświadczył Herr Wagner i dodał po niemiecku: — Sandor, bądź tak dobry i przynieś, czego potrzebują. Wiesz przecież, gdzie znaleźć kabel... I nie roztkliwiaj się nad tym siodłem. Zostaw je tutaj. Annalisa się nie obrazi, jeśli przez jedną noc poleży w stajni.

— Chciałem je zabrać do siebie i naprawić. Pękł szew.

— Zgodził się — usłyszałam nad uchem szept Tima. — Wrzuci siodło do swego wozu i zaraz podłączy lampę. Mimo to jestem pewien, że wolałby zastrzelić staruszka.

— Też tak sądzę.

— Czeką nas trudny zabieg?

— Nie. Nigdy przedtem nie brałeś udziału w operacji?

— Tylko w drobnych opatrunkach, przy okładach i tym podobnych. Kiepski ze mnie pomocnik, ale będę się starał.

— Podejrzewam, że Herr Wagner nieźle zna się na rzeczy, ale mimo to dziękuję. Wolałabym, żebyś to ty mi asystował, a nie ten węgierski zalotnik.

— Balog? Myślisz, że go coś łączy z Annalimą?

— Nie — roześmiałam się. — Chociaż pewnie by tego pragnął. Z drugiej strony nie wygląda na kogoś, kto się ugania za spódniczkami. Po co tu przyszedł? Żeby zabrać siodło? Nie był zbytnio uszczęśliwiony, że go wysłaliśmy po lampę.

— Chciał coś przyszyć albo naprawić. Nie jestem pewien. Mówi po niemiecku jeszcze gorzej niż po angielsku.

— No i proszę — mruknęłam, a po chwili zupełnie zapomniałam o Balogu.

Najważniejsze było chore zwierzę.

Herr Wagner, kiedy już zezwolił na zabieg, z dużą wprawą pospieszył mi z pomocą. Stajenni spali; wcześniej rano czekała ich pobudka i całodzienna podróż. Annalisa została z ojcem, a chwilę później przydreptał kolejny asystent w osobie karła, który w czasie *entrée* zbierał na arenie cięgi od klaunów. Nazywał się Elemer i podobnie jak Sandor Balog był Węgrem. Domyślałam się, że to o nim wspomniał Lee Elliott, mówiąc o „dżentelmenie z Węgier”, który „miał tę przewagę, że sam był niewiele wyższy od kuca”, i który pomagał panu Elliottowi przy pracach w stajni. Wiedział, gdzie co leży i krzątał się jak najęty. Balog przyniósł lampę, kabel i narzędzia, a potem ograniczył swój udział do pustej obserwacji, jeśli nie liczyć faktu, że raz podniósł karła do wysokiego kontaktu. Wymamrotał przy tym coś po węgiersku, co sprawiło, że jego mały rodak spłonął rumieńcem wstydu i mocno zacisnął usta. A kiedy w końcu zabłysło światło, *Star-Attraktion* z gracją usunął się w cień pustego boksu i zapadł w kontemplację. Karzeł skinął na Tima i Annalisę.

We trójkę wyciągnęli skądś prymus i postawili na ogniu duży emaliowany gar pełen wody. Ja zaś, pod czujnym okiem Herr Wagnera, przeglądnęłam zawartość torby z instrumentami należącymi do zmarłego Franzla.

Znalazłam wszystko, co trzeba: skalpel, nóż, opatrunki, nici oraz cały zwój jedwabnego bandaża. Wszystko poszło do kotła w celu wyjałowienia, a Tim z Annalisa powędrowali do wozu dziewczyny, żeby przynieść jeszcze jeden garnek, w którym mogłabym umyć ręce.

Po kwadransie byłam gotowa. Światło płonęło równym blaskiem, miałam wysterylizowane instrumenty i czyste dłonie. Przystąpiłam do pracy.

Zauważyłam, że Herr Wagner pilnie obserwuje moje poczynania. Choć koń nie przedstawiał dla niego żadnej wartości, właściciel cyrku był zbyt wytrawnym hodowcą, żeby po prostu odejść i zostawić zwierzę w rękach nie znanej sobie osoby. Nic nie mówił, lecz także starannie obmył dłonie i stanął tuż obok, wierny roli asystenta.

Przytrzymałam nogę Srokacza i przemyłam skórę spirytem. Herr Wagner podał mi strzykawkę. Nad końskim karkiem zobaczyłam bladą i niespokojną twarz Tima. Nie miał nic do roboty, więc stanął przy łbie zwierzęcia i od czasu do czasu przemawiał doń łagodnym głosem. Prawdę mówiąc, denerwował się bardziej niż sam pacjent i zrobił tak zbolalą minę na widok igły, że przesłałam mu krzepiący uśmiech.

— Zastosuję miejscowe znieczulenie, Tim. Nic nie poczuje, a za dwadzieścia minut będzie wywijał *capriole*.

— Co mu zaaplikujesz?

— Prokainę. Nosi tu inną, niemiecką nazwę, ale to na pewno to samo. Leży pomiędzy wazeliną i brązową tubą z napisem „Koloston”. Wprowadzimy ją wokół zranionego miejsca... Teraz patrz. Wbijasz igłę pod skórę, tuż przy krwiaku... Zwierzak nawet nie mrugnął, a już nie będzie czuł bólu... Teraz tu, przy końcu znieczulenia. Widzisz? Zupełny spokój. Z drugiej strony... tutaj... i tutaj. Wszystko. Chwilę odczekamy, a potem wezmę się do nacinania krwiaka.

Światło drgnęło, zatańczyły cienie. Szybko uniosłam głowę, zapomniawszy, że to Elemer trzymał lampę na długim drągu.

— Teraz lepiej? — zahuczał bas karła, mniej więcej na wysokości mojego łokcia.

Zerknęłam w dół, zawstydzona własną niezręcznością. Postać Elemera skrywał głęboki cień za lampą, więc nie widziałam niekształnego ciała ani maleńkich rączek, do-

strzegłam za to wyraziste oblicze, jako żywo przypominające twarze krasnali z dawnych baśni, z „Królewny Śnieżki” czy „Rumpelstiltskina”. A najdziwniejsze były oczy. Ciemne, tak ciemne, że źrenica zlewała się z tęczęwką, wielkie i otoczone grubymi, krótkimi rzęsami. Oczy, które nie zdradzały żadnych myśli. Znów pomyślałam, że „normalni” ludzie od kołyski hodują w sobie współczucie.

— Tak, dziękuję — powiedziałam, wbrew sobie chyba zbyt ciepłym tonem.

Elemer uśmiechnął się, ale bez złośliwości. Wróciłam do pracy.

— Skalpel proszę.

Wyciągnęłam wilgotną rękę. Herr Wagner wsunął mi w dłoń skalpel. Snop światła nieruchomo padał na nogę konia. Pochyliłam się i zrobiłam pierwsze nacięcie.

Pociągnęłam skalpelem dobre dziesięć centymetrów. Tkanka ustępowała gładko niczym dojrzała pomarańcza, a z wnętrza popłynęło równie pomarańczowe osocze. Potem krew wypełniona paskudnym, powstałym przez tydzień skrzepem. Srokacz poczuł wyraźną ulgę, gdy ustąpił nacisk na żyłę. Zastrzygł uszami. Tim szepnął coś do niego.

— Kleszcze — powiedziałam.

Nie wiem nawet, czy Herr Wagner rozumiał angielskie nazwy, ale bez wątpienia znał się na rzeczy. Podał mi kleszcze, a ja zauważyłam kątem oka, że przygotował już następne narzędzie. Kiedy tylko usunęłam resztki skrzepu i oczyściłam ranę, bez słowa wręczył mi gazę.

Wkrótce było po zabiegu. Obficie posypałam chore miejsce sproszkowaną penicyliną i w milczeniu wyciągnęłam dłoń po igłę z nicią. Trafiły do mnie w okamgnieniu. Sześć solidnych szwów i na tym koniec. Herr Wagner przygotował opatrunek z gazy oraz bandaż dla zabezpieczenia nogi.

Uśmiechnęłam się do Tima, który ciągle spoglądał na mnie nad nieruchomym (i zdałoby się, obojętnym) Srokaczem.

— Widzisz? Przeżył. Nawet mnie nie ugryzł... Popatrz

na tampon sporządzony przez Herr Wagnera. Po angielsku nazywa się „dolly”. Teraz go przyszyję...

— Przyszyjesz? Do skóry?

— A gdzie indziej? Na pewno nic nie poczuje, tak jak nie czuł reszty. Sam zobaczysz.

Umieściłam tampon — wielkością i kształtem przypominał solidną kielbasę — we właściwym miejscu, przeciągnęłam nylonową nić przez skórę zwierzęcia, w poprzek gazy, na drugą stronę i z powrotem. Cztery szwy. Suchy opatrunek mocno przylegał do nogi.

— Nie będzie go zrzucał? — spytał Tim.

— Nie powinien, chyba że rana się zainfekuje i zacznie swędzieć lub boleć. Raczej jednak do tego nie dojdzie, bo moim zdaniem jest idealnie czysta. Za trzy, cztery dni będzie można zdjąć opatrunek. Teraz jeszcze zastrzyk przeciwężcowy i z penicyliny. Na tym będzie koniec. Odsuń mu grzywę, Tim. Muszę wbić igłę w kark... O tak, staruszk... Tak, właśnie... — Pogładziłam konia po szyi. — Wyzdrowiejesz.

— Bez wątpienia — odezwał się za moimi plecami Herr Wagner. — Wyzdrowieje. Dzięki pani, *gnädige Frau*.

W jego tonie wyczuwałam coś więcej niż zwykłe podziękowanie. Timothy spojrział mi prosto w oczy i wyszczerzył zęby w radosnym uśmiechu. A stary Srokacz, milcząc, łypnął na mnie dużym ciemnym okiem.

— Napijcie się teraz kawy? — spytała Annalisa.

Był to bardziej rozkaz niż prośba, więc bez protestu poszliśmy do jej wozu. Nagle poczułam się zmęczona. Chciałam jak najszybciej zapomnieć o całym dniu, lecz w chłodzie nocy perspektywa gorącej kawy okazała się zbyt kusząca.

Elemer i Herr Wagner zostali w stajni, żeby przygotować Srokacza do paru godzin wypoczynku. Sandor Balog wrócił wraz z nami. Zrozumiałam, że jak na artystę tej miary doprawdy nam pomógł.

Niestety, nawet wrodzona uprzejmość — i wyraźne za-

interesowanie Annalisą — nie pozwalały mu na nic więcej. Opadł obok mnie na ławkę i cierpliwie czekał, aż dziewczyna zaparzy kawę. Timothy przeciwnie, rwał się do pomocy, ale kazano mu usiąść. Przycupnął więc przy stole i rozglądał się ciekawie.

Wnętrze wozu wyglądało może niechlujnie, ale na pewno malowniczo. Wóz był nowy, lecz wiekowa tradycja cyrku wycisnęła na nim wyraźne piętno, burząc opływową, niemal futurystyczną linię na rzecz iście cygańskiego folkloru. Obok drzwi stała biało emaliowana kuchnia i butla z gazem, nad nią stara „sztormowa” lampa, a mały stół był przykryty krwistoczerwonym obrusem z frędzlami. W przedniej części pomieszczenia spod zasłony w wyblakłe prążki wystawał róg szafki zapchanej ubraniami. Światło padało na rąbek niebieskiego kostiumu i błyszczącą klejnotami rękojeść pejsza. Na haczyku wisiała huzarska czapka, zdobna w ametysty, brylanty i kitę, lekko powiewającą w rozgrzanym powietrzu, płynącym od palnika. Między oknem a kuchnią stała toaletka z prostokątnym lustrem i dwiema świecami. Świece już dawno zmieniły się w ciężkie bryły szarego wosku, a blat toaletki pokrywała gruba warstwa czerwonej i karminowej szminki oraz białego pudru. Zwisająca z sufitu i nakryta zielonym suknem druciana klatka dopełniała wystroju. Na dźwięk naszych głosów odezwał się zaspány skrzek i wówczas przypomniałam sobie, że Annalisa mówiła coś o papudze wujka Franzla.

— Ekstra! — z entuzjazmem zawołał Tim. — Po prostu super! Tak to sobie wyobrażałem. Niektórzy mają szczęście... Kto by chciał mieszkać w zwykłym domu, kiedy można mieć własny wóz i co dzień ruszać w podróż?

— Ciekawe, czy byłbyś równie wesoły o piątą rano — roześmiała się Annalisa. — Słodzisz, Vanesso?

— Nie, dziękuję.

— To dla ciebie, Sandor. Słodzisz, Tim?

— Tak, proszę.

Zacisnęłam dłonie na gorącym, niebieskim kubku. Kawa była wprost wyśmienita, mocna i aromatyczna, choć w ów

aromat wdarła się inna, kusząca woń — zapach świeżego pieczywa. Annalisa postawiła na stole talerz *croissants* — kruchych, chrupiących, błyszczących cukrową polewą i wciąż parujących słodkich rogalików z kawałkiem roztopionego masła.

— *Götterdämmerung* — z uznaniem, choć niezbyt grzecznie mruknął Timothy. — Sama je piekłaś?

— Nie, nie! — wybuchnęła śmiechem. — Lee kupił je w wioskowej piekarni.

Sandor uniósł głowę.

— Wciąż jest tutaj?

— Wyjeżdża jutro. Ach, pytasz o to, czy jest w taborze? Nie. Wszedł do stajni, kiedy Vanessa zajmowała się Sroka-czem, ale zaraz poszedł.

— Naprawdę? — spytałam. — Nawet nie zauważyłam.

— Patrzył na nas przez chwilę, kupił rogaliki, chociaż nie mógł zostać na kawie.

— Był na widowni w czasie przedstawienia? — zapytał Sandor.

— Chyba nie. Nie widziałam go. A wy? — popatrzyła na mnie i na Tima.

— Nie.

Z zaskoczeniem stwierdziłam, że i tę odpowiedź Sandor przyjął z ponurą miną. Potem dotarło do mnie, iż z jego punktu widzenia lepszy byłby Elliott bezpiecznie zakotwiczony w pierwszym rzędzie widzów, aniżeli ten sam Elliott za kulisami cyrku... na przykład w wozie Annalisy.

— Nie wiem, czego tu ciągle szuka — warknął z wyraźną złością. Popatrzyłam na niego ze zdumieniem. — Zrobił co trzeba w poniedziałek, więc czemu nie wyjechał?

— Prosiłam, żeby został — chłodnym i dźwięcznym głosem odpowiedziała Annalisa. — Vanesso, jeszcze kawy?

— O tak. Wyśmienita.

— Prosiłaś, żeby został?

— Owszem. Dlaczego nie? Masz coś przeciwko temu?

Miał, i to bardzo wiele. Przez chwilę wyglądało na to, że

zacznie krzyczeć. Czarne oczy zamigotały gniewem, nozdrza zafalowały jak u konia i tylko zaciśnięte w wąską linię usta pozwoliły mu zapanować nad wściekłością. Spuścił wzrok i w milczeniu sięgnął po kubek z kawą. Miałam nadzieję, że pod pozorami chłodu Annalisa nie krywa głębszych uczuć do tego człowieka. Teraz mógł odgrywać owczarka, lecz tuż pod skórą skrywał naturę wilka.

— Dolać ci jeszcze, Tim? — spytała dziewczyna. — *Croissant?*

— Tak, proszę. Przepyszne. Moim zdaniem — odgryzł pokaźny kęs trzeciego rogalika — pan Elliott miał niezły pomysł, żeby przynieść świeże pieczywo w środku nocy. Muszę to kiedyś powtórzyć. Podziękuj mu ode mnie, jak go zobaczysz.

— Wyjedziemy, zanim się obudzi. Masz większą szansę go spotkać.

— Gdzie mieszka?

— Nad piekarnią, tuż przy rynku. Frau Schindler wynajmuje pokoje.

— Bomba — mruknął Tim. — Cwany facet. Szkoda, że sam o tym nie pomyślałem.

— Daj gryzą, wredna świnió — tuż nad mą głową odezwała się nagle papuga.

Podsłoczyłam jak oparzona i rozlałam kawę. Annalisa wybuchnęła śmiechem. Ptak zawtórował jej skrzekliwie. Zielone sukno, zerwane potężnym dziobem, opadło wprost na mnie.

— *Levez, levez* — wrzeszczał ptak. — Noga w górę, Peter, *changez*, hop! Uczesz grzywę, leniu! *Gib mir was! Gib mir was!*

— Na miłość boską! — jęknął Tim. Oderwał kawałek rogalika. — Dobrze, stary, łap. Nie tak, głupolu. O... dobrze.

— Popraw kołnierz — poradziła papuga, zajadając okruchy.

— Nie należę do trzody — odparł Tim.

— Nie ucz go nowych słów — ze śmiechem poprosiła Annalisa. — I trzymaj nos z daleka od klatki. Okropne ptaszysko. — Pomogła mi ściągnąć z głowy zasłonę. — Przepraszam... Nie wiem, do kogo należał, zanim wziął go wujek

Franzl, lecz niezły z niego... jak to się mówi? *Weltburger*, i to z najgorszych zakątków świata.

— Kosmopolita — podpowiedział Tim. — Masz rację. Niejedno widział w życiu.

Papuga znów wygłosiła jakiś komentarz, tym razem po niemiecku, aż Annalisa zerwała się z miejsca.

— Trzeba go zakryć, zanim się rozgada na dobre! Och... przepraszam, Vanesso, zamoczyłam zasłonę w twojej kawie. Nic się nie przejmuj, czysta...

— Pomogę ci — wtrącił Sandor Balog.

Śmiał się wraz z nami i co ciekawsze, rozbawiony uległ zadziwiającej przemianie. Mógł się podobać (zauważyłam z żalem, gdyż coraz bardziej lubiłam Annalisę) jak piękne zwierzę, emanujące wewnętrzną siłą. Z pomocą Tima zakrył klatkę, a Annalisa zapytała, czy zechce jeszcze jedną kawę. Tym razem odmówiłam.

— Musimy iść. Popatrz, która godzina, zaraz będziecie wstawać. Nie, naprawdę, nie ma za co... — dodałam, kiedy znowu zaczęła mi dziękować.

— Nie zapomnij wpaść, jak będziesz w pobliżu — mówiła z przejęciem. — Za dwa lub trzy dni opuszczamy Austrię, ale dziś jedziemy do Hohenwaldu, a potem do Zechstein. Może też tam zawitasz? Jeśli zechcesz obejrzeć przedstawienie, zatrzymamy dla ciebie najlepsze miejsca. Ojciec na pewno się ucieszy na twój widok.

Sandor Balog także wstał z ławy.

— Odprowadzę was. — Zaprotestowałam, ale wyjął z kieszeni małą latarkę. — Tak będzie lepiej. Ciągniki zryły ziemię i po ciemku łatwo skrócić nogę. Chodźmy.

— Dziękuję — odpowiedziałam. — Dobranoc, Annaliso. *Auf Wiedersehen.*

— *Auf Wiedersehen.*

— *Merde, alors* — stłumionym głosem dodała papuga.

ROZDZIAŁ VIII

Wniosek był zajmujący, choć trudny.

Mark Twain: „Przygody Hucka”

— Najwyraźniej chciał się nas pozbyć — mruknął Timothy, kiedy szliśmy przez śpiącą wioskę w stronę *Gasthof* „Edelweiss”. Było bezwietrznie i zimno. Zegar na kościelnej wieży cicho wydzwonił drugą, gdzieś w dali brzęknął łańcuch i zabrzmiało gardłowe warczenie psa. — Myślisz, że coś się kroi między nim i Annalią? Moim zdaniem to prostak.

— Ona go nie chce, to pewne. W dodatku są jeszcze Herr Wagner i papuga.

Parsknął śmiechem.

— Spodobał mi się ten ptaszek. Chciałbym usłyszeć...
Dziwne.

— Co dziwne?

— Chyba kogoś widziałem... Po drugiej stronie rynku, pod drzewem.

— No to co?

— Mógłbym przysiąc, że to pan Elliott.

— No i co z tego? — zapytałam ponownie. — Pewnie się objadł na kolację słodkim pieczywem, a teraz nie może zasnąć. Chodź, Tim. Padam ze zmęczenia.

Kiedy jednak znalazłam się w łóżku, sen nie przychodził. Wierciłam się niespokojnie. W końcu wstałam, otworzyłam

przeszkłone drzwi i bosy wyszłam na werandę. Spojrzałam w ciemność nocy. Drzwi w części zajmowanej przez Tima też były otwarte, ale w pokoju panował mrok. Zegar wybił kolejne pół godziny. Krowa z cichym szelestem wierciła się w pobliskiej oborze.

Noc była słodka, chłodna i czysta. Gwiazdy połyskiwały tuż nad szczytami gór, niczym drobiny śniegu skąpane księżycową poświatą. W ich blasku widać było miękkie, trawiaste zbocza, drzewa zastygłe w srebrze i cienie. Po bogactwie zapachów rozpoznawałam okolicę. Tuż przy werandzie koniczyna i świeżo żęte siano... dalej sosny... i chłodna woń bystrzyny... lekki zapach potraw z kuchni gospody... świnia... i mleczno-słodkie krowy z leniwie pobrzękującymi dzwonekami u szyi.

Błogi spokój. Pora snu dla każdego.

Po deskach wilgotnych od rosy przeczłapałam z powrotem do pokoju. Za jedyne okrycie w łóżku miałam pierzynę, lekką i ciepłą, ale tak krótką, że gdy ją podciągnęłam pod brodę, wystawały mi stopy. Zwinęłam się w kłębek twarzą do okna, otuliłam najciaśniej jak mogłam i pomyślałam o Lewisie...

Chyba nie zdążyłam usnąć, choć doprawdy niewiele brakowało, gdyż drgnęłam przestraszona na cichy dźwięk dochodzący od strony werandy. Leżałam bez ruchu, nadstawiając uszu. Nic. Mimo to byłam pewna, że coś — lub ktoś — się zbliża.

Potem czyjaś ręka rozsunęła zasłony. Niczym duch jakaś postać wpełzła do pokoju. Wciąż owinięta pierzyną usiadłam na łóżku. Intruz stał do mnie plecami; zamykał okno. Rozległ się delikatny trzask zasuwki. Nocny gość nasłuchiwał przez chwilę.

— Nie śpię, panie Elliott — oznajmiłam półgłosem. — Co pana tu sprowadza? Nie mógł pan znaleźć drogi do wozu Annalisy czy Sandor Balog stał na straży?

Podszedł do łóżka. Nawet na twardej podłodze poruszał się bezszelestnie, miękkim, kocim ruchem.

— Chyba nie zabłądziłem.

— Skąd ta pewność? Co każe panu myśleć, że ma pan prawo nocą wchodzić do mojego pokoju i oczekiwać ciepłego przywitania?

— Skoro już mowa o prawach... — wymruczał Lewis, przysiadł na brzegu łóżka i zdjął buty.

— Teraz spowiedź — oświadczyłam jakiś czas później. — Co, do diaska, tu robisz i co cię łączy z Annaliską?

— Stuprocentowa baba — westchnął Lewis. — Do wszystkiego bierzesz się od złej strony. Po pierwsze: co ty tu robisz i kim jest ten młodzieniec?

— Ciszey, mieszka tuż obok.

— Wiem. Zajrzałem tam z werandy. Śpi jak zabity.

— Świetnie sobie radzisz. Znasz go, opowiadałam ci o nim. To Tim Lacy. Pamiętasz Carmel? Raz chyba ją widziałeś. W prezencie ślubnym dostaliśmy od niej ohydną karafkę.

— Aaaa... tak, ta pulchna. Pamiętam. Miękką, słodką, tylko co chwila czymś kłuła, zupełnie jak ta twoja pierzyna. A swoją drogą, czy musisz ją mieć całą dla siebie? Zmarzłem.

— To się ubierz. Jakby Tim lub Frau Weber znaleźli cię w takim stanie...

— Racja. Życie w grzechu niesie same kłopoty — pojednawczo wymruczał Lewis i sięgnął po spodnie.

— Na litość boską, możesz mi w końcu wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi? O mało nie zemdlałam, kiedy cię zobaczyłam pod drzewem. Miałam ochotę wrzeszczeć.

— Wiem. Dlatego ci dałem znak, żebyś milczała. Przyznaję, że potrafisz nad sobą panować. Chłopak coś zwęszył?

— Nie, chociaż stwierdził, że miałam głupią minę.

— Owszem. Jakbyś ujrzała ducha.

— Bo ujrzałam! To najgorsza rzecz, jaka mi się zdarzyła w życiu. Prawdę mówiąc, kiedy na mnie spojrzełeś, przez jedną okropną chwilę myślałam... że to rzeczywiście ktoś inny. Lewis... skąd wytrzasnąłeś te łachy? Coś wstrętnego!

— Serio? — Był wyraźnie zadowolony. — Chcesz powiedzieć, że cię zmyliły?

— No... tak.

— Bardzo dobrze... Cholera, nie mogę znaleźć skarpetki. Teraz chyba już wiesz, że to naprawdę ja.

— O, tak... Te same przyzwyczajenia, ten sam Lewis. W każdym calu. Pod pewnymi względami jesteś niezastąpiony.

Uśmiechnął się.

— Skoro tak twierdzisz... Gdzie, u diabła, jest ta skarpetka? Nie możesz choć na chwilę zapalić światła?

— Nie. Muszę dbać o swoją reputację. Zabroniłeś mi mówić, że jesteś moim mężem, więc nie zamierzam czekać, aż ktoś cię znajdzie w moim łóżku. Pamiętaj o Timie.

— Prawda, Tim. Wciąż mi nie powiedziałaś, co tu robi. Znalazłem. Dalej, twój ruch. Słucham.

— Mniej cię interesuje moja podróż niż obecność Tim-a? — spytałam ostro. — A powód, dla którego tu przyjechałam? Lewis...

— Na mnie przyjdzie czas potem. Van, kochanie... najpierw muszę wiedzieć, jak mnie znalazłaś w Oberhausen. Wszystko ci powiem we właściwym czasie, ale tu i teraz chcę poznać twoją wersję. Dlaczego przyjechałaś? Proste: bo wiedziałaś, że tu mnie zastaniesz. Skąd?

— Wiedziałam tylko, że byłeś w cyrku. W Wiedniu popytaliśmy o pożar i wówczas padła nazwa Oberhausen. Zjechaliśmy więc tutaj. Spodziewałam się wprawdzie, że tabor ruszył w dalszą drogę, ale byłam pewna, że ktoś z miejscowych wskaże nam, gdzie was szukać.

Lewis wkładał gruby, ciemny sweter. Przeciągnął go przez głowę, milczał chwilę, a potem spojrzął na mnie i spytał z ciekawością:

— Kronika filmowa?

— Boże, za szybko zgadłeś! Tak. Carmel Lacy obejrzała kronikę, rozpoznała cię i zadzwoniła do mnie z pytaniem,

czy mogę konwojować Tima do Wiednia. Była przekonana, że prędzej lub później dołączę do ciebie.

— Jasne. Zauważyłem kamerę, ale nie wiedziałem, czy zdążyli mnie sfilmować. Miałem nadzieję, że nie. Sprawdziłaś?

Skinęłam głową.

— I jak?

— Było cię widać jak na dłoni. To źle?

Zbył milczeniem ostatnie pytanie.

— Śmieszne... — odezwał się po chwili. — Nie przewidziana wpadka. — Znów umilkł. — Nawet mi nie przyszło do głowy, że sprawy zajdą tak daleko, ale kiedy cię zobaczyłem w Oberhausen, byłem przekonany, że nastąpił przeciek. Puścili to w telewizji?

— Na pewno nie w Anglii. Zwykle oglądam dziennik, więc bym zauważyła. Albo ja, albo ktoś z przyjaciół. — Usiadłam, podciągnęłam kolana pod brodę i mocniej otuliłam się pierzyną. — Lewis... O co chodzi? W poniedziałek dostałam depeszę ze Sztokholmu. Ty ją nadałeś?

— Nie.

— Tak myślałam. Był też list; nadszedł w piątek. Dałeś go komuś do wysłania?

— Tak.

— Ale... dlaczego Sztokholm? Dlaczego nie Wiedeń?

— Nie mogłem ci powiedzieć, dokąd naprawdę jadę. Chciałem cię utrzymać od tego jak najdalej. Prawdę mówiąc — dodał z lekką goryczą — warto było wymyślić lepsze kłamstwo, jeśli zamierzałem bezmyślnie paradować przed kamerą.

— Musiałeś kłamać?

— Tak.

— Nie wiesz, co przeżyłam, widząc cię na ekranie — jęknęłam. — Nie mogłam pogodzić się z myślą, że to przez naszą kłótnię, ale... byłam okropnie nieszczęśliwa. Nagadałam ci tyle okropnych rzeczy...

— Było, minęło. Nie będziemy do tego wracać.

Już pół godziny wcześniej ustaliliśmy zgodnie, że sprzeczka wcale nie miała miejsca.

— Masz rację. Kocham cię, Lewis.

Mruknął z najwyższym ukontentowaniem — jak każdy mąż w podobnej sytuacji — po czym sięgnął do zwisającej z krzesła marynarki, z której wyjął papierosy i zapalniczkę. Potem położył się znowu.

— Już. Teraz wyglądam przyzwoiciej? Nie, zatrzymaj tę koszmarną pierzynę. Mocniej się otul, słodka. Już mi ciepło... Hmm... Obejrzałaś kronikę i zobaczyłaś mnie w Austrii, choć na dobrą sprawę powinienem być w Szwecji... Nie przyszło ci do głowy, że mogli mnie przenieść? Nie, bo tego samego dnia dostałaś fałszywą depeszę ze Sztokholmu... Postanowiłaś więc przyjechać, żeby sprawdzić, co się naprawdę dzieje? Tak było?

— Mniej więcej. Głupio przyznać, ale w gruncie rzeczy to prośba Carmel ostatecznie wpłynęła na moją decyzję. Jakby... znak z nieba, jakby ktoś mi kazał jechać do Austrii... Poza tym chciałam wiedzieć, w co się naprawdę wplątałaś.

— A co podejrzewałaś?

— Różne rzeczy... Zwłaszcza jak zobaczyłam Annalisę. Też była w kronice.

— Też? Rozumiem... — mruknął ze źle ukrywaną satysfakcją. Dmuchnął kółkiem dymu, które na kształt widma przecięło bladą smugę światła sączącą się zza zasłony. — Nie dowierzałaś mi?

— Nie.

— Przynajmniej szczerze — odparł półgłosem.

Drugie kółko dymu powędrowało w ślad za pierwszym.

— Lewis! — Chciałam odsunąć się od niego.

— Ciszej, na miłość boską. — Leniwie wyciągnął rękę i przygarnął mnie mocniej. — Miałaś pełne prawo. Choć z drugiej strony dałem ci chyba dość dowodów na to, że nie powinnaś się martwić.

— Albo wręcz przeciwnie.

— Kwestia punktu widzenia? Może... — Bawiła go ta

rozmowa. — Leż spokojnie, dziewczyno. Nie wierć się. Mamy mało czasu, a chciałbym usłyszeć resztę.

— Dobrze. Lecz pamiętaj, że ja także czekam na zwierzenia. — W paru zdaniach streściłam przebieg ostatnich wydarzeń. — Gdy wieczorem odszedłeś z Annalisą, zastanawiałam się, czy nie wyznać Timowi całej prawdy. Potem pomyślałam jednak, że będzie lepiej, jeśli najpierw porozmawiam z tobą. Udawałam głupią. Dałeś do zrozumienia, że wkrótce się spotkamy, więc szukałam cię w cyrku.

— Przyszedłem później. Patrzyłem, jak operujesz.

— Wiem. Wszędzie mam szpiegów. — Usłyszałam jego cichy śmiech. — Co w tym zabawnego?

— Nic. Dostałaś rogaliki?

— Tak, dziękuję. Tim chwalił pod niebiosa twój pomysł; zyskałeś w nim oddanego wielbiciela. Dlaczego nie zostałeś? Szukałam cię w każdym kącie.

— Chciałem z tobą porozmawiać bez świadków. Poza tym nie lubię przeszkadzać ci w pracy. Wykonała pani kawał dobrej roboty, pani March.

— Biedny stary Srokacz. Herr Wagner zamierzał go zabić. Przedtem należał do Franzla i nie bardzo nadaje się do roboty. Teraz już oficjalnie stał się własnością Annalisy, więc moim zdaniem, przez pamięć na wuja, będzie mógł dożyć swych dni w spokoju. A skoro mowa o dziewczynie... Lepiej uważaj, bo ją stracisz na rzecz Tima.

— Mam nadzieję, że chłopak umie strzelać — odparł Lewis. — Pół obsady rodeo i wszyscy klauni kochają się w niej na zabój, nie wspominając Baloga i Karla. Nie pytaj „a ty?“, bo ci spuszcza lanie.

— A ty?

Przyciągnął mnie do siebie, aż trafiłam mu nosem pod pachę. Na policzkach czułam szorstki dotyk swetra. Zapadła długa, przyjemna cisza. Słyszałam tylko cichy syk tytoniu, kiedy Lewis zaciągał się papierosem.

— Szczerze mówiąc — wymruczałam stłumionym głó-

sem — przestało mnie obchodzić, co tu robisz. Najważniejsze, że jesteś. Kochany Lewis. Pytam tylko, czy mogę zostać z tobą? Czy możemy to potraktować jako początek wspólnych wakacji? Skończyłeś pracę?

— Prawie. Muszę wpaść do Wiednia i będzie po wszystkim.

— Wyjeżdżasz jutro?

— Dzisiaj. Tak.

— I rozumiem, że mnie nie weźmiesz. W takim razie zostanę tutaj. Nie... nie tutaj. Gdzieś, gdzie będziesz znowu nazywał się March. Wrócisz z Wiednia i zaczniemy urlop. Zgoda?

— Całkiem możliwe. A co z chłopcem?

— Niech go zabiera Annalisa — odparłam sennie. — To uczciwa zamiana. Chyba nie leżysz w czystym łóżku w tych okropnych portkach, w których cię dziś widziałam?

— Boże, nie. Wkładam je wyłącznie do roboty w stajni.

— Tak myślałam — parsknęłam śmiechem. — Naprawdę oporządzałeś konie?

— Naprawdę. Mówiłem ci, że jeden z tych żółtych diabłów mnie ugryzł? Po wszystkim, co zrobiłem dla Anglii... Mógłbym zgarnąć dodatek za ryzyko i pracę w trudnych warunkach.

Zapadła cisza.

— Cóż... myślę, że na mnie kolej. Van, kochanie, nawet teraz nie powinienem ci tego mówić, lecz jednak chyba muszę... Przekonałem się, że można ci ufać, a poza tym — roześmiał się — i tak rzucam to zajęcie. Dużo ostatnio rozmyślałem... potrzebuję twojej pomocy. — Zduślił niedopałek w popielniczce stojącej na nocnej szafce i wsparł się na zgiętym ramieniu. — Nie mamy wiele czasu; pora się przespać. Ograniczę się zatem do najważniejszych faktów. Sama dopowiesz sobie resztę. Sztokholm, depesza, list, Lee Elliott, kłamstwa... zrozumiesz wszystko.

Przerwał, po chwili zaczął znowu, ze wzrokiem wbitym

w sufit, w poczerniałe belki, mającące w słabej poświacie przedświtu.

— To, co ci wcześniej powiedziałem o wydarzeniach w Oberhausen, to szczerą prawdą. Znałem Paula Denvera. Pracowaliśmy razem. Tuż przed umówionym spotkaniem zginął w pożarze. Przyjechałem do wioski w poniedziałek rano. Wiedziałem, że Paul ma kontakty z cyrkiem, więc jak tylko zobaczyłem płonący tabor, co sił w nogach pogałem w tamtą stronę. Paula nigdzie nie było. Ludzie zaczęli krzyzczyć, że w wozie ktoś został, i domyśliłem się, że chodzi o niego...

— Annalisa mówiła, że wynurzyłeś się z mroku i skoczyłeś na pomoc.

— Tak. Kiedy go wyciągnąłem, był martwy. Franz Wagner żył jeszcze chwilę.

Przerwał.

— Jak dotąd, wszystko prawdą — podjął po krótkim milczeniu. — Pora na resztę. Rzeczywiście pracuję w PEC, lecz od czasu do czasu otrzymuję zlecenia od całkiem innej firmy. Bywa też, że używam innych nazwisk. Choćby tak jak teraz. Niektóre z moich zagranicznych wypraw były związane z tą... nazwijmy to „uboczną” pracą. PEC oczywiście o tym nic nie wie. Nie, nie podam ci prawdziwej nazwy wydziału, ale uwierz na słowo, w handlu chemikaliami tyle się dzieje, że można im wcisnąć każdy wykręt. — Wyczułam z jego głosu, że się uśmiecha. — Ot, cały dramat. Nie znałaś wielu moich zajęć, gdyż były opatrzone klauzulą „tajne”.

— Tajne? To znaczy... wywiad? Lewis! — Nie wierzyłam własnym uszom. — Jesteś... agentem? Szpiegiem?

Roześmiał się.

— Nazywaj to, jak chcesz. Nie jestem wybredny.

— Lewis... Nie, nieprawda... Ty?

— We własnej osobie. Wybacz, jeśli cię rozczarowałem. — Gwałtownie odwrócił głowę. — Kochanie, cała drżysz! Nie musisz się obawiać... Nie rozbijam się po drogach

spreparowanym aston martinem, zbrojny w rewolwery i ampułki z trucizną. Częściej noszę melonik, teczkę i plik banknotów, żeby przekupić jakiegoś podrzędnego informatora. Dobry Boże, przecież widziałaś, na czym polega moja praca... Na doglądaniu koni.

— Po wszystkim, co zrobiłeś dla Anglii...

— Właśnie. Oto całe ryzyko. Ugryzł mnie palomino.

— A Paul Denver zginął.

— A Paul Denver zginął. — Przestał się uśmiechać. — Wiem, co myślisz, ale nie ma żadnych dowodów na to, że chodzi o coś więcej niż zwykły wypadek. Bóg jeden wie, po co policja trzymała cyrk tak długo, jeżeli niemal od razu ustalono wszystkie fakty. Już przed paroma laty Franz Wagner spowodował mały pożar wozu. Teraz był bez wątpienia pijany. Może właśnie dlatego Paul uznał go za dobrego informatora. Z drugiej strony, nie chciało mi się wierzyć, że sam się tak ubzdryngolił, by nie móc uciec. Wkrótce ustaliłem przyczynę: miał solidną ranę na głowie. To obudziło moje podejrzenia i niezależnie od policji wszcząłem prywatne śledztwo. Bez efektu. Wiadomo tylko, że pękł hak trzymający naftową lampę, więc Paul został pewnie znokautowany przez spadający kawał metalu. Nieprzytomny zginął w płomieniach, a stary Franz przeżył nieco dłużej, bo leżał dalej od źródła ognia i pierwszy został wyciągnięty. Nawet coś mamrotał. Zaraz pewnie pomyślisz, że chciał ujawnić nazwisko „mordercy”. Nie, nic z tych rzeczy.

— Nie sądziłam, że był przytomny.

— Jęczał cicho. Szok wyrwał go wprawdzie z oparów alkoholu, lecz cierpiał z bólu i ledwo go było słyhać w ogólnym hałasie. Ludzie biegali wokół, ratowali wystraszone zwierzęta, a on mówił ciągle o koniach i rzeczach zgromadzonych w stajni... Powiał wiatr i istniała groźba, że ogień przetrzuci się na sąsiedni namiot. Pytałem Franza, co wywołało pożar, ale on wciąż wzywał lipicana i bełkotał o cennym siodle, czy czymś takim, przywiezionym ponoć aż z Neapolu.

— I to wszystko?

— Tylko tyle zdołałem zrozumieć. Tłumaczyłem mu, że konie są bezpieczne, że biały ogier jako jeden z pierwszych został usunięty ze stajni... Chyba mnie nie słyszał. Zmarł z imieniem lipicana na ustach... — Zapadła chwila ciszy. — Przede wszystkim chciał mówić z Annalisą... Była przy nim. Wiesz, Van... cholernie ciężko patrzeć, jak ktoś umiera od oparzeń. Potem przyjechała policja i Herr Wagner zostawił córkę...

Domyśliłam się, że chciał mi wytłumaczyć, skąd się wzięła pozorna zażyłość między nim a dziewczyną.

— Nie musisz nic mówić. Sama wiem, że w trudnych chwilach dobrze cię mieć przy sobie. Wyjaśniła ci słowa Franzla?

— Nie. Jej zdaniem żadne siodło nie zostało zrobione we Włoszech. Wszystkie pochodzą z Austrii i nie są szczególnie cenne. No i masz swoją tajemnicę. Franzl ani słowem nie wspomniał o morderstwie, a śmierć Paula to jeszcze jedna, cholerna i całkiem niepotrzebna złośliwość losu, jaka potrafi zniszczyć najlepiej ułożone plany. Gdybym przyjechał nieco wcześniej, zdążyłbym go odszukać przed wypadkiem...

— Mówiłeś, że mieliście się spotkać w określonym celu. Miał dla ciebie jakąś wiadomość?

— Tak. Paręnaście dni temu wrócił z Czechosłowacji. Złożył raport na Dworcu Wiedeńskim... tak nazywamy kwaterę do spraw Europy Wschodniej... i wyjechał w głąb Austrii. Podejrzewam, że chciał po prostu odpocząć. Ale na tym nie koniec. Wydział w Londynie dostał zakodowaną wiadomość, bym jak najszybciej przybył do Styrii. Nikt inny, tylko ja. Miałem odszukać cyrk Wagnera i przedstawić się jako Lee Elliott... Już wcześniej, pracując z Paulem, używałem tego nazwiska. Tak się składa, że Paul zawsze dostawał to, czego żądał, więc właściwie nie miałem wyboru... Resztę znasz.

— Nie wiesz, po co cię wezwał?

— Nie. Jedynym śladem jest cyrk... oraz to, że chodziło mu właśnie o mnie. Widzisz, za dwa dni tabor wjeżdża na

teren Jugosławii... Byłem tam kiedyś z Pauliem i dość dobrze mówię po serbochorwacku. Jako Elliott mogę bez trudu przekroczyć granicę i niepotrzebna mi „przykrywka” w postaci cyrku. Można zatem przypuszczać, że właśnie tutaj tkwi prawdziwy klucz do zagadki...

— Coś lub ktoś ma po cichu opuścić Austrię?

— To najbardziej oczywista odpowiedź. Cyrkowcy są jedyną grupą ludzi podróżującą swobodnie po Europie... nawet za żelazną kurtyną. Tylko że bez właściwej wskazówki nie mam pojęcia, czego szukać w tej całej masie sprzętu, zwierząt i osób. Zaczepiłem się przy koniach, zawarłem liczne znajomości... i nic. Kropka.

— A co z raportem? Przyznasz się do porażki?

— Muszę. Miły koniec kariery.

— Pozwolą ci teraz odejść? Nie będą żądać, żebyś... wyjechał za granicę?

Poruszył się niespokojnie.

— Raczej nie, ale... Nie rozumiem, po co Paul wygrzebał „Elliotta”, skoro nie zamierzał tu wracać... — Zwichrzył mi włosy. — Nie martw się na wyrost, mała, to niepotrzebne. A gdybym nawet musiał zostać z cyrkiem, nie ryzykuję niczego więcej poza jeszcze jednym ugryzieniem.

— Chcesz powiedzieć, że na własną rękę dokończysz tę sprawę? Dla osobistej satysfakcji?

— Jeśli chcesz to ująć w ten sposób... — odparł powoli. — Tak. Nie dostanę błogosławieństwa wydziału, ale... — zawahał się. — Dla osobistej satysfakcji. Nie ma mowy o intuicji, nie wierzę w przeczucia. Znałem Paula na tyle, żeby wiedzieć, iż chciał mi przekazać coś naprawdę ważnego. Musisz mu wybaczyć. Nie miał pojęcia, że odchodzę lub wyjeżdżam na urlop. Przepraszam.

— Nie przepraszaj, to już za nami. Nie zamierzam znów urządzić ci sceny. Wiesz, co robisz... tylko tym razem musisz wziąć mnie z sobą. Nie śmieję się, mówię całkiem poważnie. Jeśli masz zamiar podjąć prywatne śledztwo, nie widzę żadnych przeszkód, żebyśmy nie mogła ci towarzyszyć. Równie

dobrze mogę nawiązać kontakt z cyrkowcami... a poza tym jestem weterynarzem i mam stałą „wejściówkę” do taboru. Zostawiłam tam przecież pacjenta, który przez pewien czas będzie wymagał opieki.

— *Entendu*. Masz wizę?

— Nie.

— W takim razie... Wcale się nie śmieję, naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Rób to co do tej pory: kręć się przy cyrku. Słuchaj... Rano muszę wracać do Wiednia. Moja dalsza obecność obudziłaby podejrzenia, zwłaszcza gdybym także przekroczył granicę. Dobrze, że się zjawiłaś i że masz wobec trupy Herr Wagnera najbardziej żelazne alibi pod słońcem. Cyrk jeszcze tylko dwa dni zabawi w Austrii: w Hohenwaldzie i Zechstein. Potem ruszają do granicy. Możesz przecież wraz z Timem obrać tę samą trasę... i co jakiś czas, z czysto zawodowego obowiązku, odwiedzać starego Srokacza. Tylko tyle. Żadnych konkretnych pytań. Patrz i nadśłuchuj. Idź za kulisy, rozmawiaj... i za każdym razem miej szeroko otwarte oczy. Już mówiłem, że nie wierzę w preczucia, ale w głębi duszy mam pewność, że coś się kroi... A winowajca lub winowajcy rozluźnią szyki, kiedy zniknie przeskoda w postaci kolegi Paula. Może coś usłyszysz.

— Co wtedy?

— Nic. Zrozumiałaś? Nic. Czekaj na mnie.

— Szybko wrócisz?

— Tak. Prawdopodobnie dziś w nocy. Na pewno przed środą.

— Czego mam szukać?

— Bóg wie czego... Czegoś, co nie pasuje do ustalonych reguł. Może to jakiś drobiazg... ale Paul mnie wezwał, chciał jechać za granicę i zginął... Wszystko jasne? Masz siedzieć cicho i nie ryzykować. Zapomnij, że tu byłem, zapomnij o naszej rozmowie i obserwuj cyrkowców, dopóki nie wrócę. Zgoda?

— Zgoda. I nie musisz mnie uspokajać. Nie boję się, jestem szczęśliwa. — Potarłam policzkiem o szorstki sweter. — Powiedziałaś: „Dobrze, że się zjawiłaś”...

— To prawda.

— Cicho... Chyba Tim się rusza.

W sąsiednim pokoju głośno skrzypnęło łóżko. Pewnie chłopak przewrócił się na drugi bok. Leżeliśmy bez ruchu, przytuleni do siebie. Po chwili znów zapanowała cisza.

— Muszę się zbierać — szepnęła Lewis. — Szlag by trafił...

— Co z Timem?

— Na razie daj mu spokój. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal... Problem tylko z tym moim cholernym *alter ego*. Znam młodzieńców pokroju Tima. Prędeży czy później odkryje, kim naprawdę jestem. Lepiej go uraczyć jakąś historyjką... że prowadzę śledztwo na rzecz PEC związane z ubezpieczeniem. Coś w tym rodzaju. Nawet jeśli uzna, że mam powiązania z policją, to nie szkodzi. Przynajmniej będzie milczał. Ufasz mu?

— Bardziej niż sobie.

— Dobrze. Nie mów mu jednak więcej, niż potrzeba. Zresztą sam z nim pogadam po powrocie. Teraz znikam. — Usiadł. — Ostatnie ustalenia. Jutro, to znaczy dzisiaj, jedziesz do Hohenwaldu. Bądź ze mną w kontakcie. Zadzwoń wieczorem. Numer w Wiedniu: trzydzieści dwa-czternaście-sześćdziesiąt. Nie zapisuj, postaraj się zapamiętać. Wiesz już?

— Chyba tak. Wiedeń, trzydzieści dwa-czternaście-sześćdziesiąt. Mam zapytać o pana Elliotta?

— Tak. Jeśli mnie nie będzie, odezwie się ktoś inny. Powiem im, że masz dzwonić. Dzień później dotrzesz do Zechstein, pod samą granicę. Tam się spotkamy. Jakies trzy kilometry na północ od wioski jest nowo otwarty hotel. Mieści się w starym zamku, przebudowanym dla potrzeb gości. Fascynujące miejsce. Spróbuj tam znaleźć pokój. To na tyle daleko od Zechstein, że nie będę się musiał obawiać, iż ktoś mnie zdemaskuje... Wystarczy ci pieniędzy?

— Na razie... Ile kosztuje nocleg w zamku?

— Pewnie sporo. Nic się nie martw, spróbuję cię wciągnąć na naszą listę. Weź dwójkę, na wypadek gdybym dołączył jako pan March. Teraz już muszę iść. Naprawdę.

- Wiem. Och, Lewis... Zimno mi bez ciebie.
- Naprawdę, kotku? Owiń się pierzyną i spróbuj zasnąć.
- Wcale nie jestem śpiąca. Odprowadzę cię.

Wstałam z łóżka i włożyłam szlafrok. Lewis włożył marynarkę i zaczął zawiązywać buty. Nosił trampki na gumowych podeszwach.

Pocałowałam go lekko we włosy.

— We wszystkim, co robisz, jesteś cholernie dobry, Casanovo. Myślisz, że zdołasz wrócić do siebie, nie zwracając niczyjej uwagi?

— Spróbuję. Jakby co, Frau Schindler pomyśli sobie, że pomagałam przy zwijaniu cyrku.

Cichutko otworzyłam drzwi na werandę. Do pokoju wpadł chłodny powiew wstającego świtu. Gwiazdy zaczęły blednąć, wiatr głąskał trawę.

Lewis niczym cień przesunął się koło mnie i stanął przy barierce. Odwrócił się. Podeszłam do niego.

— Nieźle dmucha, więc nikt mnie nie usłyszy — szepnęłam. Pocałował mnie. — Zachowaj pani nienaganną reputację.

Mocno chwyciłam go za klapy.

— Uważaj na siebie. Proszę...

— A to co znowu?

— Nie wiem. Taki odruch. Uważaj...

— Nic się nie martw, będę ostrożny. Wracaj do łóżka i pośpij trochę.

Nagle zostałam sama. Wydawało mi się, że szum traw stał się nieco głośniejszy, ale potem wszystko wróciło do normy.

Odwróciłam się, żeby wejść do pokoju, i wówczas zobaczyłam Tima. Stał w pizamie, bacznie mierząc mnie wzrokiem.

Świat zamarł na długą chwilę. Nie było wiatru, szelestu trawy, pulsu ani oddechu. Nie mogłam się poruszyć; nie umiałam wykrztusić słowa.

Tim także stał bez ruchu. Wiedziałam, że zobaczył Lewisa,

choć ten poruszał się niemal bezgłośnie. Patrzyliśmy na siebie chyba przez pół minuty. Dla mnie była to cała wieczność. Pamiętałam otrzymane wskazówki, a strach o męża utwierdzał mnie w przekonaniu, że za wszelką cenę muszę dochować tajemnicy. Był tylko jeden sposób, by to zrobić: zbagatelizować sprawę i nie dopuścić, by Timothy wpadł na trop właściwego rozwiązania.

— Cześć — powiedziałam swobodnie. — Nie możesz spać?

Powoli wyszedł na werandę i zatrzymał się tuż przede mną. W narastającym świetle dnia wyraźnie widziałam jego minę. Nie wyrażała ani zaciekawienia, ani dezaprobaty, ani nawet zaskoczenia. Maską doskonałej obojętności. Lepiej sobie nie mogłam życzyć.

Myślę, że to właśnie skłoniło mnie do działania. Siedemnastoletni chłopiec powinien wyglądać inaczej. Nie zamierzałam korzystać z wzorców, jakie stworzyli Carmel i Graham Lacy. Koniec ze sztuczną dorosłością.

Pozostawało wyznać prawdę. Nie było miejsca na afektację i naiwne pytania, co też przez ostatnie pół godziny „pan Elliott” robił w moim pokoju. Tim bez wątplenia widział nasz pożegnalny pocałunek. Poza tym — pomyślałam — jak już ochłonie z zaskoczenia, bez trudu doda dwa do dwóch i domyśli się reszty. Po co więc miałam milczeć? Równie dobrze mogłam zaufać mu już teraz. Lewis na pewno to zrozumie.

Wzięłam głęboki oddech i oparłam się o barierkę.

— Czas na szczerość — powiedziałam półgłosem. — Okłamałam cię, jeśli chodzi o Elliotta.

— Okłamałaś?

— Niestety. Pamiętasz, jak mówiłam, że jest niezwykle podobny do Lewisa?

— Pewnie, że pamięć... — W jego oczach błysnęło zaskoczenie, a z twarzy zniknął wyraz wystudiowanej obojętności. Wiedziałam, że w lot pojmie, o co chodzi, nie przypuszczałam jednak, iż sprawi mu to tak wielką ulgę. Miły komplement. — To twój mąż?! Ten Elliott... Ten z kroniki?

— We własnej osobie. Kiedy tylko go zobaczyłam, zrozumiałam, że chce zachować incognito. A potem Annalisa powiedziała: „To pan Lee Elliott”, więc udawałam, że go nie znam...

— Incognito? Naprawdę? Jezu! — Znowu miałam przed sobą dawnego Tima; nawet w zimnym świetle poranka »widziałam iskierki podniecenia w jego źrenicach. — Mówiłem, że to tajemnicza postać... Nic dziwnego, że cały wieczór zachowywałaś się jak pijana i nawet nie myślałaś o wysłaniu depeszy do Sztokholmu! — Zachłysnął się powietrzem. — Ale dlaczego? Coś nie tak z tym pożarem?

— Nie pytaj. Nie wyjaśnił mi nic ponad to, że jego firma nie chce być uwikłana w śledztwo i że na razie trzeba dochować tajemnicy. — Roześmiałam się cicho. — Byłby zachwycony, gdyby wiedział, że ktoś go jednak usłyszał.

— To nie tak... — zaprotestował Tim. — Obudziłem się i nie mogłem zasnąć. Zgrzałem się pod puchową kołdrą, więc wstałem, żeby szerzej otworzyć okno. Prawdę mówiąc, nieźle się wystraszyłem... — dodał z prostotą. — Zastanowiło mnie, po co przyszedł. Chciałem go złapać, powalić na ziemię, a potem sprawdzić, czy z tobą wszystko w porządku... i wówczas wyszłaś na werandę.

— I zobaczyłeś, że to całkiem przyjacielska wizyta — uzupełniłam ze śmiechem. — Dzięki za chęć pomocy. Teraz, jak powiadają, znasz nagą prawdę... Przynajmniej tyle, ile ja wiem. Zachowaj to dla siebie. Oficjalnie, nic ci nie powiedziałam.

— Jasna sprawa. Dobranoc.

— Dobranoc.

Wróciłam do zimnego łóżka.

ROZDZIAŁ IX

*Chwilami krokiem miarowym klusuje
Z dumą łagodną, co majestat chowa;
Wtem dęba staje, w górę wyskakuje,
Jak gdyby pragnąc wypowiedzieć słowa:
„Oto mej mocy próbę tutaj czynię”.*

Szekspir: „Venus i Adonis” *

Rankiem, gdy nasz samochód dotarł na kraniec wioski, ze smutkiem popatrzyłam na pusty plac, gdzie jeszcze wczoraj stał cyrkowy namiot. Został tylko okrągły kawałek wygniecionej trawy i nieco trocin w miejscu areny. Tam, gdzie była ciepła stajnia, gdzie spały konie i gdzie parę godzin temu dokonałam zabiegu, wiatr rozwiewał żdźbła siana.

Tim zjechał na skraj szosy.

— Dziwne, prawda? Niczym pole duchów.

— Właśnie o tym myślałam. Strasznie tu pusto, jakby Aladyn potarł magiczną lampę i przeniósł wszystkich do innego świata... Koniec baśni. — Zerknęłam w bok, na wypaloną ziemię i kilka poczerniałych słupków, niemych świadków tragedii. — Koniec dramatu. Jak myślisz, wyjechali stąd z dużą ulgą? Po co się zatrzymałeś? — spytałam, widząc, że otwiera drzwiczki.

— Warto kupić coś do jedzenia na drogę. Zaraz wracam... chyba że wolisz pójść ze mną i wypić małą kawę w *Konditorei*?

— Idę.

Płynący z piekarni zapach świeżych bułek mógłby zwabić

* przekł.: Maciej Słomczyński

każdego, więc trudno było wymagać od Tima, aby pominął tak kuszące miejsce. Małą witrynę na zacienionej uliczce wypełniały równo poukładane bochenki chleba i stopy innych, podniecająco obcych wspaniałości. Timothy zamarł z nosem przyklejonym do szyby, a ja obrzuciłam ukradkowym spojrzeniem boczne wejście. Napis „Zimmer Frei” świadczył o tym, że wynajmujący pokój lokator wyjechał.

— Vanesso, popatrz na te nazwy! Cudo... *Sandgugelhupf*... rewelacja. Kupimy po jednym? Albo *Polsterzipf*? A to? Nie... Naprawdę *SpitzbuW*.

— Dlaczego nie? W tym języku wszystko jest możliwe. A co powiesz na *Schokoladegugelhupfl* Osobiście wolę *Schnittbrot*.

— Moim zdaniem to zwykły chleb, tyle że krojony — odparł Timothy. — Poezja...

— Chyba od dziś zacznę się uczyć niemieckiego — oznajmiłam. — Chciałabym kupić podręcznik, ale podejrzewam, że najbliższa księgarnia jest w Bruck. Możesz mi jakoś pomóc?

— Pożyczę ci rozmówki. Świetna zabawa... Pomyśl tylko, ile potrzeba wyobraźni, żeby zebrać te wszystkie zwroty. Przypomina mi się szkolny podręcznik do greki. Jedno z pierwszych zdań brzmiało: „Ona niesie kości w koszyku”. Wciąż nie wiem, czyje kości i po co.

— Ale utkwilo ci w pamięci, a to właśnie rola podręcznika. Założę się, że ten fragment greki znasz lepiej niż pozostałe.

— Prawdę mówiąc, reszty w ogóle nie pamiętam. A w rozmówkach niemieckich najlepszy zwrot pochodzi z rozdziału „Podróż samolotem” i brzmi: „Czy mógłby pan otworzyć okno?” Niezwykle pożyteczna fraza.

— Kpisz ze mnie. Naprawdę tak napisali?

— Jak Boga kocham.

— Jeśli cała książka jest równie mądra...

— Dzień dobry — usłyszałam za sobą głos Lewisa.

Nie nosił trampek, a mimo to chodził niemal bezszelestnie. Postanowiłam go poprosić, żeby zmienił przyzwyczajenia. Nie zamierzałam w kwiecie wieku zejść na zawał serca.

Zdławionym głosem odpowiadałam „dzień dobry” i zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam od razu przyznać się do rozmowy z Timem, ale chłopak nie dał mi dojść do słowa, a potem było już za późno.

— Witam, panie Elliott! — zawołał radośnie, jakby całe życie spędził w tajnych służbach. — Dzień dobry. Pan jeszcze tutaj? Myślałem, że wyjechał pan zaraz po cyrkowcach.

— Za wcześnie dla mnie. Ostatnie wozy opuściły wioskę przed piątą. Przynajmniej tak sądzę. Spałem.

— Niezły śpioch z pana — wesoło stwierdził Timothy. — Podejrzewam, że był tu duży rejwach. Nic pan nie słyszał?

— Nie — odparł Lewis. — Spędziłem cudowną noc. Znacznie lepszą, niż przypuszczałem.

— Tim — wtrąciłam pospiesznie, może nieco za ostrym tonem — zrób zakupy. Zdaję się na twój wybór. Zaraz musimy jechać.

— Jasne — odpowiedział słodko i zniknął we wnętrzu sklepu.

— Wart Pac pałaca — mruknęłam rozeźlona. — Proszę tylko nie uprawiać potyczek nad moim małżeńskim łóżem. On wie, Lewis.

— Tak? — Zmarszczył brwi, lecz po chwili z ulgą zauważyłam, że jest wyraźnie ubawiony zaistniałą sytuacją. — A to spryciarz... Naprawdę?

— Musiałam mu powiedzieć. Widział cię zeszłej nocy.

— Dałem plamę.

— Nie, to był czysty przypadek. Ale nie mogłam dłużej kłamać.

— Wszystko jasne. Nie przejmuj się. Ile wie?

— Zdradziłam mu, kim jesteś. Myśli, że prowadzisz jakąś tajną akcję na rzecz PEC Mogę mu powiedzieć, że kazałeś mi obserwować cyrkowców?

— Nie widzę przeszkód. Wspomnij, że moja firma chce dokładnie poznać okoliczności śmierci Paula i że prosiłem cię o pomoc, bo muszę na parę dni wrócić do centrali. Przecież to szczerza prawda. Z resztą pytań odeślij go do mnie.

— Wątpię, by pytał. To wspaniały chłopak. — W tych dwóch zdaniach zawarłam niekłamany podziw, jaki wywołało we mnie zachowanie Tima w ciągu minionych czterdziestu ośmiu godzin. — Kiedy wyjeżdżasz?

— Już jestem w podróży. A ty?

— Też. Wybieraliśmy się do Hohenwaldu, ale Tim zaczął się obawiać, że zgłodniejemy po drodze. Masz samochód?

Ruchem głowy wskazał imponujące brunatne volvo zaparkowane pod pobliskim drzewem. Zdążyłam już zauważyć, że dziś rano był ubrany o wiele staranniej, chociaż nadal nie przypominał Lewisa Marcha. Cały czas miałam przed sobą anonimowo „szarą” postać Lee Elliotta. Domyślałam się, że owa umiejętność kamuflażu jest jednym z podstawowych narzędzi jego pracy, chociaż nic — powtarzam, nic — nie mogło mu odebrać wrodzonej precyzji i gracji ruchów, świadczących o wewnętrznej sile, dumie i — kiedy sobie na to pozwalał — niezaprzeczalnej elegancji.

Uniósł głowę i zmrużył oczy przed blaskiem porannego słońca.

— Co ten chłopak tak długo tam siedzi? Nie będziecie jechać wieki... — Zniżył głos. — Boże święty, przestań na mnie patrzeć w ten sposób, kochanie. Wyglądasz tak, jakbyś chciała obdarzyć mnie złotem i kadzidłem.

— A dlaczego? Mam swoje prawa, panie M. Przy okazji, jak stąd daleko do Hohenwaldu? — dodałam głośniejszym głosem. — Ile drogi może pokonać tabor?

— Mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów. Piękna trasa. Niezbyt stromo, urzekające widoki... Na obiad powinniście się zatrzymać w Lindenbaum. Cudowne miejsce.

Kiedy Timothy wychynął ze sklepu objuczony niepokojąco

wielkim naręczem paczek, pan Elliott wręczał mi właśnie mapę wyrysowaną na odwrocie starej koperty. Zauważyłam adres: „Pan Lee Elliott, c/o Kalkenbrunner Fertiliser Company, Meerstrasse, Wiedeń”.

— To jedziemy — powiedziałam. — Szczęśliwej drogi.

— Nawzajem — odparł Lewis. — Bawcie się dobrze. *Auf Wiedersehen* i pozdrówcie ode mnie Annalisę.

Wyruszyliśmy. Tim zerknął spod oka w moją stronę.

— Mała próba?

Roześmiałam się.

— Nie. Wypadłeś nadzwyczaj dobrze. Zresztą Lewis wie wszystko.

Zrobił zaskoczoną minę, zaraz jednak na powrót poweselał.

— Powiedziałaś mu? Wie, że wiem?

— Tak i na razie daj spokój, bo całkiem stracę głowę. Dość wyjaśnień... i dzięki Bogu, że nareszcie możemy swobodnie rozmawiać.

Od porannego spotkania na werandzie po raz pierwszy byliśmy sami. Śniadanie w gospodzie okazało się wydarzeniem publicznym, a czujna kelnerka śledziła każdy ruch Tima. Dopiero teraz, kiedy wioska została za nami, mieliśmy dla siebie nie tylko szosę, ale i całą Austrię.

Trasa, tak jak zaręczał Lewis, wiodła przez idylliczną okolicę. Poranne słońce rzucało długie, granatowe cienie, a gęste żywopłoty błyszcząły białymi powojami. Nieco wcześniej musiał tędy przejeżdżać wóz ze słomą, gdyż złociste źdźbła zboża zwisały z krzewów.

Przekazałam Timowi prośbę Lewisa, dodając tylko, że firma nie jest zadowolona z oficjalnej wersji „wypadków” towarzyszących śmierci Paula Denvera i że nadal istnieje pytanie, jakie związki łączyły zmarłego z pracownikami cyrku.

— Kazał mi ich obserwować — powiedziałam w końcu. — Kręcić się po taborze, w razie potrzeby jako wetery-

narz albo po prostu jako znajoma Annalisy. Podkreślał, że mam nie zadawać żadnych pytań ani nie bawić się w detektywa. Ty też nie będziesz zgrywał Archiego Goodwina... Co ja mówię? Przecież nawet nie wiem, czy zechcesz mi towarzyszyć. Reszta odpowiada moim oczekiwaniom... Zwłaszcza teraz, kiedy nie mogę od razu dołączyć do Lewisa, z chęcią pokręcę się wokół cyrku i może znajdę jakiś punkt zaczepienia... Coś, co będzie mogło mu pomóc. A przy okazji rzucę okiem na starego Srokacza. Jeśli wolisz od razu jechać do Pibru...

— Ani trochę. Zostaję. Mogę? Sądźisz, że...

Nagle umilkł, gdyż tuż przed nami pojawił się wóz ze słomą. Ogromniasty, pełen pod samo niebo, na trzeszczących drewnianych kołach, ciągnięty przez dwa spracowane kasztany. Szosa była tu bardzo wąska, o poboczach porośniętych krzewami i głębokich rowach po obu stronach.

— ...beze mnie dasz sobie radę? — dokończył Timothy, kiedy zdołał precyzyjnie auto jakieś trzy centymetry od wozu i dodał gazu.

— Właśnie się nad tym zastanawiam. Chyba nie.

— Zatem umowa stoi. Jedziemy do Hohenwaldu.

Wioska Hohenwald okazała się dużo mniejsza od Oberhausen. Leżała ponad półtora kilometra od głównej szosy, w malowniczej dolinie i na dobrą sprawę składała się z paru domów zgrupowanych wokół kościoła. Zielonoszara kopuła dzwonnicy sterczała dumnie nad dachami krytymi gontem lub czerwoną dachówką. Most, kamiennym łukiem spinający brzegi wąskiego potoku, wiódł wprost na ciasny rynek. Na południu i na zachodzie ciągnęły się roześmiane łąki i pola kukurydzy, błyszczące złotem wśród wszechobecnej zieleni, a na północy i na wschodzie drzemały porośnięte sosnowym lasem góry. Pobocza drogi posypane były białym pyłem.

Smutek, jaki towarzyszył nam przy wyjeździe z Oberhausen, zniknął, zanim jeszcze stanęliśmy w wiosce, głównie

za sprawą znajomych afiszy rozwieszonych na płotach i drzewach. Wkrótce zobaczyliśmy cyrk Wagnera, usadowiony na skrawku łąki, tuż nad potokiem. Widok tych samych wozów i namiotów w zupełnie innym otoczeniu wywoływał dziwne wrażenie. Jakby cały tabor przemknął na nowe miejsce, przeniesiony pięćdziesiąt kilometrów ręką baśniowego dżina.

Przyjechaliśmy wczesnym popołudniem. Pierwszy spektakl miał się zacząć dopiero o piątej, ale już wokół placu kręciła się gromada podnieconych i hałaśliwych malców. Przy wejściu zauważyłam karła Elemiera. Opowiadał widać dzieciakom coś zabawnego, gdyż co chwila wybuchały głośnym śmiechem. Zauważył nas i drobną dłonią wesoło pomachał na powitanie. Zatem wieść o naszym przybyciu miała dotrzeć do cyrkowców wcześniej niż my sami.

W wiosce odpoczywało kilku turystów, ale bez trudu dostaliśmy pokoje w małej i schludnej gospodzie niedaleko kościoła. Tuż po czwartej poszliśmy w stronę cyrku.

Zajrzałam do głównego namiotu.

Trawa była jeszcze świeża, arena wysypana czystymi trocinami, a na platformach zawieszonych wysoko pod dachem kręcili się elektrycy, zajęci ostatnim przeglądem instalacji. Namiot wydał mi się inny, rozjaśniony prześwitującym przez płótno blaskiem słońca. Obszerne wewnątrz rozbrzmiewało echem młotków i nawoływań robotników ustawiających ławki na przygotowanych wcześniej rusztowaniach. Ktoś na długiej drabinie poprawiał szkarłatną kurtynę, zza której podczas przedstawienia wybiegały konie. Dwóch klaunów, już w kostiumach, ale bez makijażu, prowadziło poważną rozmowę pośrodku areny.

Mimo niewielkich różnic namiot wyglądał tak samo jak zeszłej nocy i choć teraz był jedynie pustą budowlą, wypełnioną tylko obcymi zapachami, w moich uszach grzmiało śmiechem, oklaskami i muzyką dawno zapomnianych występów.

Znów stanęłam w blasku słońca i popatrzyłam na obcą wioskę, nie znaną mi dzwonnice i rozpostarty w dali las sosen. Ogarnęła mnie nagle tęsknota — nieobecna dzisiaj — za Lewisem. Pewnie już dotarł do Wiednia. Nocne spotkanie stało się tylko snem i zapadło w głąb czasu, jak niemal zapomniany fragment kroniki.

Annalisa już na nas czekała. Z ulgą zauważyłam, że cieszy się ze spotkania. Aż drżała z niepokoju, kiedy zechcę obejrzeć starego Srokacza.

— Cudownie, że jesteście! Zaprosiłabym was do środka, ale właśnie się przebieram. — Prawdę mówiąc, widzieliśmy tylko jej twarz, wyglądającą zza zasłony w drzwiach wozu. Mimo uśmiechu i niewymuszonej radości, wydawała mi się dziwnie blada. Gdzieś zniknęła iskierka dziewczęcej energii. Zastanawiałam się, ile spała ubiegłej nocy. — Rzecz jasna potem wpadniecie na kawę. Zostaniecie na przedstawieniu?

— Tim uparł się, że chce znów zobaczyć lipicana w akcji, a jak go znam, nie poprzestanie na jednym razie — odpowiedziałam. — Ja raczej zajrzę do stajni. Jak mój pacjent?

— Lepiej. Znacznie lepiej. Całkiem inny koń. Prawie nie kuleje... No, może trochę, jakby mu ścierpła noga. Ale to nic takiego...

— Przykurcz mięśnia — wyjaśniłam. — Je?

— Niezbyt dużo... naprawdę wygląda lepiej. Jestem ci taka wdzięczna...

— Nie ma o czym mówić. Jak rozumiem, trafił pod twoją opiekę?

Przytaknęła z nieco pustym (jak mi się zdawało) uśmiechem i dodała z prostotą:

— Zobaczmy się później? *Also gut!* W każdej chwili możesz wejść do wozu, nigdy go nie zamykam. Nastaw sobie kawę... Cokolwiek. Czuj się jak u siebie. — Znów przesłała mi uśmiech, teraz nieco weselszy, i zniknęła.

— Wygląda na zmęczoną — mruknęłam. — Mam nadzieję, że zdoła wytrzymać przedstawienie. Do zobaczenia, Tim.

Stajnia nie zmieniła się nawet na jotę. Ta sama woń, ten sam rząd końskich zadów i leniwie rozkołysane ogony. Tylko słońce, zalegające białą na płótnie, przegoniło gdzieś atmosferę sennego spokoju. Zwierzęta sposobiono do pokazu. Zdjęto z nich derki, a starannie wyszczotkowana sierść lśniła w dziennym świetle. Tu i tam uwijali się ludzie niosący czapraki, popręgi i pióropusze. Kuce, wyraźnie podniecone harmidrem, zaczęły parskać, trącać się pyskami i wymachiwać długimi ogonami. W boksie najbliższej wejścia stał obojętny na wszystko lipican. Nie strzygł uszami i nie zwracał uwagi na krzątanicę. Nie mogłam sobie wprost wyobrazić, że za niecałą godzinę, zdobny klejnotami i złotem, wybiegnie na arenę, by wykonać niesamowity lot nad ziemią. Tu, w mrocznym kącie, zdawał się stary i mądry, tak osadzony na ziemi jak posąg z białego marmuru.

Naprzeciwno, ze zwieszonym łbem, pozornie drzemał Srokacz, ale kiedy podeszłam bliżej, łypnął okiem i zastrzygł uchem na powitanie. Tuż obok pochylał się nad uprzężą jakiś chłopiec; dopiero gdy się odezwał, rozpoznałam karła Elemera.

— Wróciła pani popatrzeć na cierpiętника?

Nie wiem, gdzie go uczono angielskiego, lecz mówił całkiem poprawnie, chociaż sztywno. Miał głęboki, przyjemny głos.

— Właśnie... Wygląda lepiej.

— Mało je. Za mało. Ale...

Weszłam do boksu, żeby dokładniej obejrzeć konia.

— Tak też mówiła Annalisa.

— ...to nie ma znaczenia — dokończył karzeł.

Zdjął ze stojaka nabijane klejnotami siodło i z nie miałym trudem poniósł je w stronę białego ogiera. Niemal zniknął pod tym brzemieniem, popręg włókł się po ziemi, ale wiedziałam, że nie mogę narzucać się z pomocą.

Popatrzyłam na Srokacza. Opatrunek pozostał na właściwym miejscu, opuchlizna zniknęła. Koń nawet nie drgnął pod moim dotykiem. Pchnęłam go w kąt zagrody i zoba-

czyłam, że stawia nogę znacznie pewniej niż przedtem. Sierść miał jeszcze zmierzwioną, lecz wzrok jasny i ogólnie prezentował się zdrowiej niż ubiegłej nocy.

Wyprostowałam się.

— Nie ma znaczenia? — Nie byłam pewna, czy dobrze zrozumiałam pomruki karła. — Mimo wszystko chcą się go pozbyć?

Elemer wzruszył ramionami. Przy jego potężnych barach i maleńkich rączkach wyglądało to raczej żałośnie. Musiałam się dobrze pilnować, by nie odwrócić oczu.

— Kto to wie? — wymamrotał i trącił łokciem lipicana, odsuwając go na bok.

Nagle krzątania przybrała na sile. Część koni popędzono na arenę, „kowboje” sadowili się w siodłach, a z głównego namiotu zagrzmiał „Marsz gladiatorów”. Stajenny Rudi wpadł do zagrody lipicana, odebrał siodło Elemerowi i jedną ręką zarzucił je na grzbiet ogiera. Pomyliłam się co do karła. Rudi trajkotał po niemiecku, najwyraźniej drwiąc ze wzrostu towarzysza, lecz ten tylko wybuchnął śmiechem i zniknął pod końskim brzuchem, by dopiąć popręg. Zakończyłam oględziny Srokacza i lekko drapiąc go za uszami, patrzyłam, jak biały rumak wdziewa swą po królewsku lśniąca zbroję. Potem zbliżył się do mnie karzeł.

— Zaczynamy. Zechce pani raz jeszcze obejrzyć przedstawienie?

Pokręciłam głową.

— Myślę sobie... że od pożaru nasz staruszek nie miał zbyt wielu okazji do ćwiczeń. Wyszedł choć raz na trawę? Raczej nie. Chyba go wezmę na mały spacer... Zna pan jakieś odpowiednie miejsce? Może na skraj drogi? Pozwoli pan?

— Oczywiście — zdecydowanie oświadczył Elemer. — Pani wie najlepiej, co dla niego dobre. Ale nie radzę iść na drogę, za dużo tam kurzu i pyłu. Lepiej w drugą stronę. — Wskazał na tylne drzwi stajni. — Tam za polem jest las,

ale niezbyt duży... jak to mówicie?... Pas drzew, szeroki na jakieś dwadzieścia metrów. Ścieżka, furtka, pagórek i dobra trawa. Nikt wam nie będzie przeszkadzał.

— Mogę go tam zostawić do końca występu?

— Jasna sprawa. Ale nie chce go pani pętać? Wobec tego zaraz przyniosę łańcuch i kołek.

Bez kłopotu znalazłam wskazane miejsce. Na skraju pola, na którym koczował tabor, grunt ostro szedł w górę, młode szyszki jodeł połyskiwały bursztynowo w świetle wieczoru, a ścieżka tonęła w głębokim cieniu. Drewniana, wilgotna furtka zatrzeszczała cicho, kiedy ją otworzyłam, by przeprowadzić konia. Wędrowaliśmy bez pośpiechu. Srokacz początkowo ostrożnie stawiał przednią nogę, ale z każdym krokiem zaczynał sobie coraz śmiej i jak dotarliśmy do porośniętej mchem przecinki wśród sosen, szedł już całkiem rażno. Uniósł łeb i nadstawił uszu; pierwszy raz widziałam u niego objaw zaciekawienia. Ale przecież nawet moje ograniczone ludzkie zmysły z rozkoszą chłonęły bogatą woń letniego zmięzchu.

Za pasem drzew był pagórek, o którym wspominał Elemer. Długi, płaski na szczycie taras, upstrzony tu i ówdzie krzewiną i otoczony ścianą ciemnych jodeł. Ktoś skosił pożółkłą trawę i poukładał siano w niewielkie sterty. Nowa trawa cieszyła oko świeżą zielenią i barwami kwiatów. W powietrzu pachniało miodem.

Koń przepchnął się obok mnie, opuścił łeb i zaczął popas. Nie zamierzałam mu przeszkadzać. Wbiłam kołek pośrodku łąki, sama usunęłam się na bok i usiadłam.

Ziemia była nagrzana słońcem. Zza drzew dobiegały ciche dźwięki cyrku, stłumione i przez to bardziej melodyjne. Siedziałam zasłuchana, wtopiona w gasnący blask słońca, zapatrzona w konia, łączywie skubiącego trawę. Łąkę gęsto porastały kwiaty: dzwonki, tymianki, świetliki, a tam gdzie nie dotarło ostrze kosy, żółte jaskry i śnieżnobiała pietruszka. Zadziwiająca była liczba stworzeń trzepoczących wśród

trawy: cała łąka zdawała się lecieć na skrzydłach motyli. Brunaty, modraszki, cytrynki, dostojki, parę pawików, czerwone admirały i bielinki. Barwne plamki to osiadały na kwiatach, to znikwały, to znów migotały tysiącem kolorów. Nawet wśród korzeni uwijało się życie: wszędobylskie, rozśpiewane świerszcze. W powietrzu buczały pszczoły, lecące — jak zdążyłam zauważyć — ustaloną trasą, jakby przemierzały owadzią autostradę. Wszystkie zmierzały do maleńkiej chatki, pieczołowicie zbudowanej z pni sosny i na wzór gołębnika pełnej niewielkich otworów. Był to „dom pszczół”, rodzaj zbiorowego ula, gdzie każdy rój miał oddzielną „sאלę”, w której mógł składać miód na specjalnie przygotowanych ramkach. Z rozbawieniem i ciekawością obserwowałam objuczone słodkim brzemieniem owady, byстрыm lotem powracające do pasieki. Przypomniałam sobie, jak w dzieciństwie, paręnaście lat temu, w ten sam sposób radowałam się życiem angielskiej łąki. Teraz wszystko zakryła kwaśna mgła smogu.

Gdzieś za sosnami rozległ się zadziwiająco odległy jęk kościelnego dzwonu. Szósta. W cyrku panowała cisza. Może występowali klauni, a może tresowane psy... Znów w nieruchomym, przejrzystym powietrzu zabrzmiała muzyka. Rozpoznałam fanfarę: to Annalisa wkraczała na arenę na białym rumaku. Dźwięk trąb brzmiał srebrzyście, głośno i rozkazująco. Stary Srokacz przerwał posiłek, uniósł łeb i nadstawił uszu, niczym weteran paru wojen na zew naciągającej bitwy. Muzyka zmieniła ton, stała się słodka, złota, zwiewna, a orkiestra zagrała walca z „Kawalera z różą”.

Było coś czarownego w tych dźwiękach, płynących z od dali nad pogrążoną w świetle wieczoru alpejską łąką. Oparłam się wygodnie o miękką stertę siana, w nadziei na wspa niały koncert. Potem jednak zachowanie starego konia sprawiło, że usiadłam wyprostowana.

Srokacz nie wrócił do skubania trawy, lecz wygiął szyję

i wyprężył uszy, jakby naśladował dumną postawę lipicana. Potem poruszył łbem, lekko, z niemal uroczystą gracją, zdawałoby się świadom własnej urody. Uniósł przednią nogę i dwa razy miękko stuknął kopytem o ziemię. Z wolna, już całkiem zapatrzony w siebie, z łbem nieco pochylonym w stronę cienia, zaczął tańczyć. Był stary, zeszywniały i wyraźnie oszczędzał chorą nogę, lecz poruszał się w takt muzyki jak zawodowy tancerz.

Siedziałam sama na pustej łące i ze wzruszeniem obserwowałam pływające zwierzę. W ten sposób — pomyślałam — wszystkie stare cyrkowe konie reagują na melodię młodości. Raz wyuczone, pełne ukłonów, uroczyste figury tak zwanej wolnej tresury na zawsze zapadają im w pamięć.

Nagle zauważyłam, że taniec Srokacza nie ma nic wspólnego ze wspomnianą wolną tresurą. Nie naśladował żadnego z palomino. Oglądałam nieco chropawą, lecz bez wątpienia wierną wersję lipicana: najpierw hiszpański chód, potem trudny *piruette*, tak aby szybkim zwrotem stanąć bokiem do widzów, *ipiaffe*. Chory koń nie potrafił dreptać w miejscu z taką energią i siłą jak jego młodszy rywal, ale tlił się w nim jeszcze ogień dawnych nauk. Odległa muzyka nabrała innych tonów; lipican na arenie przeszedł do *levade*, pierwszego elementu akrobacji w powietrzu. A tu, na alpejskiej łące, przed jednoosobową widownią, stary Srokacz wbił zbolełe kopyta w ziemię, wygiął kark i ogon, uniósł przednie nogi i przyjął tę samą, iście królewską postawę.

Potem uznał, że na tym koniec. Opadł na cztery nogi, potrząsnął łbem, wetknął pysk w trawę i był znów tym samym, steranym życiem koniem, którego nieco wcześniej prowadziłam na popas.

ROZDZIAŁ X

To zaś jest cecha, którą artyści przydają koniom bogów i herosów.

Ksenofont: „Sztuka jeździectwa”

— Tim — powiedziałam. — Chyba nie masz zamiaru siedzieć na całym drugim przedstawieniu?

— Nie, chociaż chciałbym raz jeszcze zobaczyć Annalisę. Potrzebujesz mojej pomocy?

— Owszem i jeśli możesz, daruj sobie Annalisę. Mam zamiar ci coś pokazać. Nie będziesz żałował. Nie — dodałam szybko, widząc jego ukradkowe spojrzenie. — Nic z tych rzeczy. Coś całkiem prywatnego. Idziesz?

— Pewnie, że idę. Dokąd?

— Na wzgórze, na łąkę. Nie powiem ci nic więcej. Sam zobaczysz.

Było już ciemno, ale księżyc wschodził nad drzewa i górskie szczyty. W powietrzu panował bezruch; krążyło tylko parę nietoperzy. Srokacz wciąż skubał trawę.

— Och... przyprowadziłaś go aż tutaj — odezwał się Timothy. — Boże, wygląda na całkiem inne zwierzę. Ma prawdziwie koński apetyt.

— Tak, koń... ale... „Jak doskonały! Jak wielki przez rozum! Jak szlachetny postawą i w poruszeniach!... Ozdoba on i zaszczytem świata! Arcytypem wszech koni!”

— A to co takiego?

— „Hamlet” w stylu Noëla Cowarda. Podejdz tutaj. Trawa jest wilgotna, ale możemy przysiąc na belce.

— Co mi chcesz pokazać?

— Cierpliwości. Raz już się przydarzyło, więc mam nadzieję, że doczekamy bisów. Siadaj. Zauważyłeś, jak dobrze słyhać muzykę?

— Uhm. To do występów palomino... Koniec. Teraz klauni. O co chodzi, Vanesso? Strasznie się denerwujesz.

— To prawda. Poczekaj. Może nic nie nastąpi... Nie wiem. Może uległam złudzeniu... lecz jeśli nie, będziesz świadkiem pięknego wydarzenia.

Noc była wprost cudowna, powietrze przejrzyste. Motyle odleciały, a pszczoły spały cicho w swym piętrowym ulu. Wydawało mi się, że nad drzewami słyhać pisk nietoperzy. Szelest końskich kopyt po miękkiej ziemi, chrzęst trawy wrywanej mocnymi zębami... i księżyc, który właśnie wyszedł zza niskiej chmury, okalającej wierzchołek skały.

— Trąby — szepnęłam. — Nic nie mów. Ani słowa.

Początkowo myślałam, że nic się nie zdarzy. Srebrny dźwięk fanfar przebrzmiał wśród ciszy; koń nadal skubał trawę. Nad łąką, jak milcząca zjawą, w świetle księżyca mignęła sowa. Srokacz odprowadził ją wzrokiem. Trąby umilkły.

Potem popłynął walc z „Kawalera z różą”. Timothy siedział bez ruchu i posłusznie milczał.

Walc błędził wśród drzew: pięć taktów, sześć... zaczęło się. Srokacz uniósł głowę, wygiął kark, stuknął kopytem w trawę pięknym, aroganckim ruchem i raz jeszcze zaczął swój własny i uroczysty popis. W prawo, w lewo... aż spod kopyt trysnęły grudki ziemi. Blask księżyca zalewał łąkę, gasząc srebrem wszystkie inne barwy. W tle czerniały sosny. Kiedy Srokacz na koniec stanął we wspaniałym *levade*, przez pięć lub sześć długich sekund odcinał się na smolistej czerni, nie jak stara i schorowana szkapa, lecz jak prawdziwy ogier *haute école* z najstarszego rodu Europy.

Timothy nawet nie drgnął przez cały występ. Popatrzelismy sobie w oczy.

— Miałam rację? — spytałam.

Bez słowa skinął głową. Podejrzywałam, że był na równi ze mną poruszony niezwykłym pokazem, ale — jak każdy chłopiec — starał się tego nie okazać. Kiedy przemówił sztucznie spokojnym, zrównoważonym głosem, od razu wiedziałam, że się nie mylę.

— Biedaczysko... — mruknął.

— Kiedyś musiał być całkiem niezły.

— Bez wątpienia. — Zmienił ton, jakby się zastanawiał. — Czegoś tu nie rozumiem. Jeśli koń był szkolony, to z jakiej racji chcą go zastrzelić?

— Jest stary. Zdążyłam mu się dobrze przyjrzeć. Ma już ponad dwadzieścia lat.

— Ale nikt dotąd nie poruszał kwestii wieku! Wciąż słyszałem: „Nierób, nie ma z niego pożytku, cyrk nie może trzymać darmożjadów”. Przypominasz sobie, jak Annalisa mówiła, że nie dawał się trenować?

— Nic dziwnego, skoro był już wcześniej szkolony do zupełnie innych rzeczy.

— Zatem mogli go jakoś wykorzystać... albo sprzedać. Wart jest pokaźną sumę, nawet jako dwudziestolatek.

— A może o tym nie wiedzą? — podsunęłam.

Tim zerknął na mnie. W jasnym świetle księżycy widzieliśmy się całkiem wyraźnie.

— Nie wiedzą?

— Właśnie — odparłam. — Cytowałeś przed chwilą, co o nim mówią... a dziś wieczorem znów odniosłam wrażenie, że uważają moją pracę za niepotrzebną fatygę.

Opowiedziałam mu o rozmowie z Karłem.

Siedział chwilę ze wzrokiem wbitym w trawę.

— Dokąd to nas prowadzi? Rzecz jasna, trzeba im powiedzieć. Nikt nie zechce...

— Nie jestem tego taka pewna.

Gwałtownie uniósł głowę.

— Dlaczego?

— Pomyśl chwilę. Ten koń był własnością Franza Wagnera. Z opowiadania Annalisy wynika, że przed dziesięcioma laty Franz dołączył do nich prosto z końskiego targu gdzieś na północy i że miał ze sobą wierzchowca zabranego z czeskiego cyrku. Dlaczego nie zdradził, że koń jest szkolony i obdarzony niezwykłym talentem? Skoro miał takie zwierzę (i jeździł na nim dla przyjemności), mógłby przecież sporo zasobie. Chyba nie ma to nic wspólnego z dochodzeniem Lewisa, ale postać Franza Wagnera bez wątpienia stanowi część zagadki. W każdym razie, jest to „coś, co nie pasuje do ustalonych reguł”. Musimy lepiej poznać starego Franzla. Zaraz, zaraz... Przypominasz sobie, że zmienił nazwisko?

— Fakt. I nie chciał występować... przed widownią.

— A jeśli koń był naprawdę cenny i co więcej został skradziony z tamtego cyrku? — powiedziałam powoli. — Mam wrażenie, że stary pan Wagner, dziadek Annalisy, musiał wiedzieć niejedno. To on kazał przecież, by Franz przybrał nowe nazwisko. Podejrzewam, że w tajemnicy przed innymi... Zresztą to już nieważne. Dawne dzieje. Franz zginął, lecz jeśli rzeczywiście był złodziejem, mógł także skraść i inne rzeczy... Warto więc pójść tym tropem, choćby ze względu na Lewisa. Franz musiał nieźle narozrabiać, skoro resztę życia spędził w ukryciu. Nagle, tuż przed śmiercią, spotkał Paula Wagnera...

— Weis — nieoczekiwanie wtrącił Timothy. — Powiedziała „Weis”, prawda?

— Słucham?

— Annalisa wspomniała, że pierwszy raz zobaczyła Franza, kiedy cyrk stanął w pobliżu Weis, na północy, tuż przy granicy bawarskiej.

— Tak, to prawda. Mówiła też, że właśnie zbierali się do odjazdu... Przynajmniej tak mi się zdaje. Jeśli Franz był naprawdę zbiegiem, znalazł znakomitą kryjówkę. Targ koń-

ski, pełen zgiełku i zwierząt, cyrk, który jeszcze tej samej nocy przekroczył granicę... Jeden więcej stajenny nie robił różnicy...

— Do pięćdziesiątego piątego roku w Weis miała siedzibę Hiszpańska Szkoła Jazdy.

Uwaga była krótka i równie oczywista jak poprzednia, a jednak i tym razem nie zrozumiałam.

— Tak? Rzeczywiście. Annalisa mówiła, że zwiedzali stadninę. Ale co to...

Urwałam i zamarłam z otwartymi ustami. Nie pamiętam, kiedy wstaliśmy z pnia, nagle tylko spostrzegłam, że już nie siedzę i że patrzę w oczy stojącego przede mną Tima.

— Nie... Nieprawda — jęknęłam chrapliwie. — Niemożliwe. Byłaby awantura... policja...

— Była. — Tim mówił równie zdławionym głosem. — Czekaj... Słuchaj... Wszystko już sobie przypomniałem. Pamiętasz, jak opowiadałem ci w samolocie o stajennym, który zabił konia i sam popełnił samobójstwo? To nie tak. Stara anegdota, nie wiem, czy prawdziwa, bo nigdy jej nie publikowano i oczywiście nie znam żadnych nazwisk. Ale była jeszcze jedna historia, oficjalna i zamieszczona w którejś z moich książek. Pomyliłem ją z tamtą starą. — Wziął głęboki oddech. — Pokazałem ci zdjęcie Neapolitano Petry i powiedziałem, że mu podcięto gardło. Nieprawda. Zniknął latem, dziesięć lat temu, razem ze swoim opiekunem.

Zapadła cisza. Niczym dwie marionetki, ciągnięte za sznurki, odwróciliśmy głowy w stronę Srokacza, pasącego się grzecznie po drugiej stronie łąki.

— Łaty — odezwał się Timothy. — Jak je zrobił?

— Nie wiem... to nietrudne. Farba do włosów czy coś w tym rodzaju... — Popatrzyłam na niego. — Zgadza się!

— Niby co?

— Sierść... Zauważyłam to dopiero dzisiaj. Sierść ma ostrą i zmierzwioną, choć gorączka dawno opadła. Pewnie

musiałam pogładzić jedną z czarnych plam! Wiesz przecież, że włosy sztywnieją przy ciągłym farbowaniu. Trochę mnie to zdziwiło, ale nie miałam pewności... W nocy i tak nie można niczego sprawdzić, ale obejrzymy go w dziennym świetle! Tim... — urwałam. — Nie... Bzdury. Czysty nonsens. Nie wierzę!

— Ja też nie — odparł Timothy — chociaż wszystko się zgadza. Pomyśl tylko... złodziej mógł działać bez przeszkód. Czytałem, że w szkole w Weis panowały trudne warunki, a targ na pewno wywołał zamieszanie... Franz Wagner zabrał konia, przemałował go, a potem sam dołączył do cyrku stryja, który szczęśliwym trafem zabawił w okolicy. Może zrobił to nagle, korzystając z dogodnej okazji? A może był pijany? Kiedy pojął, co zaszło, nie miał odwagi się przyznać. Nie chciał też zrezygnować z konia; jeździł na nim potajemnie i nadal go szkolił.

— Ale dlaczego? Po co kradł, skoro nic na tym nie skorzystał?

— Podejrzewam, że z chęci zemsty — powoli odpowiedział Tim. — Tak przynajmniej wynikało z książki. Ów „konuszy” wstąpił do szkoły jazdy wprost z jakiegoś oddziału stacjonującego w Styrii. Jako młodszy *Bereiter*, jeździec, ciągle wszczynął kłótnie ze starszymi, bo myślał, że spiskują przeciwko niemu i że nie chcą dopuścić go do występów. Gdy wreszcie dano mu szansę, spił się jak bela i trafił przed oblicze szefa. Prawdę mówiąc, powinni go wyrzucić, ale w tamtych czasach wciąż brakowało rąk do pracy, a on całkiem nieźle radził sobie z końmi, rzecz jasna pod warunkiem, że był trzeźwy.

Znów zapadła cisza.

— Spił się jak bela... — powtórzyłam cicho. — Z oddziału stacjonującego w Styrii... Sądzę, że „czeski cyrk” był jedynie przykrywką. Wielkie nieba, wszystko się zgadza... Nie znasz nazwiska koniokrada?

— Nie, ale to akurat można łatwo ustalić.

— Tak... tak. Niech pomyślę...

— Jesteś zupełnie pewna, że nic nie wiedzą?

— Raczej nie — odparłam. — Nikt nie zająknął się ani słowem, kiedy przystępowałam do zabiegu... Nie możemy rzucać oskarżeń bez konkretnych dowodów, a szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Państwowy Rejestr Koni nie pomoże nam w ustaleniu nazwiska sprawcy, a rozmowa z policją ściągnie kłopoty na Herr Wagnera. Hmm... Chyba musimy mu powiedzieć...

— Sami sprawdzimy.

— Nie. Tego nam nie wolno. Żadnych pytań, choćby przez wzgląd na Lewisa. Już ci mówiłam, że tym razem Archie Goodwin idzie w odstawkę.

— Myślałem o czymś innym, o wiele prostszym. Możemy to ustalić tu i teraz. Prawdziwe lipicany, z Hiszpańskiej Szkoły Jazdy, są znakowane. Nigdy nie podobało mi się, że kaleczono tak piękne, białe zwierzęta, ale każdy z nich nosi trzy symbole. Duże „L” pod ganaszem, oczywiście znak lipicana. Wychowankom głównej stadniny wypalano koronę i „P”, jak Piber, a na boku skomplikowany wzór, w którym można było odnaleźć rodowód i inicjały rodziców. Nie jestem pewien, czy zdołam go odczytać, ale jeśli znajdziemy wszystkie trzy znaki, zyskamy potwierdzenie naszych domysłów.

— No więc, na co czekamy? — spytałam.

W blasku księżycy nasze cienie odcinały się długą czarną plamą na mokrej trawie. Srokacz stał w mroku, pod sosnami. Ciemne łaty na jego skórze zlewały się z tłem i tak deformowały sylwetkę, że w tej chwili nie przypominał konia, lecz ruchliwy strzęp ektoplazmy.

— Dobry Boże... — szepnęłam do Tima. — Chyba masz rację. Widzisz, jak są rozmieszczone łaty? Pod ganaszem, na żebrach, na boku... W tych właśnie miejscach, gdzie powinny być znaki. — Koń uniósł głowę na nasz widok. Chwyciłam za kantar. — Paskudny widok. Nie sądzisz...

Umilkłam. Koń lekko pchnął mnie pyskiem w pierś, a Tim

łagodnie powiódł ręką po czole zwierzęcia, za okiem, w dół policzka. Widziałam jego palce, białe w księżycowej poświacie, sunące po czarnej sierści. Zawahał się chwilę, po czym z wolna nakreślił duże „L”.

Milczał. Ja także. W ciszy opuścił rękę, przekazując mi inicjatywę. Łeb Srokacza był wilgotny w miejscach, gdzie dotknęła go mokra trawa. Pod palcami wyczułam zarys starego znaku. „L” jak lipican. Było też „P” z koroną, godło Pibru. A na żebrach złożony wzór, w którym wyczuwało się coś na kształt liter „N” i „P”.

Neapolitano Petra dmuchnął na mnie, pochylił głowę i zagarnął do pyska pęk zmoczonej rosą koniczyny.

Zostawiliśmy go tam, jak stał, i w milczeniu poszliśmy ścieżką wśród sosen.

Pod drzewami, gdzie nie docierał blask księżyca, było smoliście ciemno. Przez dłuższą chwilę żadne z nas nie powiedziało ani słowa.

— Więc... to on — bąknął w końcu Timothy.

— Przypomniała mi się papuga — odpowiedziałam.

— Papuga? Prawda. Wydawała francuskie komendy. Tradycja szkoły jazdy. Nauczyła się ich od Franzla.

— Tak? Nie wiedziałam. Chodziło mi o to, że w pewnej chwili zawołała „Peter”... Imię konia?

Stanęliśmy przed ogrodzeniem oddzielającym las od taboru. Timothy pchnął furtkę i parsknął nerwowym śmiechem.

— Wciąż odkrywamy nowe tajemnice. Myślisz, że to zaciekawi twójemu męża i PEC?

— Boże, nie mam pojęcia, ale nie mogę się doczekać, żeby o wszystkim mu opowiedzieć! Nie będę dzwonić; zrobiłam to już wcześniej i powiedzieli, że dzisiaj go nie zastanę. Wiem tylko, że wkrótce wróci, a wówczas pozbędziemy się kłopotów.

— Wielki finał — mruknął Timothy.

Drewniana furtka zgrzytnęła ironicznie.

ROZDZIAŁ XI

Zamek, przepaścią otoczony...

Browning: „De gustibus”

Przy wjeździe do Zechstein, dokąd trafiliśmy dzień później, towarzyszyło mi to samo uczucie co w Hohenwaldzie. Afisze na murach, tabor koczujący na skraju wioski, wielki namiot na tle zieleni oraz znajome twarze.

Wieś leżała w szerokiej dolinie, nad rzeką leniwie toczącą wody na południe. Dno doliny było w tym miejscu szerokie na półtora kilometra. Zbocza wznosiły się zrazu łagodnie, potem bardziej stromo, porośnięte mieszanym lasem dębów, leszczyn, buków i ostrokrzewów. Wyżej były już tylko jodły i srebrzyste, nagie skały. Rzeka błyszczącym łukiem omijała kamienną ostrogę sterczącą z podnóża góry. Wioska z pięknym kościołem, mostem, młynem i gęsto przesłoniętym pnączem sklepem winnym przycupnęła w skalnym załomie. Dopiero za zakrętem zobaczyliśmy zamek.

Na drugim brzegu rzeki na kształt tamy wznosiła się potężna skarpa. Zrąb, poszarpany i grzebieniasty niczym forteczne mury, górował nad jedwabiącą ciemną tonią. W stronę zbocza wiodła wąska grzędą gęsto porośnięta ciemnymi i urokliwymi sosnami, żywo kontrastującymi ze słodką zielenią łąk i połyskliwym błękitem nieba. A na najbardziej wysuniętej krawędzi cypla, jak wyjęty z dziecięcej

baśni, stał Schloss Zechstein, miniaturowy romantyczny zamek z basztami, wieżyczkami, murem obronnym, wąskimi strzelnicami i kolorowym godłem namalowanym wprost na ścianie. Był nawet most, wprawdzie nie zwodzony, lecz kamienny, prowadzący z lasu pod wrota, tam kędy wąska kaskada tryskała między głazy i białą strugą spływała po zboczu. W stronę zamku prowadziła niezbyt szeroka droga, odbiegająca w prawo od głównej szosy, mijająca jeszcze jeden mostek, dwa słupy z tarczami herbowymi i zygzakiem niknąca w gęstym zagajniku. Mimo groźnej, średniowiecznej scenerii, zamek ani trochę nie sprawiał ponurego wrażenia. Był uroczy — nie zabytek, lecz istic pańska siedziba rodu.

Kiedy nasze niewielkie auto uporało się ze stromizną i dotarliśmy na skraj grzędy, zobaczyłam, że kamienny most wcale nie jest tak delikatny, jak wydawało się z dołu. Była to ciężka, solidna konstrukcja szeroka na tyle, by pomieścić jeden samochód. Przejechaliśmy pod łukowatą bramą i stanęliśmy na kamiennym dziedzińcu.

Zamkowa sień na pierwszy rzut oka w niczym nie przypominała hotelowego holu. Kamienna posadzka, wykładane boazerią ściany i szerokie schody prowadzące na piętro. Wykończenie z sosnowego drewna. W kącie zielony piec, wygaszony ze względu na porę roku, a obok duży drewniany stół z księgą gości i paroma innymi przedmiotami. Lokaj w koszuli i sukiennym fartuchu wskazał, gdzie się mamy wpisać, zabrał bagaże i oznajmił, że pokoje znajdziemy na górze. Ruszyłam w stronę schodów, ale powstrzymał mnie, mówiąc uprzejmym, acz nie pozbawionym dumy tonem:

— Tędy, *gnädige Frau*. Mamy windę.

Na pewno zauważył moje zdziwienie. W takim miejscu jak to nie spodziewałam się nawet wodociągu, a co dopiero windy.

— Wszyscy tak reagują — powiedział z uśmiechem. — Założyliśmy ją niedawno. Prawdę mówiąc, dopiero w tym sezonie. Znakomite udogodnienie.

— Nie wątpię. Miła niespodzianka.

— Proszę tędy. Przejdziemy do tylnego skrzydła, w stronę kuchni, bo nasz pan nie życzył sobie psuć frontonu zamku. Nie chciał także ciąć dziur w suficie i boazerii.

Poprowadził nas mrocznym korytarzem o posadzce przykrytej zwykłą matą.

— Wasz pan?

— Hrabia i hrabina wciąż tu mieszkają — wyjaśnił. — Zamek od pokoleń był siedzibą rodu. Obecni właściciele zajmują tamto skrzydło.

Skinął głową w stronę, z której przyszliśmy, na pokoje po drugiej stronie sieni. Korytarze kuchenne wiodły do północnej części budowli; wynikało stąd, że hrabia zatrzymał południowe skrzydło, a resztę zamku, zwróconą w stronę wrót i mostu, przeznaczył dla gości.

— Sami zarządzają hotelem? — spytałam.

— Nie, proszę pani. Od tego jest kierownik, choć muszę przyznać, że hrabina interesuje się jego pracą. Oto i winda.

Stanęliśmy przed masywnymi drzwiami z sosnowej deski, zaopatrzonymi — jak wszędzie w Austrii — w ciężkie, żelazne okucia. Na kamiennym murze, pod jeszcze jedną sztabą żelaza, był elektryczny przycisk. Winda nadjechała bez szmeru. Najnowszy model: bez obsługi, za to z panelem świateł i przełączników, równie dla mnie skomplikowanych jak pulpit komputera. Czułam się z lekka ogłupiała, ale cicho, bezpiecznie i szybko — jak mi się wydawało w ciągu trzech sekund — wjechaliśmy na drugie piętro.

Mój pokój był przepiękny, położony pośrodku wschodniej części, co dawało cudowny widok na dolinę. Przylegała do niego jedna z maleńkich wieżyczek, przydających całej budowli zgoła baśniowego wyglądu. Wprawdzie główna część pomieszczenia miała kształt prostokąta, lecz w półkolistej niszy stały dwa miękkie fotele i sekretarzyk. Zobaczyłam także niewielkie drzwi, prowadzące zapewne na balkon lub — bardziej romantycznie — na blanki.

Ledwie się uporałam z bagażami, kiedy delikatne pukanie zapowiedziało wizytę Tima.

— Bomba miejsce, chociaż trochę mnie onieśmiela — wyznał. — Myślisz, że można poprosić o herbatę?

— Bez wątpienia, choć nie wiem, jak to zrobić. Zadać w róg czy zabębnić mieczem o tarczę? Nie, lepiej będzie, jak poszukasz długiego zdobionego sznura. Gdy za niego pociągniesz, setki mil stąd, w jakimś ponurym korytarzu zabrzmie głuche dzwonienie, a potem stary sługa wejdzie, szurając nogą...

— Przy łóżku jest telefon — sprowadził mnie na ziemię Timothy.

— Aaaa... rzeczywiście. Trudno. Proszę bardzo, zamów herbatę. Chcesz wypić ją tu, na górze? Mam ochotę zerknąć, co jest za tymi drzwiami.

Baszta była otwarta, a drzwi rzeczywiście prowadziły na blanki. Wąski gzyms łączył mój pokój z odległą o czterdzieści metrów wieżą na południowo-wschodniej ścianie zamku. Przejście wiodło wzdłuż wschodnich murów, tuż nad skałą pionowo opadającą do rzeki, dalej stromym fragmentem dachu i kończyło się wąską spiralą schodów biegnących w górę, prawdopodobnie na zębaty szczyt wieży. Moja baszta dźwigała dach przypominający kapelusz czarownicy, a na samym wierzchołku miała wiatrowskaz w kształcie lecącego smoka. Dach i przyczółki kryte były czerwoną dachówką, mury obłożone miodowym piaskowcem, a na każdej wieży lśniła kropelka złota — tu glob, tam łabędź, no i ów smok nad moją głową. Oparłam się o wykusz: kamień był gorący od słońca. Chłodny wiatr musnął mi policzki, a z dołu dobiegał głęboki pomruk rzeki.

— Zaraz będzie herbata — rozległ się za mną głos Tima. — O kurczę, ale panorama! Widać stąd wioskę?

— Nie, ledwie parę zagród na samym skraju. Tabor stanął gdzieś tam, przy tej białej chacie wśród sosen. Przejeżdżaliśmy obok.

- Jak to daleko?
- W prostej linii półtora kilometra, ale szosą Bóg wie ile... Cudowne miejsce.
- Nie mogliśmy trafić lepiej. Mąż ci polecił?
- Też pytanie...
- Jasne. — Tim błysnął zębami w uśmiechu. — Koneser. Kiedy się go spodziewasz?
- Nie wiem. Jak zadzwoniłam, nie chcieli mi nic powiedzieć. Będzie kiepsko, jeśli mimo obietnic dziś się nie zjawi. Mam nadzieję, że zdąży przed wyjazdem cyrku. — Nie dodałam, że w głębi duszy modłę się o jego szybki powrót. Nie wiem czemu, ale myśl, że zechce pognać w ślad za taborem do Jugosławii, napawała mnie absurdalnym, a jednak silnym lękiem. — Spróbuję jeszcze raz — zdecydowałam. — Może chociaż się dowiem, czy wyjechał.
- Przynajmniej nie będę musiał udawać, że go nie znam. To stresujące.
- Ciekawe dla kogo — odparłam oschle. — Przy ostatnim spotkaniu świetnie się bawiliście moim kosztem.
- Prawdę mówiąc, inicjatywa należała do niego.
- Może masz rację.
- Jaki następny ruch? Rzecz jasna, po herbacie. Idziemy do cyrku? — Popatrzył na zegarek. — Mamy mnóstwo czasu, dopiero trzecia. Pogadamy z nimi przed pierwszym występem.
- W drodze z Hohenwaldu przedyskutowaliśmy sprawę Srokacza i podjęliśmy jedyną rozsądną decyzję: Herr Wagner i Annalisa powinni wiedzieć o naszym odkryciu. I to bez konsultacji z Lewisem.
- (Franz Wagner nie żyje — tłumaczył Timothy — a to on był przestępcą, nie oni. Rankiem cyrk jedzie do Jugosławii, potem na Węgry, więc jeśli chcemy, by koń wrócił, musimy działać już dzisiaj).
- Tak — potwierdziłam. — Przed czwartą dotrzemy na dół. Zaraz... chyba ktoś puka. Pewnie pokojówka z herbatą. Wpuść ją, dobrze?

W drzwiach pojawił się znajomy lokaj. Dźwigał ogromną tacę ze starą srebrną zastawą i dreздеńskim talerzem, na którym spoczywały nieco wyschnięte biszkopty.

W ślad za Timem podążyłam do pokoju.

— Dziękuję bardzo. Proszę postawić tutaj, na biurku. Dzięki. Nikt inny dziś nie pracuje?

Lokaj z uśmiechem odstawił tacę.

— Na to wygląda, proszę pani, choć muszę stwierdzić, że należał się nam mały urlop. Dziś rano wyjechała spora grupa Amerykanów i zostaliśmy praktycznie sami. Reszta służby ma wolne. Chcieli zobaczyć cyrk, który stanął w wiosce.

— Całkiem niezły — zapewnił go Timothy. — Byliśmy na przedstawieniu w Hohenwaldzie.

— Tak pan mówi? Mam bilet na piątą, a potem wrócę, żeby zwolnić innych. Niektórzy chcieliby spędzić noc w domu.

Odwrociłam głowę na cichy okrzyk Tima. Chłopak stał przy oknie i spoglądał na północ.

— A to co takiego? Tam, nad drzewami, gęste kłęby dymu. Pożar lasu?

Zerknęłam mu nad ramieniem. Rzeczywiście, w głębi doliny, po przeciwnej stronie niż wioska, buchał w niebo smolisty słup dymu.

— Tam nie ma żadnych domów — stwierdziłam. — Więc co? Naprawdę pożar lasu?... — Z niepokojem spojrzałam na lokaja.

— Na imię mam Josef, proszę pani. Nie, to nie pożar. Nazywamy to *die Feuerwehr*, ogniowóz.

— Ogniowóz?

— Nosi różne nazwy. *Der Flugzug*, Latający Pociąg... Niektórzy mówią także *Der Feurige Elias*, Ogniasty Elias, bo tak nazywa się podobne urządzenie w Salzkammergut. To niewielka kolejka górską.

— Pociąg? Prawdziwy pociąg? — dopytywał się Timothy. — Tak wysoko? Przecież to dobre kilkaset metrów!

— Wysoko, owszem. Ale to górski pociąg... nie znam angielskiej nazwy. Teraz buduje się kolej linową lub wyciąg krzeselkowy, ale dawniej, jakieś sto lat temu, jazda na szczyt wyglądała zgoła inaczej. Pociąg ma małe koło, które go trzyma... Tryb. Dobrze mówię?

— I zębatkę — dodał Timothy. — Wagony suną po specjalnie skonstruowanej szynie. Nazywamy to koleją zębatą.

Josef pokiwał głową.

— Kolej zębatą. Właśnie. Przypomniałem sobie. Cieszy się dużym wzięciem, bo — roześmiał się — j e s t stara. Amerykanie ją uwielbiają. Pierwszą stację zbudowano dość daleko, może pięć albo sześć kilometrów w głąb doliny. Są tam dwa hoteliki nad małym jeziorem. Raj dla turystów, Zweibrunn Am See. Każdego lata zjeżdża tłum gości.

— Dokąd dochodzi kolej? Na szczyt? — spytałam.

— Tak, na sam szczyt. — Wskazał ręką. — Z tej strony go nie widać, za to z pańskiego pokoju... — Zerknął na Tima. — Szlak mija te dwa wzgórza i biegnie na najwyższy wierzchołek okolicy. Tam jest niewielki *Gasthaus*, gdzie można zjeść i odpocząć. Cudowna panorama. Za górami widać Jugosławię i Węgry. Jeśli chce pani spędzić tu parę dni, polecam tę wycieczkę. Najlepiej wyruszyć rano; pierwszy pociąg odchodzi o siódmej.

— Dobry pomysł, choć wątpię, bym wstała przed siódmą. Dziękuję, Josefie.

— Czy to wszystko, proszę pani?

— Tak. Och... nie, jeszcze jedno. Nie nadeszła wiadomość od mego męża, Lewisa Marcha?

— Nie odbierałem dziś żadnej poczty i nic nie ma w skrytce, proszę pani.

— Rozumiem. Dziękuję.

Josef wyszedł i zamknął drzwi. Zauważyłam, że Timothy zbolałym wzrokiem wpatruje się w tacę.

— To nazywają herbatą?

— Na miłość boską, dopiero minęła trzecia. Nie chcesz mi chyba wmówić, że już jesteś głodny po tym olbrzymim lunchu?

— To było wieki temu. Myślisz, że sobie poszedł? Może skoczę na chwilę do pokoju i przyniosę jakieś zapasy? Dzięki Bogu, że pamiętałem o zakupach. Nie będziesz przecież protestować, kiedy cię poczęstuję kęsem *Gugelhupf*!

— Na pewno nie. A gdzie twój pokój? Tuż obok?

— Nie, po przeciwnej stronie, nieco z boku. Nie jest tak okazały jak twój, a okna wychodzą na dziedziniec, ale mi się podoba. Widać szczyty. I co, droga wolna?

Ostrożnie przymknął za sobą drzwi. Opadłam na fotel i wypilałam łyk herbaty.

Hol był pusty. Ku zaskoczeniu Tima zrezygnowałam z windy i zeszłam na dół szerokimi schodami. Trudy wyprawy rekompensował mi wspaniały widok gór, jaki rozciągał się z każdego piętra. Timothy poszedł już do auta, a ja, zamiast pospieszyć za nim, skręciłam w mroczny korytarz, wiodący do kuchni.

Dotarłam do drzwi windy, nigdzie nie napotkawszy lokaja w sukiennym fartuchu. Wszystko pozamykane, cisza, spokój. Żywego ducha. Doszłam aż do zakrętu, zawahałam się, chciałam zawrócić, ale w tej samej chwili posłyszałam skrzyp otwieranych drzwi. Na korytarzu pojawił się starszy człowiek. Chyba spostrzegł moje wahanie, gdyż podszedł bliżej.

— Dzień dobry. Mogę w czymś pani pomóc? — powiedział łagodnym głosem, lekko akcentowaną angielszczyzną.

Miał pociągłą twarz, dość długie, siwe włosy i nieco zgarbione plecy. Nosił tweedową marynarkę o podejrzenie staroświeckim kroju.

— Och... — zająknęłam się. — Dziękuję, nie zamierzałam przeszkadzać. Wiem, że reszta służby ma wolne. Chciałam tylko zostawić wiadomość dla Josefa... Tego, który zabrał bagaże.

— Obawiam się, że jest teraz w innej części zamku. Ale chodźmy, zaraz go pani przyślę. — Gdy ruszyliśmy z powrotem do holu, dodał: — Wezwała go moja żona. Nie sądzę, by zabawił u niej zbyt długo.

To sprawiło, że domyśliłam się, z kim rozmawiam.

— Przepraszam, ale pan jest... właśnie...

Znów umilkłam, nie bardzo wiedząc, jak się zwracać do austriackiego arystokraty. Ów zaś pochylił głowę w lekkim ukłonie.

— Graf Zechstein, do usług.

Weszliśmy do holu. Hrabia chciał iść dalej, w stronę suto rzeźbionych drzwi z wykonanym gotykiem napisem „Prywatne”, ale go zatrzymałam.

— Prawdę mówiąc... Jeśli ma pan choć chwilę czasu... to właśnie chciałam rozmawiać z panem. Josef miał być tylko posłańcem.

— Proszę bardzo. Czym mogę służyć?

— To dłuższa historia... — zaczęłam niepewnie. — Chętnie ją panu opowiem, ale przede wszystkim chcę spytać, czy jest w zamku stajnia lub jakieś inne dobre miejsce dla konia? Na noc lub dwie... A może łąka? Widzi pan... mam... wierzchowca i muszę go gdzieś przemocować. Choćby tylko dzisiaj. Można? — zakończyłam tonem pełnym niepewności.

Hrabia nie okazał najmniejszego zdziwienia.

— Oczywiście. Są stajnie. Może z nich pani korzystać, jak długo pani zechce. Miejsca na pewno starczy. Proszę tylko powiadomić Josefa. Łąkę też mamy, a w lesie są polany ze świeżą trawą. Josef pokaże pani drogę. Zawiadomię go, co ma robić.

Otworzyłam usta, by coś dodać, ale nagle dotarło do mnie, że graf Zechstein ani nie oczekuje, ani nie żąda wyjaśnień. Albo się nie przejmował ekstrawagancją gości, albo nadal pamiętał czasy, kiedy wszyscy jeździli konno. Może zresztą nie zajmowały go podobne błahostki. To zadanie Josefa — j a k wszystko inne. Hrabia z uśmiechem skinął mi

głową, wysłuchał moich podziękowań i odszedł. Pobiegłam do Tima, czekającego w samochodzie.

— Wybacz, że to tyle trwało, lecz musiałam spytać, czy będziemy mogli gdzieś przechować Srokacza. Rozmawiałam z hrabią; zgodził się. Mamy stajnię i swobodny dostęp do łąki. Nawet nie był zdziwiony. Raczej wyglądało na to, że woli, jak goście zajeżdżają powozem albo poszóstną karetą. I tak wszystko spada na biednego Josefa. Ciekawe, czy w ogóle zdoła się wyrwać do cyrku? Poprowadzisz?

— Jazda pod górę to jedno — odparł Timothy — a w dół drugie. Zwłaszcza po tej wąskiej drodze. Twoja kolej, nie jestem samolubem. A jak sądzisz, że ktoś kiedyś wjechał tu poszóstną karetą, to masz więcej wyobraźni ode mnie.

— Coś mi przyszło do głowy... — zamruczałam. — Jeśli nadal zamierzasz podjąć pracę w Hiszpańskiej Szkole Jazdy, nigdy nie znajdziesz lepszych referencji, jak powrót z dawno zaginionym ogierem.

— Już o tym pomyślałem — odparł z tajemniczym uśmiechem.

— Aż tak poważnie podchodzisz do sprawy? Świetnie. Zatem w drogę. Jak myślisz, mieli kiedyś w zamkowych stajniach autentycznego lipicana?

— Akrobacje w powietrzu — bąknął, gdy nasze małe autko zaczęło sunąć po wąskim moście. — Założę się, że wielki Neapolitano Petra nigdy w życiu nie zaszedł tak wysoko. Ciekawe, jak tu trafi?

— Jesteś młody i silny — odpowiedziałam wesoło. — Poprowadzisz go. Mimo najszczerzych chęci nie mogę go dosiąść. Za wcześniej po zabiegu.

— Wiedziałem, że coś na mnie spadnie — odparł Tim. — Zwłaszcza odkąd stwierdziłaś, że przyda ci się moja pomoc. To zawsze się tak kończy. Dobrze chociaż, że do herbaty zjadłem *Gugelhupf*.

ROZDZIAŁ XII

*A kiedy wróg obnaży miecz,
Tarantara, tarantara!
Odwaga precz,
Tarantara.*

W. S. Gilbert: „Piraci z Penzance”

— I co mamy teraz zrobić? — spytała Annalisa.

Do pierwszego występu zostało niecałe pół godziny. Siedzieliśmy w jej wozie: Timothy, ja i Herr Wagner, w pełnym rynsztunku, błądy, spocony i mocno zdenerwowany. Dziewczyna miała już na sobie strój kowbojki do pierwszego numeru, a teraz błyskawicznie nakładała makijaż. Kiedy skończyłam mówić, Herr Wagner, ku mojemu zdziwieniu, przytaknął od razu.

— Wierzę — wykrztusił. — Wierzę. Nawet nie muszę oglądać znaków... Nie, nie nie wiedziałem, nawet nie przypuszczałem, ale... czułem. O, tutaj. — Walnął się dłonią w szeroką pierś. — Nie powiem, żebym kiedykolwiek myślał o koniu Franzla... Po co? Nie jestem wścibski. Nie pytam, gdzie kto bywał i co robił. Gdyby wciąż żyła moja żona, to co innego... Ale ja... ja się nie wtrącam.

Urwał, zgarbił się, chwilę spoglądał na blat stołu, po czym uniósł wzrok i z wolna skinął głową, choć żadne z nas nie powiedziało ani słowa.

— Ojciec? Tak, pewnie wiedział. I co miał robić? Troszczył się o rodzinę, nie o prawo. Co miał robić, powtarzam? Franzl był jego siostrzeńcem, synem siostry, i ktoś musiał

się nim zająć. Za kradzież konia groziła surowa kara... Szkolony ogier był bezcenny, a poza tym, stanowił własność państwa... — Rozprostował ramiona. — Powiem prawdę. Nie wiedziałem do dzisiaj, że Franzi wstąpił do *Spanische Reitschule*... Nie widzieliśmy się całe lata. Sądziłem, że po prostu ćwiczył w oddziałach kawalerii w Wiener Neustadt. Często wspominał tamte czasy. Cyrk to szczególne miejsce: ludzie przychodzą, zostają chwilę i odchodzą. Jeśli mówią o sobie, wolno słuchać... ale lepiej o nic nie pytać. Teraz jesteśmy cyrkowcami, inne sprawy pochłaniają nasz czas, życie i... jak to ująć?... całą siłę. Powiada się: „Żyj i pozwól żyć innym”. Tak jest w cyrku. — Wytarł czoło ogromną czerwoną chustką. — Rozumiecie?

Zapewniliśmy go, że tak. Przyjął to z wyraźną ulgą i ukradkiem zerknął na zegarek. Wiedziałam, że myślami jest już przy cyrku (ale nie przy występach, lecz raczej na przejściu granicznym) i ciekawi go tylko, co zamierzamy zrobić.

— Pozostaje nam jedno — oznajmił. — Czas postępować szczerze i bez wahania. Koń musi trafić tam, gdzie jego właściwe miejsce. — Łypnął na mnie brązowym okiem. — Jestem człowiekiem interesu, *gnädige Frau*, ale nie brak mi uczciwości i właśnie za to dziękuję dobremu Bogu. Koń Franzla nie przedstawia żadnej wartości dla cyrku. Wniosek stąd — wygładził surdut — wniosek jak najbardziej słuszny, że bez względu na wynik powinienem zdać sprawę dyrekcji stadniny i zwrócić zwierzę. Zwłaszcza teraz, kiedy nikomu z moich ludzi nie grożą żadne przykrości. Mam rację?

— Jak najbardziej.

— Nie wytykaj głowy — wtrąciła papuga.

Herr Wagner znów popatrzył na zegarek.

— Zna jednak pani moją sytuację. Jutro przekraczamy granicę i nie wrócimy prędzej niż zimą, aby jak zwykle do wiosny osiąść koło Innsbrucka. Mimo najszczerzych chęci nie bardzo wiem, co począć.

Także spojrzałam na zegarek. Za dwadzieścia piąta. Zna-

łam już reakcję Wagnerów, więc postanowiłam zakończyć rozmowę.

— Jeśli zechce pan nam zaufać i zostawi konia pod naszą opieką, z przyjemnością dokonam niezbędnych formalności.

Trzeba przyznać, że Herr Wagner znakomicie odegrał swą rolę. Z radosnym zaskoczeniem przyjął moje słowa, zaprotestował, przeproszał, dał się przekonać... „Ależ naprawdę... Po co tyle fatygi... Koń nie mógł trafić w lepsze ręce... i jestem pewien, że *Herr Direktor* stadniny z przyjemnością udzieli państwu wszelkiej możliwej pomocy...”

W końcu, wśród wzajemnych umizgów, dobrnęliśmy do szczęśliwego końca. Nawet papuga miała w tym swój udział, choć jej uwagi nie zawsze pasowały do treści rozmowy. Jedynie Annalisa siedziała w milczeniu.

— Jeszcze drobiazg... — powiedział Herr Wagner. — To wyjątkowo cenne zwierzę, lecz po kradzieży jego wartość wyraźnie spadła. Choć ani ja, ani nikt z pracowników nie ponosi za to najmniejszej winy, będą pytania, nieprzyjemności... może i dochodzenie. Gdyby tak się stało...

— Proszę się nie obawiać — odparłam. — Nikt z nas nie szuka kłopotów. Najważniejsze, że do dzisiaj nie wiedzieliście o niczym.

— Właśnie — dodał Timothy.

Annalisa w milczeniu przysłuchiwała się moim słowom. Jej pokryte jasnym pudrem policzki dziwnie kontrastowały ze smutnym wyrazem oczu.

— Ja wiedziałam — odezwała się niemal szeptem.

Herr Wagner gwałtownie odwrócił głowę.

— Wiedziałaś?!

— Od dwóch dni — przytaknęła.

— Od dwóch dni? Więc nie Franzl...

— Nie, skądże. Wszystko zaczęło się od zabiegu, w niedzielę w nocy. Vanessa poprosiła o narzędzia... a potem... kiedy je myłam... znalazłam to.

Wyciągnęła spod ławki skrzynkę, otworzyła ją i sięgnęła

do najniższej szuflady, gdzie najczęściej przechowywano papiery: recepty, formularze, opisy nowych leków i tak dalej. Pod spodem był plik wycinków prasowych. Nie potrafiłam ich odczytać, ale zauważyłam imię „Neapolitano Petra” i zdjęcia przedstawiające w różnych pozach wspaniałego ogiera. Tim wyjaśnił mi później, że był to zbiór relacji opisujących kradzież konia. Annalisa rzuciła je na stół gestem człowieka, który nie ma nic do ukrycia, i z niepokojem czekała na nasz wyrok.

— A to na koniec... — szepnęła, dokładając skrawek papieru.

Była to fotografia, żółkła i postrzępiona na brzegach, na której widniał biały rumak w drzwiach stajni, a obok niego człowiek w mundurze Hiszpańskiej Szkoły Jazdy.

Herr Wagner wyciągnął rękę po zdjęcie, a Annalisa położyła na stole swoją ostatnią zdobycz: brunatną tubę z napisem „Koloston”. Widziałam ją już wcześniej, w czasie operowania Srokacza.

— Co to? — spytałam. — Myślałam, że „Koloston” to niemiecka nazwajakiejś maści. Nie mów... Farba do włosów?

Tępo skinęła głową, po czym popatrzyła na ojca.

— *Papa...*

Nie zwracał na nią uwagi. Z bólem i rozrzewnieniem spoglądał na wycinki.

— Franzl... — mruknął. — Więc to prawda... Przez tyle lat... Biedaczysko.

— Czym się martwisz? — spytałam Annalisę. — Przecież już po wszystkim. Zaświadczymy, że nic nie wiedziałaś do dzisiejszej rozmowy z nami. Co mogłaś zdziałać przez ostatnie czterdzieści osiem godzin?

— Wiem, ale... — Machnęła dłonią w stronę papierów. — Nie to mnie martwi. — Znowu zerknęła na ojca. Oczy miała pełne łez. — Wujek Franzl... przed śmiercią chciał wszystko wyznać. Teraz, kiedy to przeczytałam, zrozumiałam wreszcie, o czym naprawdę mówił. O koniu. W końcu powtarzał jego imię i mamrotał „lipican”... Myślałam,

że mu chodzi o Maestoso Ledę. Że chce wiedzieć, czy ogier nie ucierpiał w ogniu. Słyszałam tylko pojedyncze słowa... o Wiedniu, o lipicanie, o siodle... Chciał, żebyśmy zabrali Neapolitano Petrę do Wiednia, wraz z całym rzędem. Wykrztusił „*Neapolitano Petras Sattel*”, a my sądziliśmy, że mówi o jakimś „neapolitańskim siodle”, którego nawet nie było w taborze. Chodziło mu o siodło, które teraz nosi Maestoso Leda. — Łza zawisła srebrem na długich, malowanych rżęsach. — Niczego nie rozumiałam, a on pragnął... pragnął jedynie... — zająknęła się.

— Zadośćuczynienia — podsunęłam.

Herr Wagner poklepał córkę po dłoni.

— Nie zadręczaj się, Liesl. Zrobimy to za niego.

Dodał coś cicho po niemiecku — coś, co sprawiło, że dziewczyna skinęła głową i otarła oczy — a potem spojrzął na zegarek.

— Muszę iść — stwierdził rześkim głosem. — Jeśli państwo chcą zostać i porozmawiać po występie...

— Nie ma potrzeby. — Pokręciłam głową. — Wyjaśniliśmy chyba wszystko. Zabieramy konia, a o resztę będziemy się martwić w razie potrzeby. Kłopot w tym, co się stanie, jeśli stadnina nie zechce go przyjąć?

— Ja go wezmę — wyrwał się Timothy.

— A jak nie dostaniesz pracy? Zapakujesz go w skrzynię i wyślesz do Anglii? Co na to twoja matka?

Wyszczrzył zęby i zrobił znaczącą minę. Chciał w ten sposób pokazać, że przez ostatnie parę dni już na dobre zapomniał o maminy fartusku.

Herr Wagner wstał.

— Przyjmą go. Bez obawy. Ich ogiery dożywają trzydziestki, a w pamięci ludzkiej są nieśmiertelne. Trafą do boksu z własnym imieniem i żłobem pełnym świeżej paszy. Czas na mnie. Pozostaje sprawa opłat. Wzięła pani na siebie nielichy kłopot i na pewno nie obędzie się bez wydatków. Nie pozwolę, żeby płaciła pani z własnej kieszeni. To moja

sprawa. W grę wchodzi transport stąd do Kotlach, potem do Pibru i tak dalej. Proszę dostarczyć mi rachunki.

Chciałam coś powiedzieć, ale uciszył mnie prędkim, kategorycznym ruchem ręki.

— Niech mi pani pozwoli choć na to. Zdejmę część brzemienia z biednego Franzla.

— Dobrze — odparłam. — Załatwione.

Wyjął wizytówkę z wewnętrznej kieszeni surduta.

— Oto mój adres. Najbardziej stały, jaki mam. Zimowa kwatera pod Innsbruckiem. Zrewanżuje się pani swoim? W kwestii wynagrodzenia za zabieg oraz profesjonalną opiekę nad...

Na to nie mogłam pozwolić, zresztą Herr Wagner nie nalegał, podziękował raz jeszcze, skłonił się z kurtuazją, uśmiechnął z ulgą i wyszedł.

Annalisa towarzyszyła nam do stajni. Rudi trzymał już pod siodłem paskudnego taranta z „rodeo”, a Elemer krzątał się przy białym ogierze.

Dziewczyna zaszwargotała coś w obłądnym tempie. Z największego namiotu dobiegała głośna muzyka, koło nas przemknął na arenę tabun koni, a stary Srokacz zarzucił łbem i parsknął głośno na mój widok. Podeszliśmy do zagrody.

— Powiedziałam im... — wyjaśniła Annalisa. — Nie wszystko, tylko tyle, że zabierasz konia. Elemer pomoże ci... Och! — Zakryła dłonią usta.

— Co się stało?

— Siodło! Zapomniałam o siodle... Musisz je wziąć. — Zerknęła na stajennych. — Elemer, Rudi...

— Zaczekaj — wtrąciłam szybko. — Przecież na nim jeździsz. Zostaw je. Jeśli chcesz, wezmę inne, ale na pewno nikt ze stadniny nie będzie pytał o taki drobiazg.

Nie usłuchała. Uznała pewnie, że cyrk Wagnera musi w pełni odpokutować winę. Znów zagadała po niemiecku do Elemera. Timothy przeszedł na drugą stronę stajni, żeby pomóc karłowi zdjąć błyszczące siodło z grzbietu lipicana.

— Może się przecież zdarzyć, że zechcesz go osiąść — wyjaśniła Annalisa. — Niech więc chodzi we własnym rzędzie. Ale te wszystkie świecidełka... Gdybym miała czas je usunąć...

— Prawda — roześmiałam się. — Takich siodel nie używają raczej w Hiszpańskiej Szkole Jazdy! Nie martw się, sama je odpruję. Jeśli chcesz dostać je z powrotem, powiedz, gdzie ci odesłać. Na adres w Innsbrucku?

Pokręciła głową.

— Po co? To zwykłe szkiełka i cekiny. Zrób z nimi, co uważasz za stosowne. Niektóre wyglądają ładnie, możesz... — Rudi wtrącił coś po niemiecku, więc dodała szybko: — Grają. Muszę pędzić. Do widzenia... i bardzo dziękuję. Bóg z wami.

Pochyliła się nagle, lekka jak puch z dmuchawca, i pocałowała Tima wprost w usta. Potem, z pomocą Rudiego, wsunęła nogę w strzemień, zadzwięczały janczary, zadudniły kopyta i tarant pomknął w stronę kotary zakrywającej wejście do głównego namiotu.

Timothy, objuczony siodłem, patrzył w ślad za dziewczyną. Elemer zamruczał cicho, Rudi uśmiechnął się i odszedł. Karzeł przyczłapał do nas.

— Posłałem go po ogłowie. Jak zabierzecie konia?

— Tim poprowadzi go szosą, a ja przygotuję stajnię — odparłam. — Nocujemy w zamku. Siodło wrzucę do samochodu.

— Czeka panią niezła robota przy zdejmowaniu tych ozdóbek.

— Chyba nie... Zrobię to dzisiaj w nocy. Na pewno nie są wam potrzebne? Parę jest bardzo ładnych... Choćby ta: świetnie pasuje do sukni. Sztuczny kamień, ale pięknie obramowany złotem i cóż z tego, że nieprawdziwy? Kto, oprócz arcyksiężnej, nosiłby szafir tej wielkości? — Dotknęłam dużej broszki luźno przyszytej do łęku. Błysnęła w świetle lampy.

— Więc niech go pani włoży. Będzie dobry. I tak zaraz odpadnie.

Zanim zdążyłam zaprotestować, karzeł wyciągnął nóż, odciął „klejnot” od siodła i wręczył mi go z ukłonem, który mimo całej nieporadności nie miał w sobie nic śmiesznego.

— Proszę go nosić i pamiętać o nas, *gnädige Frau*. Piękna rzecz, chociaż błędnie przy pani oczach. Chciałbym, żeby był prawdziwy. O... jest ogłowie. Rudi zaniesie siodło do samochodu. *Auf Wiedersehen, mein Herr* — pożegnał Tima, po czym złożył szarmancki pocałunek na mojej dłoni. — *Küss die Hand, gnädige Frau*.

Odszedł. Niezgrabna mała postać w czerwonym kostiumie, komicznie trzepoczącym wokół łydek.

Obejrzałam nogę Srokacza. Nie było przeszkód, żeby odbył wraz z Timem parokilometrowy spacer do zamku. Napomknęłam z uśmiechem, że nieco ćwiczeń dobrze zrobi im obu.

— Jadę. Zajrzyj do mnie, jak tylko dotrzesz. Zostajesz na przedstawieniu?

— Chyba nie. Coś mi mówi, że... to najważniejszy moment do rozstania — odparł rozsądnie.

Podziwiałam go za to, że zachował trzeźwość umysłu po pierwszym pocałunku.

— W takim razie... *auf Wiedersehen*. Uważaj na naszego konia.

Zaparkowałam otwarte auto tuż za furtką. Po powrocie stwierdziłam, że Rudi złożył siodło na tylnym siedzeniu i zniknął gdzieś, zajęty pewnie własną pracą. Gromki aplauz towarzyszył występom klaunów. Wkrótce zabrzmiały fanfary — pomyślałam — i na arenę wbiegnie biały ogier... dziś strojny tylko w połowę klejnotów.

Wsiadłam do samochodu i machinalnie sięgnęłam po kluczyk, lecz moja ręka trafiła w próżnię. Zostawiłam torebkę w wozie Annalisy. Wściekła, że muszę wracać — chciałam wiedzieć, czy Lewis już jest w zamku — trzasnęłam drzwiami auta i popędziłam w stronę cyrku.

Torebka była tam, gdzie ją położyłam: na ławce pod

klatką. Papuga jadła właśnie kawałek pomidora, lecz na mój widok przekrzywiła głowę i rzuciła jakieś niemieckie przekleństwo.

— Wypchaj się, koleś — mruknęłam, wzięłam torebkę i zbiegłam po schodkach.

Zderzyłam się z Balogiem. Nie wiedziałam, czy po prostu przechodził, czy chciał wejść do wozu, dość, że z trudem utrzymałam się na nogach. Przytrzymał mnie. Był bardzo silny. Pamiętam, że krzyknęłam — nie tyle z zaskoczenia, ile z bólu.

Zamruczał coś i zabrał ręce.

Wykrztusiłam jakieś przeprosiny, ale nie dał mi skończyć.

— Co tu robisz? — zapytał obcesowo.

Popatrzyłam na niego ze zdziwieniem.

— To znaczy?

Skinął głową w kierunku wozu.

— Nie ma jej tam. Jest na arenie. Czego szukasz? — Zerknął na moją torebkę.

— A jak myślisz? — spytałam chłodno. — Kradnę?

— Rozmawiałaś z kimś.

— Tak. Z nim. — Teraz ja wskazałam głową na wóz.

Zmrużył czarne oczy, rzucił mi podejrzliwe spojrzenie, potem zajrzał do jasno oświetlonego wnętrza. Był w pełni gotów do występu. Na czarny trykot, zapierający dech w piersiach w blasku reflektorów, narzucił długą pelerynę, która nadawała mu dumny, iście diabelski wygląd.

Z lekka stropiony odwrócił głowę. Domyśliłam się, że zrozumiał pomyłkę, ale nie miał ochoty przeproszać.

— Chodzi pani o tego cholernego ptaka?

— A o co?

— Wypchaj się, koleś — skrzeknęła papuga i cisnęła kawałkiem pomidora prosto w framugę drzwi. Lepka struga pociekła po drewnie.

Węgier otworzył usta, ale nic nie powiedział. Zachowując pozory spokoju, wycofał się poza zasięg strzałów ptaka.

Z trudem powstrzymywałam się od śmiechu. Gdyby tabor nie ruszał rano za granicę, z najlepszymi pozdrowieniami przesłałabym papudze skrzynkę pomidorów.

— Przykro mi — po dłuższej chwili wycedził Sandor Balog. Przeprosiny brzmiały o wiele gorzej niż gniewne pomruki. — W pierwszej chwili nie poznałem pani. Jest pani... inaczej ubrana. Kręci się tu wielu obcych... — urwał i wzruszył potężnymi ramionami. — Chłopiec też przyszedł?

— Tak. Pewnie jest w stajni.

Nie widziałam potrzeby, aby wyjaśniać mu prawdziwy powód naszej wizyty. Zastanawiało mnie tylko, dlaczego odezwał się po angielsku, jeżeli, jak twierdził, nie wiedział, kim jestem. Nie miałam jednak ochoty drążyć tej sprawy.

W mroku zawirowały takty z „Kawalera z różą”. Pomyślałam przelotnie, że w tej samej chwili stary Srokacz zaczął tańczyć w głębi zagrody... Nie, chyba nie. Wyżej cenił występy w samotności.

— To muzyka dla Annalisy — powiedziałam ze zdawkową uprzejmością. — Pan jest następny. Już się nie zobaczymy, więc życzę dobrej nocy. Powodzenia.

Nie poruszył się.

— Skąd to pani ma? — Patrzył na broszkę, którą przyczepiłam do sukni.

— Sądzi pan, że ukradłam? — odpowiedziałam pytaniem. — Otóż nie. To prezent, podarek pożegnalny, upominek. Bez obawy, nie jest prawdziwy. Pochodzi z siodła lipicana. Zebrałam dzisiaj sporo łupów. Dobranoc.

Odwrociłam się na pięcie i poszłam do furtki. Wydawało mi się, że Balog chciał coś powiedzieć, ale przeszkodziły mu głośne oklaski dobiegające z głównego namiotu. Z furkotem czarnej peleryny podążył w drugą stronę.

Papuga nieprzyjemnym, rozchwianym falsetem zaczęła śpiewać *O for the wings of a dove*.

ROZDZIAŁ XIII

*Znalazł i stajnię dla rumaka,
I dobre słowo, i gościniec.*

W. M. Praed: „Wikariusz”

Gdy wróciłam na zamek, powitał mnie sam hrabia.

Zapadł już zmierzch i nad dziedzińcem tu i ówdzie połyskiwały żółte lampy. Jedna z nich, zawieszona na łukowatych wrotach, rzuciła nieco światła na wąski mostek. Nikłe smugi blasku sączyły się z wąskich strzelnic. Tylko wysoko w górze jaśniało okno samotnej baszty, znów przywołując skojarzenia z baśnią. Może tam przędła babka Kerdia lub Rapunzel o złotych włosach, lub Eliza wypatrywała siedmiu łabędzi.

Zaparkowałam volkswagena w rogu dziedzińca i poszłam w stronę schodów. Wtedy w drzwiach stanął hrabia.

— Och... pani March. — Przywitaliśmy się, po czym zerknął nad moim ramieniem z taką miną, jakby pierwszy raz w życiu widział samochód. Pasowało to do naszej teorii, że zwykł oczekiwać gości zajeżdżających poszóstną karetą. — O ile dobrze sobie przypominam, pytała pani o miejsce w stajni...

— Tak, owszem. Timothy... ów młodzieniec, który jest ze mną, sprowadzi konia.

— Aaaa... pani młodzieniec. Jasne. — Spojrzał na siodło leżące na tylnym siedzeniu. Nie dał po sobie poznać, co sądzi o tandetnych ozdóbkach. — Widzę też, że przywiozła

pani siodło. Josef zanieś je potem do stajni. Ja tymczasem wskażę pani właściwy boks.

— Może... — zaczęłam, lecz hrabia już się odwrócił i ruszył na tę stronę dziedzińca, która była najbliższej góry.

Mniejsza brama w północno-zachodniej części murów wiodła do gospodarczej części zamku. Zobaczyłam arkady, jedno lub dwa wejścia zawarowane ciężkimi drzwiami oraz trzy otwarte pary drzwi po drugiej stronie podwórka. Tam też, w mrocznym wnętrzu połyskiwało coś, co przypominało przód samochodu, choć zaraz obok stał inny, jaskrawo malowany wehikuł, jako żywo wyglądający na karetę.

Hrabia otworzył wrota, jakich nie powstydziliby się mała katedra, i zdjął lampę z haka. Zapalił ją — ale ku mojemu rozczarowaniu nie skorzystał z krzesiwa i hubki, lecz z najnormalniejszych zapalek. Potem krótko przeprosił, że pójdzie pierwszy, i wkroczył do stajni, oświetlając mi drogę.

Nic, nawet świetlana czystość boksów w wyścigowych stajniach dziadka Tima, nie dawała porównać się z przepychem, jaki zobaczyłam. Prawda, był to przepych nieco wilgotny i po kątach pokryty pajęczyną, lecz w migotliwym świetle lampy połyskującej nad głową starego arystokraty zdawał się równie odległy od prozy życia jak gotycki zamek od współczesnego mieszkania. Wszystko tu tchnęło podniecającą atmosferą dawnego splendoru. Nagle uświadomiłam sobie, że jedna rzecz przetrwała nie zmieniona od tamtych czasów: każdy jeździec wprawdzie dbał o konia, zanim pomyślał o sobie.

Konie Zechsteinów pławiły się w luksusie. Stajnia przypominała kościół nawowy, a łuki spinające poszczególne nisze wyrastały z filarów z ciemno nakrapianego kamienia, chyba z serpentynu. Ściany na uczciwą wysokość pokryto boazerią z czarnego dębu, przegrody zaś między pozbawionymi drzwi boksami obłożono takim samym drewnem wewnątrz, jak i na zewnątrz. Na murze, nad każdym boksem zwisiała tarcza zwieńczona godłem, a na tarczy, ledwo wi-

doczne w mroku, widniały gotyckie litery. Nie mogłam ich odczytać, lecz domyśliłam się, że to imiona nieobecnych koni. Nie zdziwiło mnie nawet, że żłoby wykuto w marmurze.

Budynek był oczywiście pusty. Po odejściu koni stajnię pokryła gruba patyna wieków. Przez otwarte drzwi w drugim końcu pomieszczenia — dokąd poprowadził mnie hrabia — widać było ten sam wehikuł, który wcześniej uznałam za karetę. Powóz... w świetle lampy błysnęły złotem koła i klamki. Z tyłu zamajaczyła opływowa sylwetka nowoczesnego samochodu. Nawet nie bardzo przeszkadzał.

Opustoszały boks w kącie stajni wyglądał na świeżo zamieciony, a w żłobie piętrzyła się sterta siana. Snop światła padł na wypisane na tarczy imię „Grane”. Hrabia nic nie powiedział, a ja o nic go nie pytałam, ale odniosłam wrażenie, że nie zostało tu sprzątnięte tylko przez wzgląd na starego Srokacza. To stanowiło część tradycji. Imię wyglądało na niedawno odmalowane, a stojący w pobliżu metalowy pojemnik na paszę był względnie nowy.

— Jak pani widzi, tu z boku jest wieszak na ogłowie — odezwał się hrabia. — Josef pokaże pani młodzieńcowi, gdzie złożyć siodło i znaleźć obrok.

Postanowiłam wcześniej, że wypuszczę Srokacza na noc na pastwisko i po drodze wyszukałam ładną łąkę okoloną drzewami, rozciągającą się jakieś sto metrów od mostu, ale nie miałam serca, by o tym mówić staremu arystokracie. Podziękowałam, jeszcze raz obejrzałam stajnię i wysłuchałam kilku zdawkowych uwag o dawno minionych czasach. Wróciliśmy do głównych drzwi. Hrabia przepuścił mnie, po czym odwiesił wciąż zapaloną lampę.

— Pani młodzieniec ją zgasi, kiedy skończy oporządzać konia — wyjaśnił.

Nagle coś przyciągnęło jego uwagę. Spozrzegłam, że podobnie jak wcześniej Sandor Balog, wpatrywał się w „klejnot” na mojej sukni.

Miał jednak o wiele lepsze maniery od Baloga.

— Proszę wybaczyć. Podziwiam pani biżuterię. Piękna rzecz.

— Bez wartości — roześmiałam się. — To tylko świecidełko. Dostałam je w prezencie od pracownika cyrku. Nie mówiłam panu, lecz koń, którym się opiekuję, należał do taboru. Był chory, więc na kilka dni trafił do mnie. — Dotknęłam broszki. — To niewielki wyraz wdzięczności... Zwykle szkiełko. Przypadkiem wspomniałam o nim, a oni zaraz odpruli je od siodła. Ładne, prawda?

— Bardzo ładne. — Przyjrzał się uważniej. — Tak... Musi być nieprawdziwe, gdyż w przeciwnym razie spoczywałoby w jakimś sejfie. A przecież klejnot, który można nosić bez strachu, jest najpiękniejszy. Popatrzyłem na tę broszkę, bo wydawała mi się dziwnie znajoma. Zresztą chodźmy, coś pani pokażę.

Szybkim krokiem poprowadził mnie przez dziedziniec, po schodach, w głąb sieni, aż do drzwi z napisem „Prywatne”.

To skrzydło zamku na swój sposób przypominało stajnię — nie było tu pajęczyn, wilgoci i kurzu, lecz otaczała je ta sama aura minionego wieku. Lampy ledwie świeciły, jakby ktoś, kto zakładał tu elektryczność, uważał ją za niepotrzebny, „nowomodny” wymysł. Żarówki były małe, słabe i rozmieszczone daleko jedna od drugiej. Hrabia wspiął się po schodach na półpiętro i stanął przed ogromnym portretem, oświetlonym jedynie czterdziestowatową żarówką. Żałowałam, że latarnia została w stajni — w jej blasku mogłabym dokładniej obejrzeć malowidło. Obraz spowijały brązowe cienie, choć przypuszczałam, że przy troskliwej konserwacji okazałyby się wspaniałym wizerunkiem damy w obfitej i zdobionej sukni z czasów cesarzowej Marii Teresy.

— Widzi pani? — zapytał hrabia, wskazując palcem.

Rzeczywiście. Może przed laty broszkę namalowano jaśniej niż resztę, a może dziwnym wyrokiem losu ta część portretu nie uległa ściemnieniu, dość, że pomimo mroku widać ją było całkiem wyraźnie, wpiętą w koronkowy przód

sukni. Na pierwszy rzut oka wyglądała tak samo jak moja. Złota oprawa, niebieski kamień, w otoczeniu mniejszych brylancików i pięć luźno doczepionych wisiorków. Zasadnicza różnica tkwiła gdzieś indziej: nikt o tak bladych, chłodnych oczach i szczęce Habsburgów nie nosiłby biżuterii zdjętej z cyrkowego siodła.

— Wielkie nieba, zdumiewające! — zawołałam. — Kim jest ta dama?

— Moją prababką, a ów klejnot widnieje jeszcze na dwóch portretach. Niestety, nie mam ich. Są w Alte Pinakothek, w Monachium.

— A broszka?

Odpowiedź hrabiego rozwiąła wszystkie moje szaleńcze myśli o ukradzionym skarbie, który dziwnym trafem zawędrował do cyrku.

— Też w Monachium, jak większość rodzinnej biżuterii. Może kiedyś, w przyszłości, zechce ją pani zobaczyć. — Uśmiechnął się. — A na razie proszę z dumą nosić najsłynniejszy przedmiot z rzeczzonej kolekcji. Dar od cara, owiany romantyczną legendą, w dużej mierze oczywiście nieprawdziwą... Siła romansu robi jednak swoje, więc klejnot wielokrotnie kopiowano.

— Bez wątpienia wybiorę się do Monachium, żeby obejrzeć oryginał — obiecałam. Zaczęliśmy wracać. — Eksytujące! Jestem wdzięczna, że pokazał mi pan ten portret. Broszka zawsze będzie mi przypominać Zechstein.

— To bardzo miłe z pani strony, moja droga. Pewnie teraz chce się pani zobaczyć ze swoim młodzieńcem. Nie zatrzymuję. Znajdzie pani w najbliższych dniach nieco czasu, żeby zwiedzić resztę zamku? Mam jeszcze parę skarbów, które może panią zainteresują.

— Z przyjemnością. Dziękuję.

Z tą samą, lekko abstrakcyjną rewerencją poprowadził mnie korytarzem wiodącym do sieni. Za dużym stołem zastępującym recepcję siedziała jakaś kobieta. Coś pisała,

wertując plik papierów spiętych dużym metalowym spinaczem. Była w średnim wieku, dość krępa, a siwiejące włosy ciasno ściągnęła do tyłu. Miała wydatne usta, zamknięte między obwisłymi policzkami jak polip wśród kamieni. Mogła być hotelarką lub gosposią i nie bardzo rozumiałam, dlaczego jej powitalny uśmiech zmienił się na nasz widok w grymas chłodnego zaskoczenia.

Za sobą posłyszałam łagodny głos hrabiego.

— Ach... tutaj jesteś, moja droga.

— Zeszłam do kuchni. Szukałeś mnie?

Była to zatem hrabina. Być może biała bluzka i kwiecista *drindl*, odpowiedniejsza raczej dla kogoś w wieku Annalisy, miały świadczyć o jej nowym statusie właścicielki hotelu. Mówiła, tak jak jej mąż, po angielsku, chociaż o wiele szybciej, urywanym głosem, zdradzającym z trudem postrzemywaną irytację.

Mimo woli musiałam wysłuchać jej żalów.

— Dziś wszystkiego trzeba pilnować osobiście. Jak się pani u nas czuje? Mam nadzieję, że dobrze. Niestety, brak nam wielu podstawowych rzeczy. Mimo wszystkich tak zwanych nowoczesnych udogodnień z dnia na dzień żyje się coraz gorzej. Trudno w najbliższej okolicy znaleźć kogoś do pomocy, a nikt ze służby nie chce na stałe mieszkać w tak odosobnionym miejscu jak nasz zamek...

Słuchałam z przejmą miną jej opowieści o domowych kłopotach, co jakiś czas wtrącając współczujący pomruk. Tak samo narzekali hotelarze w moim ojczystym kraju, choć muszę przyznać, że hrabina Zechstein robiła to ze znacznie większą goryczą. Miałam ochotę zaproponować, że od dziś sama będę ścielić łóżko. Gdy na chwilę przerwała, powiedziałam uspokajająco:

— Tu naprawdę jest uroczo. Mam piękny pokój i do prawdy podziwiam pieczołowitość, z jaką traktuje się tu każdy szczegół. Nigdy dotąd nie nocowałam w tak przepięknym zamku. Wyobrażam sobie, jak tu bywało dawnymi laty.

Twarde rysy hrabiny odrobinę zmiękły.

— Dawnymi laty... Czasem zdaje mi się, że to zamierzchła przeszłość.

— Pokazywałem pani March portret *Gräfin* Marii — wtrącił hrabia.

— Tak? Przykro mi, lecz lepszych obrazów już nie ma. Żyjemy w sposób, który kiedyś wydawał nam się niemożliwy. — Wzruszyła ramionami. — Wszystko, co dobre, odeszło, pani March.

Wymamrotałam coś w odpowiedzi. Czułam się niezręcznie i głupio, jak każdy, kto się zetknął z podobną determinacją. Są ludzie, którzy karmią się gniewem i goryczą; nieszczęśnicy przepelnieni złością, gdyż tylko ona stanowi sens ich życia. Może to zachowanie było nieświadomym reliktem pogaństwa, przesądu, że najmniejsza oznaka szczęścia wzbudzi gwałtowną chęć zemsty u okrutnych i zazdrosnych bogów? A może chodziło o to, że tragedia budzi więcej emocji niż farsa? Wszak większe wrażenie robi na nas los króla Leara niż los Rosalindy.

— Nie nadeszła żadna wiadomość od mojego męża, hrabino? — zapytałam. — Spodziewałam się, że przyjedzie tu dziś wieczorem.

— Od pana Marcha? Owszem... Przesłał do nas depezę. O, tu jest. — Wręczyła mi telegram, oczywiście pisany po niemiecku.

— Może mi pani przetłumaczyć?

— Parę słów: „Z przykrością odwołuję dzisiejszą rezerwację” — wyjaśniła hrabina. — Ale jest jeszcze jedna kartka, do pani. Niech ją znajdę... o, właśnie.

Wzięłam depezę. Tym razem z angielskim tekstem: WYBACZ. DZIŚ NIE PRZYJADĘ. BĘDĘ W KONTAKCIE. KOCHAM. LEWIS.

Odłożyłam blankiet na stół. Małe szare oczy hrabiny świdrowały mnie podejrzliwie, więc pojęłam, że na mojej twarzy zbyt wyraźnie odbiło się rozczarowanie. Wzięłam głęboki oddech.

— Szkoda... Lewis pisze, że nie przyjedzie, ale zapewniam mnie, że będziemy w kontakcie. Może zadzwoni dziś lub jutro. Dziękuję... Pójdę sprawdzić, czy mój młody przyjaciel przyprowadził już konia. — Uśmiechnęłam się do hrabiego. — Jeszcze raz dziękuję.

Odwrociłam się szybko. Nie miałam ochoty tłumaczyć hrabinie, o co chodzi z tym koniem. Zresztą i tak nie zdążyła spytać, bo głos zabrał hrabia.

— Wspominałaś coś wcześniej, moja droga, że dziś wieczorem powitamy jeszcze jednego gościa. Któż to taki?

— Anglik. Pan Elliott.

Dzięki Bogu, że byłam odwrócona do nich tyłem, bo za nic w świecie nie potrafiłabym ukryć swego zaskoczenia. Licząc godziny do przyjazdu Lewisa, zupełnie zapomniałam o jego pseudonimie i o tym, iż wspominał, że być może z niego skorzysta.

Aż zamarłam na chwilę na dźwięk tego nazwiska, ale zdołałam się opanować i udałam, że zahaczyłam nogą o brzeg dywanu. Nie odwracając głowy, ruszyłam w stronę drzwi. Nie musiałam się spieszyć. Słyszałam głos hrabiny:

— Właśnie telefonował. Zarezerwowałam mu pokój (nie zapamiętałam numeru). Powiem o tym Josefowi, kiedy wróci. — Zaczęła mówić po niemiecku, lecz mimo to zrozumiałam resztę: — Elliott nie będzie na kolacji. Nawet nie umiał powiedzieć, o której przyjedzie. Być może późno.

Odpruwanie szkielek poszło mi szybciej, niż myślałam. Wzięłam lampę, weszłam do stajni, usiadłam na beli słomy i zabrałam się do roboty za pomocą małych, lecz bardzo ostrych nożyczek, które zawsze nosiłam w torebce. Początkowo chciałam zanieść siodło na górę, gdzie miałabym więcej światła, ale było dość ciężkie, Josef wyszedł do cyrku, a nikt inny ze służby jeszcze nie wrócił. Poza tym zbyt mocno śmierdziało koniem.

Tak więc siedziałam w migotliwym blasku latarni, a wokół mnie rozlegały się ciche odgłosy stajni.

Ozdoby umocowano luźno i nie miałam większych kłopotów z ich oderwaniem. Barwna krajka na brzegach łęków była na pół przyszyta, na pół przyklejona i po jej usunięciu została brzydka plama. Nieważne — pomyślałam. Siodło, z miękkiej jasnej skóry, z kulą na przednim łuku, niegdyś musiało być całkiem niezłe, z czasem jednak zmiękło i nosiło wyraźne ślady niezliczonych napraw.

Zakończyłam pracę, wsypałam garść błyszczących szkiełek do kieszeni i rozejrzałam się po stajni w poszukiwaniu jakiegoś miejsca, gdzie szkodniki nie miałyby dostępu do starej skóry. Szmer dochodzący z zakamarków barokowego wnętrza nie był wytworem mojej wyobraźni. I to na pewno nie chrobotały myszy. Nie mogłam przecież dopuścić, aby siodło *Spanische Reitschule* padło ofiarą zechsteinowskich szczurów.

Jedyny kołek, na tyle duży, żeby utrzymać ciężar siodła, okazał się nadłamany. Przegroda boksu nie była żadnym rozwiązaniem i nie bardzo wierzyłam w siodlarnię starego hrabiego. Nie chciałam także czekać na Josefa ani samotnie paradować po nocy. Popatrzyłam na pojemnik do przechowywania kukurydzy. Metalowy, duży i bez wątplenia szcuroodporny. Nie sądziłam, żeby Srokacz chciał dziś nocą jeść kukurydżę. Uniosłam wieko, starannie ułożyłam siodło na złotym ziarnie, odwiesiłam na miejsce lampę i wyszłam na spotkanie Tima.

Minęłam łukowatą bramę i stanęłam na moście, wspierając ręce o kamienną balustradę.

W górze ostrym cieniem majaczyły mury, baszty i wieżyczki zamku, tu i ówdzie mażnięte żółtą plamą jasno oświetlonego okna. Z drugiej strony mostu sterczały sosny, tchnące ostrym, wieczornym aromatem, a hen w dole leżało parę zagród, odcinających się poświatą od mrocznego dna

kotliny. Rzeka połyskiwała bladą wstęgą, tuż pode mną bieląło kilka głazów, odłupanych ze skały podtrzymującej przęsło... To wszystko. Skądś dobiegał perlisty chłupot wartko płynącego strumyka, ale rzeka u podnóża wapienia milczała.

Noc była taka cicha, iż byłam pewna, że lada chwila wyłowię uchem monotonne człapanie nadchodzącego Srokacza. Ale nie. Nie słyszałam nawet muzyki z cyrku. Stok góry tłumiał wszystkie odległe dźwięki.

Nagle rozległ się daleki pomruk silnika, a potem zobaczyłam światła sunące od strony wioski. Minęły boczną drogę wiodącą do dolnego mostu, omiotły bok doliny i zniknęły. Nie był to zatem pan Lee Elliott. Jeszcze nie.

W każdym razie — zastanawiałam się — przybędzie z północy. Jadąc z Wiednia, musi minąć wieś i przy rozjeździe skrócić w stronę zamku. Gdyby zjawił się w trakcie przedstawienia, raczej nie mógłby trafić na kogoś z cyrku. Gdyby przybył po jedenastej, tabor zmierzałby już na południe. Nikt z cyrkowców nie rozpoznałby „Lee Elliotta” za zamkniętymi szybami auta mknącego do Schloss Zechstein. Kiedy mówił, że wróci jako Lewis March, brał chyba pod uwagę właśnie tę możliwość.

A ponieważ nadal używał pseudonimu, z pewnością zamierzał podtrzymać kontakty z cyrkiem. Tylko że... za dwaście godzin tabor miał opuścić granice Austrii.

W tej samej chwili do moich uszu dobiegło odległe kłaskanie kopyt; powolne klip-klap, klip-klap idącego konia. Zwierzę weszło na stromy odcinek drogi. Stuk podków brzmiał regularnie: stary Srokacz już nie oszczędzał chorej nogi. Wyprostowałam się i zeszałam z mostu między sosny, by tam poczekać.

Na skraju szosy, w wąskiej przecince wśród drzew, jakaś dobra dusza ustawiła drewnianą ławkę. Dotknęłam jej delikatnie. Była sucha, wciąż wolna od wilgoci nocy. Usiadłam. Stuk kopyt przycichł, kiedy koń i Timothy weszli za zakręt

i odgradził ich ode mnie grubym pasem drzew, potem na nowo zabrzmiął bliżej i głośniejsze.

Tego brakowało do dopełnienia sceny — pomyślałam, patrząc w górę, gdzie po lewej na tle gwiaździstego nieba czerniały wieże... Cisza, milczące gwiazdy, uroczysty szum drzew i powolny tupot zwiastujący nadchodzącego konia. Może to Wędrowiec De la Mare'a albo błędny rycerz w błyszczącej zbroi?

Ostatni fragment drogi musiał być gęsto posypany igliwem, gdyż Tim i Srokacz wychynęli zza zakrętu tak cicho, jakby naprawdę należeli do świata baśni. Przyszło mi na myśl, że ów z pozoru prozaiczny obrazek — chłopiec wiodący miękkim skrajem szosy schorowanego konia — zawierał równie wielki ładunek emocji jak każda romantyczna legenda... Stary ogier, odrzucony, zepchnięty do roli sługi i oszpecony niczym Żabi Książę, wkrótce miał zająć należne miejsce w końskim pałacu. Teraz człapał u boku chłopca, wśród księżycowych cieni. Stalowy blask padał na jego cętkowaną skórę i zmieniał go w jeszcze jedną nocną marę. Przyjdzie czas, że te plamy znikną — pomyślałam. Już dziś były bledsze. Zawołałam półgłosem. Srokacz uniósł łeb, nastawił uszu i przez chwilę wyglądał dziwnie młodo. Z cichym parsknięciem przyspieszył kroku. Wspomniałam słowa Herr Wagnera: „Trafi do boksu z własnym imieniem i żłobem pełnym świeżej paszy”. Miałam nadzieję, że tak się stanie. Miałam nadzieję, że Tim i ja też się nie myliliśmy. Wszystko by się skomplikowało, gdyby Żabi Książę okazał się jednak zwykłą żabą.

Potem poczułam miękki koński pysk w swojej dłoni. Poczochnęłam Srokacza po karku i w paru słowach zapoznałam Tima z planem na dzisiejszą noc — także w tej części, która dotyczyła Lee Elliotta.

Nie wspomniałam jednak o najważniejszym: ponieważ Tim, Lewis i ja będziemy sami w środkowej części zamku, pan Elliott nie będzie musiał się skradać, żeby trafić do mojego pokoju.

ROZDZIAŁ XIV

Zgarnąłem w stado swoje Lwy i zbiegłem ze Stolicy.

Artemus Ward: „Odwiedziny u Birghama Younga”

Spałam, kiedy w końcu przyjechał.

Mój pokój miał podwójne drzwi na wzór pokoi hotelowych sieci Continental, gdyż sypialnię — poprzednio o wiele większą — przedzielono, by zyskać miejsce na łazienkę, przylegającą tuż do korytarza. Zgrzytu pierwszych drzwi nie słyszałam, lecz obudziłam się natychmiast, gdy ktoś stanął w progu.

Pokój tonął w ciemnościach; blask księżycy uwiązał w grubych kotarach zawieszonych w oknie. Cicho szcęknęła klamka. Intruz zawahał się. Nie zapalił światła, ale musiał coś widzieć, gdyż powoli podszedł do łóżka. Zabytkowa podłoga trzeszczała mu pod stopami.

— Tu, kochanie — mruknęłam sennie, odwracając się w stronę lampki.

Trzask nagle umilkł.

— Lewis? — spytałam. Namacałam wyłącznik.

Wąski snop światła z maleńkiej latarki padł mi prosto w oczy.

— Leż spokojnie — ktoś szepnął. — Zostaw tę lampkę.

Ale było za późno. Odruchowo włączyłam światło.

Ze dwa metry od mego łóżka stał Sandor Balog. W dłoni ścisnął latarkę.

— Co tu robisz? Czego szukasz?

Z zaskoczenia i strachu mówiłam ostrym, podniesionym głosem. Balog stał jak skała, wyczuwając pewnie, że jeśli zrobi jeszcze jeden ruch w moją stronę, zacznę krzyczeć. Wetknął latarzkę do kieszeni.

— Ciszej, dobrze? Po co te wrzaski...

— Wynoś się! — warknęłam wściekła. — I to od razu! Słyszysz? Won natychmiast z mojej sypialni! — Sięgnęłam po telefon.

Teraz zareagował. Dwoma szybkimi krokami dotarł do łóżka i lewą ręką chwycił mnie za nadgarstek, zanim zdążyłam podnieść słuchawkę. Po raz drugi poczułam jego siłę. Tym razem odbyło się to w o wiele bardziej brutalny sposób.

— Przestań, mówię!

Szarpnął mnie za rękę i gwałtownie popchnął na poduszkę.

Wrzasnęłam na całe gardło. Chyba wołałam Lewisa. Chciałam przetoczyć się na drugą stronę łóżka i uciec, ale Sandor pochwycił mnie mocniej, przydusił do pościeli, a gdy próbowałam ponownie krzyczeć, wymierzył mi wierzchem dłoni solidny cios w usta.

Poleciałam w tył, odbiłam się od materaca i otrzymałam jeszcze jeden siarczysty policzek. Nie pamiętam, chyba już nie walczyłam. Jeśli nawet, to raczej niemrawo. Porzuciłam zamiar ucieczki i otępiała z bólu, wstydu i strachu, wtuliłam się w poduszkę, wolną ręką próbując osłonić twarz od ciosów. Nawet nie wiem, czy mnie znów uderzył. Pewnie tak, ale potem, gdy zobaczył, że już nie krzyczę, wyprostował się i odstąpił na krok od łóżka.

Przycisnęłam obie dłonie do twarzy i próbowałam zapanować nad drżeniem.

— Spójrz na mnie.

Nie usłuchałam.

— Spójrz na mnie — powtórzył groźniej.

Z wolna, jakby w obawie, że zedrę skórę z policzków, opuściłam ręce. Popatrzyłam na niego. Stał nieco dalej,

poza kręgiem światła rzucanego przez lampkę, ale zdawałam sobie sprawę, że bez trudu może mnie dopaść. Zresztą wcale nie musiał się fatygować, bo w prawej dłoni trzymał pistolet.

Lekko poruszył bronią.

— Widzisz to?

Nie odpowiedziałam. Zagryzłam rozdygotane usta, ale wyraźnie widział, że widzę.

— Krzyki nic nie pomogą. Pokój ma podwójne drzwi, ściany grube na co najmniej pół metra, a poza tym na naszym piętrze jest tylko chłopak, śpiący słodko po drugiej stronie korytarza... Zgodzisz się ze mną, że nie należy go budzić? Choćby dla jego własnego dobra. Jasne?

Jasne. Pokornie skinęłam głową.

— Właśnie... i lepiej zapomnij o telefonie.

— Czego chcesz?

Usiłowałam mówić stanowczym tonem, ale zdobyłam się tylko na piskliwe rżenie. Odchrząknęłam i spróbowałam raz jeszcze. Trudna sprawa. Mój głos nadal brzmiał obco. Balog uśmiechnął się. Na ten widok zawrzałam złością i poczułam, że przenikliwe zimno strachu zaczyna ustępować.

— Oczekiwałaś kogoś? — Uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Czy tak samo witasz każdego, kto trafi do twojej sypialni?

Oparł się o łóżko, pełen wzdargy i nonszalancji, od niechcienia kiwając pistoletem. Ogień gniewu rozgorzał we mnie na dobre.

— Sam widziałeś, jak cię witałam. — Z satysfakcją stwierdziłam, że mówię spokojnie i chłodno.

— Ależ tak, cnotliwa damo. Pomyślałaś pewnie, że to wreszcie mężulek?

A więc chciał mi dokuczyć. Zachowywał się zgoła bezczelnie, choć mimochodem prowokował pytanie, dlaczego żadna kobieta nie chce, by ją nazywać cnotliwą. Śmieszne. Na wzmiankę o mężu przestałam drzeć o siebie i zaczęłam się zastanawiać.

Lotr wiedział o Lewisie. I o jego spóźnieniu. Wtargnął do mojej sypialni przekonany, że będę sama... Już to wystarczyło, by go uznać za wroga i głównego sprawcę „tajemnic” narosłych wokół cyrku. Nie wątpiłam też, że zaraz zacznę mnie wypytywać...

Serce podeszło mi do gardła. Głośno przełknęłam ślinę i zmusiłam się do spokoju.

— Nie przyszedłeś tu tylko po to, żeby mnie obrażać. Czego szukasz? Co ma do rzeczy przyjazd mego męża?

— Nic... droga damo, ale nie mógłbym zjawić się tutaj w ten sposób, gdybyś nie była sama.

— A skąd wiedziałeś? O ile sobie przypominam, nie rozmawiałam na ten temat z nikim z cyrku.

Lekceważąco wzruszył szerokimi ramionami. Nadal wyglądał na atletę. Co prawda zdjął cyrkowy kostium, ale wciąż był na czarno — ubrany w wąskie spodnie i obcisłą skórzaną kurtkę, pod którą, jak na zwierzęciu, przeżyły się węzły mięśni.

— Nie myślisz chyba, że pracuję bez rozpoznania? Część służby mieszka w wiosce. Byli wśród widzów, więc rozmawiałem z nimi po przedstawieniu. Dowiedziałem się, kto jest w zamku... a w tej części świata hotele pozostają przez noc otwarte. Zakładałem też, że nie będzie nocnego stróża. Za mało ludzi. Wszedłem, spojrzałem w księgę, znalazłem numer twojego pokoju i upewniłem się, że nikt więcej nie przyjechał... — Znów ten uśmiech. — Nie próbuj mnie straszyć mężem, bo nawet gdyby przyszedł — krótki ruch pistoletem — poradziłbym z nim sobie równie łatwo jak z tobą. Nie?

Nie, głupia bestio — pomyślałam, ale nie powiedziałam tego. Mimo strachu poczułam ogromną ulgę. Po pierwsze: Balog nie szukał Lewisa, po drugie — nie znał prawdziwej tożsamości Lee Elliotta. Nie mógł wiedzieć, że „Elliott” zmierza do zamku, gdyż nawet Josef usłyszał o tym dopiero po powrocie z cyrku, kiedy reszta służby już wyszła. Tak

więc Lewis był w drodze, a Balog zamiast zdumionego i wystraszonego turysty mógł spotkać przeciwnika przewyższającego go siłą i zrećnością.

— Dobrze — odparłam. — Wyraziłeś się jasno. Przestraszyłeś mnie, pobiteś i zmusiłeś do posłuszeństwa. Możesz teraz wyjawić, o co chodzi? Po co przyszedłeś? Czego szukasz?

— Siodła — warknął.

Wlepiłam w niego tępe spojrzenie.

— Czego?

— Siodła. Niczego nie podejrzewałem, kiedy zauważyłem broszkę... Dopiero później Elemer powiedział mi o koniu i o tym, że zabrałaś siodło. Gdzie je schowałaś?

— Nie rozumiem. Po co ci to siodło?

— Nikt ci nie każe rozumieć, tylko odpowiadać. Gdzie siodło?

Patrzyłam mu prosto w oczy. Nagle pojęłam prawdę i musiałam wyteńczyć całą siłę woli, żeby nie zerknąć w bok, w stronę szafki, gdzie w szufladzie, starannie owinięta w chusteczkę, leżała garść odprutych „klejnotów”.

— W stajni — wymruczałam, udając zaskoczenie. — Znasz lepsze miejsce?

Żachnął się, niby krótko, lecz z tak utajoną furią, że mimo woli głębiej wcisnęłam się w poduszkę.

— Nieprawda! Byłem tam. Masz mnie za durnia? Wiem od jednego ze służących, że stary hrabia nie pozwolił rozebrać stajni, więc od razu tam zaszedłem. Widziałem konia na górskiej łące, lecz ani śladu siodła. Wzięłaś je tutaj, żeby przy nim majstrować?

— Niby po co? Zostało w stajni. W pojemniku na kukurydzę.

— W pojemniku na kukurydzę? Co to za bzdury? Nie kłam, mała lisico, bo...

— A dlaczego miałabym kłamać? Marzę o tym, żebyś sobie poszedł. Nie wiem, po co ci siodło, wcale nie chcę wiedzieć i na pewno nie będę o nie walczyć, bo nie mam

najmniejszych szans na zwycięstwo. Raz jeszcze mówię, że ukryłam je w pojemniku. Zauważyłam ślady szczurów i nie chciałam, żeby pogryzły skórę. Gwoli wyjaśnienia dodam, że pojemnik jest metalowy, właśnie po to, aby chronić ziarno przed szkodnikami. Stoi przy drzwiach do wozowni. — Byłam okryta kołdrą, ale teraz owinęłam się ciasniej, gestem urażonej dumy. — Starczy? Wynos się do diabła.

Balog nadal stał bez ruchu. Machnął tylko pistoletem.

— Wstawaj. Ubierz się.

— Co?!

— Słyszałaś. Szybciej.

— Po co? Jakim prawem? Co chcesz zrobić?

— Pójdiesz ze mną.

Wciąż trzymałam kołdrę pod brodą, chociaż duma zniknęła bez śladu. Znowu zadrżałam.

— Ale... przecież... mówię prawdę. Nie kłamie. Znajdziesz siodło w skrzyni na kukurydzę. Idź, weź je i znikaj.

Zakołysał się niecierpliwie, z ledwie powstrzymaną groźbą.

— Tak? I zostawić cię, żebyś podniosła alarm? Nie dyskutuj, wstawaj. Wyłaż z łóżka! — Wskazał pistoletem kątek pokoju odległy od drzwi i telefonu.

Co miałam robić? Powoli odrzuciłam kołdrę i wstałam. Ubrana byłam w koszulę nocną z podwójnego nylonu, a mimo to miałam wrażenie, że jestem całkiem naga. Dokuczał mi nie tyle wstyd, ile poczucie bezradności, coś, co skłoniło pierwszych ludzi do wymyślenia broni. Pistolet znakomicie zastępował ubranie.

Wzięłam rzeczy.

— Przebiorę się w łazience.

— Nie. Tutaj.

— Nie będę przecież...

— Nie kłóć się, do cholery! Wkładaj łachy. Spiesz mi się.

— Dobrze... — gardziłam sobą za ów płaczliwy ton głosu. — Gdybyś się odwrócił...

— Brednie. Nie będę cię gwałcił. Każdej tylko to jedno w głowie. Żwawiej trochę.

Odwołałam się do zasady, że czego nie widać, tego nie ma, i stanęłam tyłem. Cały czas czułam spojrzenie Baloga. Pistolet, nie pistolet, nie wiem, co bym zrobiła, gdyby się ruszył. Na szczęście stał spokojnie. Nieporadnie, roztrzęsionymi dłońmi, zaczęłam się ubierać. Zamiast sukienki, którą miałam na sobie podczas kolacji, włożyłam spodnie i sweter. Balog łaskawie mi zezwolił wyjąć kurtkę z szafy. Zapięłam się pod szyję. Ciepły dotyk wełny sprawił, że kiedy naciągnęłam buty, byłam w pełni gotowa na kolejne wyzwanie losu.

— A co zrobisz, jak znajdziesz siodło?

— Zobaczymy.

Owładnięta strachem nie potrafiłam do tej pory przeżywać sytuacji, ale teraz, kiedy miałam porzucić oświetlony pokój i wędrować po nocy u boku brutalnego bandyty, mój umysł z dokładnością kasy zaczął dodawać fakty.

Końskie siodło, obszyte „klejnotami”; udawana troskliwość Sandora (miałam rację, sądząc, że nie smali cholewek do Annalisy); gadka o „cerowaniu”; luźno umocowana broszka, którą mi wręczył Elemer; znowu Sandor... Po wieczornym spotkaniu ze mną co sił w nogach pognął do karła, po to tylko, by się dowiedzieć, że koń wraz rządem powędrował do Schloss Zechstein. Potem pytał, czy „majstrowałam” przy siodle... Wszystko jasne, plus parę zdarzeń, o których (dotąd) nie miał pojęcia: spotkanie z hrabią, wizyta przy portrecie hrabiny Marii i opowieść o skarbie bezpiecznym w Monachium...

Rzeczywiście bezpiecznym? Jeśli Balog okradł muzeum, gdzie znalazłby lepsze miejsce do ukrycia klejnotów, jak nie pośród cyrkowych błyskotek? A jeżeli — co bardziej prawdopodobne — był jedynie kurierem, mógł bez trudu z łupem przekroczyć granicę.

Tak więc zgoła niewinne zainteresowanie koniem wciągnę-

nęło mnie wprost — i to wbrew przestrogom Lewisa — w środek groźnej afery.

Że była groźna, nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Gdyby Balog uwierzył mi na słowo i poszedł po siodło, przekradłabym się do pomieszczeń dla służby, żeby wezwać pomoc. Ale teraz, kiedy zabierał mnie z sobą? Miałam pokornie czekać, aż otworzy pudło i zauważy brak klejnotów?

Jednego byłam pewna: dla Baloga gra toczyła się o najwyższą stawkę. Na własnej skórze odczułam, że umiał być okrutny. Zdolny do wszystkiego... Nawet do morderstwa.

Morderstwo... Ostatni element układanki. Spalony wóz i jęki umierającego Franzla; natarczywe rżenie (źle rozumiane przez Lewisa i Annalisę) o „siodle Neapolitano Petry”. Mogła być to co prawda (jak sądziła dziewczyna) próba wyznania dawnych grzechów, ale bardziej prawdopodobne, że stary Franzl chciał się podzielić odkryciem, które doprowadziło do zguby zarówno jego, jak Paula Denvera. W chwili śmierci zapomniał, że nikt z cyrkowców nie zna prawdziwego imienia konia... Wyglądało na to, że Srokacz był jednym z najważniejszych ogniw intrygi zapowiedzianej przez Lewisa.

Skoro Sandor Balog był zdolny do dwóch zabójstw, czemuż miałby się zawałać przed trzecim?

Nie. Żaden skarb nie jest wart ofiary z życia... A każda chwila zwłoki przybliżała przyjazd Lewisa.

— Chwilę — powiedziałam szybko. — Dobrze wiem, po co ci siodło.

Stanął jak wryty.

— Wiesz?

— Znam historię skradzionych klejnotów. Choćby broszki, którą dostałam od Elemera. — Już miałam dodać, w jaki sposób ją rozpoznałam, ale w porę ugryzłam się w język. Nie chciałam wciągać w to hrabiego ani nadstawiać karku opowieścią o Franzlu. — Sam się zdradziłeś podczas naszej

wieczornej rozmowy — trajkotałam. — Skąd to nagle zainteresowanie kawałkiem szkiełka? Nie jestem głupia, umiem kojarzyć fakty. Ale dobrze, to nie mój skarb i nie będę o niego walczyć. Co ci przyjdzie z tego, że mnie zaciągniesz do stajni? Siodło jest czyste. Odprułam wszystkie świecidełka... Klejnoty.

— Klejnoty — powtórzył. — Klejnoty. Odprułaś je?

— Tak. Chciałam je zapakować i odesłać do Innsbrucku, ale Annalisa stwierdziła, że nie są jej potrzebne. Proszę bardzo, zabieraj wszystkie. Potem po prostu wyjdź i zostaw mnie samą. Czego się boisz? Przecież za kilka godzin wyjeżdżasz za granicę. Bierz, co twoje, i znikaj.

Patrzył na mnie, jakbym postradała zmysły. Potem w jego wąskich ciemnych oczach pojawił się cień wahania. Postanowiłam działać szybko, by nie miał czasu na zastanowienie. Oddam mu skarb, skłonię, żeby wyszedł, zatrzasnę masywne drzwi... Co mu mogło grozić od dwójki bezradnych cudzoziemców — mnie i Tima — skoro za parę godzin miał przekroczyć granicę? Uczepiłam się tej nadziei, choć w głębi duszy dręczyło mnie pytanie, z jakiej racji wywiad Wielkiej Brytanii miałby się zajmować tego typu przestępstwem. Cóż, w końcu nie moja sprawa... Lewis wiedział, co robi. I na pewno by wołał, żebym nie podejmowała zbytniego ryzyka, tylko cierpliwie na niego czekała.

Podeszłam do nocnej szafki i wyjęłam z szuflady garść błyszczących kamyków, owiniętych w czystą chusteczkę. Miałam nadzieję, że Sandor nie zauważy braku szafirowej broszki.

Pierwszy raz, nie zwracając uwagi na pistolet, zbliżyłam się do niego z własnej woli. Podetknęłam mu pod nos klejnoty.

— Proszę bardzo. Odprute z siodła. Bierz i zjeżdżaj. Udław się nimi.

Przez chwilę stał bez ruchu. Potem wybuchnął dzikim, nieposkromionym śmiechem. Był szczerze ubawiony.

— O co chodzi? — spytałam zbita z tropu. — Nie chcesz ich?

— Klejnotów? — mruknął z pogardą. — Nadają się dla koni. Albo dla kobiet. Dość czasu straciliśmy.

Wpatrywałam się w niego ze zdumieniem. Wąską stwardniałą dłonią pogmerał wśród kamieni i uniósł trzy lub cztery do światła. Jeden błyszczał zielenią, inny na czerwono, a jeszcze inny przybrał odcień żółci. Balog znów się roześmiał.

— Szmaragd, rubin i... co? Żółty brylant? Piękne. Iście królewskie. — Nagle uśmiech zniknął i z powrotem pojawiło się białozębne zwierzę. — Zwykle szkiełka. Głupia babo... sądzisz, że naprawdę uganiam się za czymś takim? Nawet gdyby były prawdziwe, gdzie bym je sprzedał w swoim kraju? Ludzie tam nie szukają skarbów. Pragną marzeń... Cudnych marzeń dla przeklętych... — urwał. — To najlepszy towar do handlu.

Cisnął świecidelka o ziemię. Potoczyły się po podłodze i wpadły za zasłonę.

— Oszalałeś — stwierdziłam.

— Możliwe. Idziemy.

Cofnęłam się tak daleko, że dotknęłam plecami toaletki.

— A jeśli odmówię? — zapytałam bez tchu. — Sądzisz, że zdołasz uciec, jak mnie zastrzelisz??

— Nie... — z nagłym zainteresowaniem zerknął na pistolet. — To tylko na postrach. — Zwinnym ruchem obrócił broń w dłoń. — Mogę cię ogłuszyć, a potem... — Wskazał na okno. — Kawał drogi do ziemi. — Uśmiechnął się. — Wiesz, dlaczego tego dotąd nie zrobiłem? Bo chcę mieć siodło, a nie bardzo ci ufam, moja śliczna.

Podszedł do drzwi i oparł rękę na klamce. Chwilę nasłuchiwał z przechyloną głową. Błysnął oczami w moją stronę.

— Pościel łóżko i schowaj nocną koszulę — powiedział cicho. — Nie podchodź do telefonu... Dobrze. I pozbieraj

szkiełka. Wszystko ma wyglądać tak, jakbyś sama wstała i wyszła z pokoju... Jasne?

Jasne. Co miałam robić? Balog chwilę patrzył na mnie, potem uchylił drzwi i wystawił głowę, żeby rozejrzeć się po korytarzu. Cisza. Schyliłam się i podniosłam czerwony kamyk. Dwa pozostałe potoczyły się za kotarę przesłaniającą wyjście z baszty. Węgier, kontent z mego posłuszeństwa, wciąż obserwował korytarz. W lekkich butach bezszelestnie poruszałam się po dywanie. Powolutku sięgnęłam za zasłony, jakby zbierając świecidełka...

Nie odwrócił się. Bez jednego dźwięku zniknęłam w mroku za kotarą i chwyciłam za klamkę wąskich drzwi prowadzących na blanki.

ROZDZIAŁ XV

*To księżyc, zna się jego róg
Tam w górze mruga, w niebie tam;
Do domu zwiódlby, gdyby mógł —*

Robert Burns:

„Uwarzył Willie w kotle słód” *

Drzwi otworzyły się bezgłośnie. Wybiegłam na mury. Wiedziałam, że w ten sposób zyskam zaledwie parę sekund przewagi i że moja ucieczka nie ma szans powodzenia, ale działałam odruchowo. Nie miałam innego wyjścia.

Gdybym zdołała po cichu zabrać klucz i zamknąć drzwi od zewnątrz, Balog chyba by nie zaryzykował wyłamania zamka. Za dużo hałasu. Nie miałam pojęcia, która godzina, ale jeśli przyszedł po drugim przedstawieniu, część taboru była już w drodze. Mógł po prostu zrezygnować z pogoni, przyjąć, że mówiłam prawdę, zejść po siodło i uciec.

Niestety, nie zdążyłam sprawdzić tej błyskotliwej teorii. W chwili gdy pochwyciłam klucz, Balog domyślił się, co robię. Zza kotary dobiegł gniewny okrzyk i gwałtowne trzeszczenie podłogi. Okręciłam się na pięcie, trzasnęłam drzwiami i popędziłam wąskim gzymsem pod blankami.

Blask księżycy był twardy, jasny, bezlitosny. Nie musiałam błądzić w ciemnościach, lecz nie mogłam także skryć się przed wzrokiem Baloga. Pokonałam ledwie dwie trzecie drogi w stronę spadzistego dachu, gdy usłyszałam szcęk otwieranych drzwi i natarczywy głos:

* przekł.: Stanisław Kryński

— Stój, bo strzelam!

Nie wiem, czy uwierzyłam w tę groźbę; chyba nie miałam czasu. Strach zmroził mnie do szpiku kości, lecz nie zwołałam kroku. Niczym spłoszony zając pognałam w stronę drugiej baszty.

Skoczyłam na kamienny gzyms. Wylądowałam lekko jak kot. Jeszcze trzy kroki i stanęłam przed wieżą. Drzwi były takie same jak u mnie. Wbiegłam po paru schodkach, złapałam klamkę i pchnęłam z całej siły. Zamknięte.

Odwrociłam się przerażona, dociskając plecy do ściany. Węgier był już w połowie drogi. Schował pistolet do kieszeni, żeby mieć wolne obie ręce.

Przez jedną zwariowaną chwilę zamierzałam wspiąć się na stromy dach. Wydawało mi się to całkiem bezpieczne. Dachówki były suche, miałam gumowe podeszwy, a gdybym spadła, to najwyżej na blanki. Ale tam czyhał Balog...

A tuż za murem rozciągała się ciemność, pustka i szumiąca gdzieś w dole rzeka.

Nagle zauważyłam schody: wąski ciąg stopni biegnących wokół baszty i skręcających za węgiel. Przecież widziałam je już wcześniej! Co prawda wiodły w górę, nie w dół, ale nie miałam wyboru. Rzuciłam się do ucieczki i zniknęłam Sandorowi z oczu, zanim zdołał dotrzeć do baszty.

Powiadają, że strach uskrzydla. Chyba tak się stało i ze mną, lecz swoją drogą Balog miał wieczorem za sobą dwa wyczerpujące występy. Wyprzedziłam więc akrobatę na zdradliwej spirali o całkiem spory kawałek. Po oświetlonej księżycowym blaskiem stronie wieży było to dosyć łatwe, ale i później, w cieniu, nie zrobiłam fałszywego kroku. Z dołu dobiegało dyszenie, ciężki tupot, przekleństwa, a raz nawet, po chwili ciszy, jakiś rozkaz czy groźba. Minęłam ostatni zakręt i jak z procy wypadłam na szczyt zamku.

Nie myślałam, co robię. Nawet nie przystanęłam, by popatrzeć, gdzie jestem i co mnie czeka. Kątem oka zauważyłam góry oblane księżycową poświatą i równy rząd błysz-

czących dachówek, podobny do oblodzonego zbocza. Zdobne złotem narożniki, zwieńczenia, wywietrzniki oraz rzeźby rozrzucone wokół na kształt ogromnych szachów. Wielkie rury kominów niczym armatnie lufy ślepo sterczały w niebo. Zimne światło księżyca wyczarowało świat koszmaru, pozbawiony ziemskiej logiki i reguł.

Popędziłam w stronę najbliższego schronienia; do komina osadzonego w spadzistym dachu. Kładka była dość stroma, obramowana drutem. Pokonałam chyba ze dwa metry, potem musiałam zwolnić, żeby ominąć złamaną rurę, zaczepioną o drut i leżącą w poprzek drogi.

Sandor był już u szczytu schodów. Dostrzegł mnie. Krzyknął coś pulsującym wściekłością głosem.

Widziałam jego głowę i ramiona. Musiał jeszcze pokonać jakieś pięć, sześć stopni, żeby stanąć na wieży. Nie myślałam, co robię: zerknęłam w tył, odwróciłam się, oburącz uniosłam okopconą rurę, przetoczyłam ją przez krawędź kładki i zepchnęłam w kierunku schodów.

Trafiłam. Zwój blachy spadł z łoskotem na taras, odbił się i potoczył po stopniach. Balog padł jak podcięty. Straciłam go z oczu, lecz usłyszałam głuche stuknięcie i kilka zduszonych przekleństw. Słaba metalowa barierka zatrzęszczała pod ciężarem ciała.

Nie czekałam dłużej. Wbiegłam za komin. Z tyłu rozległ się łoskot blachy, rura przeleciała niżej, pod barierką, potem trzasnęła w skałę i wraz z gradem kamieni wpadła do rzeki.

Dałam nura w labirynt cieni pokrywających stromiznę dachu.

Zyskałam nieco czasu, ale nie na długo. Nie mogłam kryć się w nieskończoność. Musiałam jak najszybciej znaleźć drogę na dół. Powrót miałam co prawda odcięty, lecz gdzie są jedne schody, mogą być i drugie...

Szybko, choć w całkowitej ciszy minęłam jeszcze dwa ogromne kominy, skoczyłam w zbawczy mrok, skulony pod sześciokątnym dachem i wypadłam na następne blanki.

Tam są schody — kołatało mi w głowie, choć ze strachu i wyczerpania nie byłam niczego pewna.

Baszta, z której przed chwilą zbiegłam, stała na południowo-wschodnim krańcu zamku, łącząc środkową część hotelu ze skrzydłem południowym, zajęтым przez hrabiego i hrabinę. Pod osłoną kominów skręciłam na północ, w stronę pomieszczeń służby, gdyż tam najprędzej mogłam znaleźć pomoc. Przypuszczałam także, iż w baszcie na północnym wschodzie znajdę schody wiodące na dół.

Byłam teraz mniej więcej w połowie głównej części budowli: na wysokości własnego pokoju. Rozpoznałam spiczasty dach i skrzydlatego smoka łapiącego księżyc. Ukryta w cieniu, pozwoliłam sobie na odrobinę wytchnienia. Serce waliło mi jak młotem, lecz bacznie nadstawiałam ucha, czy nie słychać odgłosów pościgu.

Usłyszałam go od razu. Nie spieszył się. Był jeszcze dość daleko, krążył jak pies wokół zgubionego tropu, w odróżnieniu od psa wiedział jednak, że ma łup tuż przed sobą, i nie zamierzał rezygnować. Parł naprzód.

Nie był tylko do końca pewien, gdzie mnie szukać. Już miałam pobiec dalej, kiedy stanął. Trwał bez ruchu przez co najmniej minutę, nasłuchując (jak przypuszczałam) na równi ze mną. Mogłam sobie go wyobrazić: gibka, złowieszcza postać w czerni, niemal zwierzęca w swym wyglądzie, z natężeniem wypatrująca w mroku niedoszłej ofiary. Siedziała jak skamieniała.

Wolno postąpił dwa kroki i znów stanął. Przywarłam plecami do muru, wpiłam palce w kamień, jakbym chciała na kształt robaka wpełznąć w jakąś szczelinę. Przypadkowo odłupałam kawałek tynku. Wpadł mi prosto w rękę, bez szkody, bez hałasu, ale to wystarczyło, żeby grube krople potu popłynęły po mojej twarzy.

Potem dotyk chropawej pecyny, nie większej od gołębiego jaja, przypomniał mi starą sztuczkę — prymitywną, lecz wartą spróbowania. I tak miałam niewiele do stracenia.

Ostrożnie odsunęłam się od ściany i wciąż pozostając w ukryciu, rzuciłam grudkę tynku daleko w stronę południowego skrzydła zamku.

Upadła wystarczająco głośno. Co więcej, rzeczywiście zabrzmiało to jak zgrzyt kamienia trąconego nieuważną stopą. Usłyszałam chrzęst butów; Balog odwrócił się na pięcie i lekkim, ale pewnym krokiem ruszył w stronę, skąd przyszedł.

W pierwszej chwili chciałam iść za nim i po cichu wkraść się z powrotem na basztę, ale miałam do pokonania zbyt dużo wolnej przestrzeni i bałam się, że mnie zauważy.

Nie słyszałam go już. Pewnie węszył gdzieś po południowym skrzydle. Chwiejnie ruszyłam poprzez płataninę światła i cieni, wyciągając przed siebie ręce, ślepa w jasnym blasku księżyca.

Tuż przede mną zamajaczyła baszta na północno-wschodnim krańcu murów, bliźniaczo podobna do tej, z której zeszłam z blanków. Tu musiały być drugie schody...

Były. Po nie oświetlonej stronie wieży. Gdy podbiegłam bliżej, zobaczyłam, że są zniszczone. Zwykła deska grodziła przejście, a część pokruszonych stopni zwisała wprost nad przepaścią.

Za to obok, w zamkowym murze, na wprost siebie zauważyłam drzwi.

Nie różniły się wiele od innych. Ciężkie, suto obite żelazem, zamiast rygla miały dużą, wygiętą klamkę. Pochwyciłam ją i poczułam pod palcami kształt zwierzęcia: gryfa albo uskrzydłonej jaszczurki. Drzwi nie ustępowały. Ciągnęłam, pchałam i nie mogłam uwierzyć, że nie dane mi będzie skorzystać z tak cudownej drogi ucieczki.

Chyba wówczas po raz pierwszy dotarło do mnie, że być może wcale nie umknę, że podzielę los zastrzeżony dotąd dla innych nieszczęśników. Baśniowa atmosfera zamku — samotna dolina, wieże, księżyc, blanki, nawet drzwi z klamką w formie gryfa — cały sztafaż legendy i romansu nagle stał

się scenerią koszmaru. Uwięziona w świecie fantazji, chętnie bym go zamieniła na sto metrów wrzosowiska oblaných dziennym światłem.

Tuż przy drzwiach sterczał z muru niewielki przycisk, jak wszystko w zamku oprawny w żelazną arabeskę. Wduśliam go całą dłonią. Zwykły, normalny odruch w szaleńczej nocy. Byłam pewna, że drzwi rozstąpią się z cichym sykiem i zobaczą czarnoksiężnika pochylonego nad zakurzoną retortą...

Nic z tych rzeczy. Nieruchome drzwi blado połyskiwały w księżycowej poświacie.

Mówią, że każdy koniec jest początkiem czegoś nowego. Wciąż wgniałałam ten głupi przycisk — pusta i wypalona, bez odwagi, a nawet strachu — kiedy nagle przypomniałam sobie, gdzie są kolejne schody.

Trudno było o lepsze miejsce. Szeroki ciąg kamiennych stopni wiódł od bramy — a w zasadzie od jednej z dwóch bliźniaczych wieżyc, górujących nad mostem. Dawniej obie baszty łączyła machikuła, która z czasem, nie naprawiana, popadła w ruinę i teraz była pokruszonym kamiennym łukiem. Południowa wieża też uległa zniszczeniu. Stała niczym widmo, bez schodów, ze szczybatym zwieńczeniem dachu. Północna za to, dumna i nienaruszona, oferowała przejście na dziedziniec, do zamku i przez most, na drogę, którą pewnie nadjeżdżał już Lewis...

Ani śladu Sandora. Spoglądając za siebie, wymknęłam się z cienia, wyszłam za załom muru i pobiegłam wzdłuż dachu w stronę wieży.

Nie pomyliłam się. Znalazłam schody. Skąpane księżycowym światłem, pięćdziesiąt metrów przede mną. Już po paru krokach dostrzegłam Sandora. Był tam, gdzie się spodziewałam. Przeszukiwał przeciwną część zamku i dochodził teraz do drugiej strony bramy — do zniszczonej wieży.

Zobaczył mnie. Pistolet lśnił mu w dłoni złowieszczym blaskiem, ale przeczuwałam, że nie będzie strzelać. Nie ryzykowałam powrotu. Balog byłby przede mną pod oknem

pokoju. Mogłam za to zbiec w dół, na dziedziniec. On nie mógł. Baszta po jego stronie była tylko zębatym kawałkiem zrujnowanego muru. Musiałby okrążyć cały zamek, żeby mnie złapać.

Przebiegłam chyba ze dwadzieścia metrów, nie patrząc na niego, owładnięta myślą, by dopaść schodów, kiedy nagle zauważyłam, co robi. Zupełnie zapomniałam, z kim mam do czynienia. Dla akrobaty, który co dzień balansował na linie, dwudziestocentymetrowy występ muru — choćby nie wiem w jak kiepskim stanie — był szeroki jak autostrada. Balog się nawet nie zawahał. Jak kot wspiał się na załomek wieży i przebiegł — nie przeszedł, przebiegł — po kamiennym łuku.

Stałam jak wryta, ale moją uwagę przyciągnęło coś jeszcze. Wydawało mi się, że niżej, na zboczu góry, między czerniejącymi po prawej drzewami, zauważyłam światła samochodu.

Głupio i po próżnicy wrzasnęłam: „Lewis! Lewis!” Wątpliwe, czy mój głos dotarł dalej niż na dziesięć metrów, gdyż zamiast krzyku wydałam coś w rodzaju płaczliwego jęku, cichszego niż pisk sowy. Sandor po trzech susach był już przy schodach. Odwróciłam się i pobiegłam z powrotem.

Gonił mnie uparcie.

Dobrze chociaż, że znałam drogę i zdawałam sobie sprawę, że nie odważy się strzelić. Przy przewadze trzydziestu metrów miałam szansę dotrzeć do pokoju i zbiec na dół, do holu. Wiedziałam już, gdzie uciekać. Do Lewisa.

Ledwie to pomyślałam, dotarło do mnie, że nie zdołam umknąć. Wyczerpana strachem, o wiele słabsza od wysportowanego Węgra... Już nie macałam drogi przed sobą; gnałam na złamanie karku przez gąszcz kominów na dachu północnego skrzydła, w stronę baszty z zamkniętymi na głucho drzwiami...

Zamiast drzwi czerniał w murze szeroki otwór.

Omiał go nie minęłam. Sandor był już zaledwie dziesięć

metrów za mną. Nigdy w życiu nie zdążyłabym dopaść własnego pokoju, aż tu nagle miałam przed sobą bezpieczną przystań. Myknęłam w bok jak zaszczuty zając i skoczyłam do jamy.

Sandor już mnie dopadał. Nie przewidział, że nagle chwyć za futrynę i skręć. Prawie miał mnie w garści. Zaskoczony przebiegł jeszcze parę metrów, a ja, bez tchu, zniknęłam w mrocznym wnętrzu wieży.

Nie wiem, czego się spodziewałam za drzwiami. Chyba kolejnych schodów. Zamiast tego, wyciągniętą dłonią trafiłam na gładką, metalową ścianę. Za sobą posłyszałam cichy świst. Drzwi zamknęły się szybko i zapłonęło światło.

Wszystko — podłoga, stałą błyszczące ściany, lampa — zaczęło zjeżdżać wraz ze mną. Byłam w windzie.

ROZDZIAŁ XVI

Ach, Ludwiku!...

Szekspir:

„Życie i śmierć króla Jana”

Nawet nie miałam czasu, żeby zrozumieć, co się stało. Domyśliłam się tego znacznie później. Szyb windy przebito do samego dachu, aby umożliwić gościom wjazd na blanki i (co też odkryłam po pewnym czasie) do belwederu po południowej stronie zamku. Wariackim waleniem w przycisk uruchomiłam mechanizm dźwigu, a potem, ledwie wpadłam do metalowej klatki, rozczapierzoną dłonią przypadkowo trafiłam na tablicę kontrolną i odesłałam windę na dół.

Nie pamiętam, kiedy zaczęła zwalniać. Szeroko rozwartymi ustami ciężko łąpałam powietrze i z trudem usiłowałam podnieść się z podłogi. Winda stanęła równie gładko, jak ruszyła, brzęknął dzwonek i przez otwarte drzwi zobaczyłam pusty i cichy fragment ciemnego korytarza. Ciągłe oszołomiona, wódząc ręką po zimnej ścianie, na chwiejnych nogach postąpiłam krok naprzód.

Drzwi zamknęły mi się tuż przed nosem. Kabina znów ruszyła — tym razem w górę. Balog wezwał ją na dach. Pewnie czekał z palcem na przycisku. Uwięziona w metalowej pułapce, podążałam na pewną zgubę.

Zerknęłam na tablicę. Nie umiałam oczywiście odczytać niemieckich napisów, za to zauważyłam dużą czerwoną

wajchę. Szarpnęłam ją z całej siły. Żołądek wjechał mi do gardła, ale winda stanęła. Wgniotłam kciukiem najniższy przycisk i zwolniłam dzwignię... Po dwóch sekundach straszliwej zwłoki kabina zaczęła zjeżdżać.

Tym razem stałam z dłonią dociśniętą do drzwi. W drugą rękę chwyciłam jedyny przedmiot nie umocowany na stałe — wysoką na czterdzieści i szeroką na dwadzieścia centymetrów popielniczkę, która stała w rogu kabiny, tuż obok tablicy kontrolnej.

Brzęk. Wskoczyłam na ciemny korytarz, odwróciłam się i wepchnęłam popielniczkę między skrzydła drzwi. Właśnie zaczęły się zamykać. Metal zatrzeszczał cicho, lecz wytrzymał: w drzwiach powstała szeroka szpara.

To wystarczyło. Winda pozostała bez ruchu. Stałam w smudze światła padającego z kabiny i rozejrzałam się.

Zobaczyłam surową kamienną posadzkę, a powietrze wionęło chłodem i charakterystyczną, mokrą wonią sutereny. Pomieszczenie było zbyt szerokie jak na korytarz; po chwili już wiedziałam, gdzie jestem. Skąpy błysk równo ułożonych butelek zdradził mi, że znalazłam się w piwnicy na wino, dokładnie na złączeniu kuchni i środkowej części zamku. Ktoś wykonał kawał ciężkiej roboty, żeby przebić gruby strop lochu i dociągnąć windę aż tutaj. Zaraz, zaraz... — pomyślałam. — Jeżeli zjeżdżali tu po wino, obok drzwi powinien być kontakt...

Był. Przesunęłam palcami po ścianie i trafiłam na śliski kawałek ebonitu. Mdłe światło zabłysło w tej samej chwili, kiedy zgasła (chyba sterowana wyłącznikiem czasowym) lampa w kabinie windy.

Winda była wyraźnym dysonansem w mrocznych korytarzach zamku, ale tu wyglądała wręcz jak coś z innego świata. Ogromna krypta piwnicy rozrastała się na kształt lasu, w którym drzewa zostały zastąpione grubymi kolumnami, wspierającymi kamienny sufit. Wzdłuż ścian zalegały butelki z winem, starym, choć bez wątpienia młodszym od

samego lochu, po części, jak przypuszczałam, wykutego w litej skale. Mroczna przestrzeń między słupami zdawała się nie mieć końca. Z miejsca, w którym stałam, nie widać było żadnych drzwi ani schodów i tylko plamy głębokiej czerni znaczyły wloty korytarzy wiodących do innej części zamku.

Odwróciłam się twarzą do windy i próbowałam sobie przypomnieć układ wyższych pięter. Chciałam dokładnie wiedzieć, gdzie jestem. Tuż po prawej stronie winien być hotel i szerokie schody, a po lewej kuchnia, dalej stajnie i strażnica...

W zamyśleniu zagryzłam usta. Co teraz robi Sandor? Nie wiedziałam nawet, czy zauważył światła nadjeżdżającego samochodu. Chyba nie. Może uznał, że nie warto tracić czasu, zrezygnował z dalszej pogoni i prosto z murów popędził do stajni? A może wrócił starą drogą, przez mój pokój?

Czcie domysły. Jednego byłam pewna: nie zostanę tutaj, w krypcie pełnej posępnego echa. Musiałam wyjść na górę, na powietrze, na dziedziniec. Nie bałam się już Sandora, bo wiedziałam, że zaraz spotkam Lewisa.

Nagle uświadomiłam sobie, że to, co dla mnie było wybawieniem, dla Lewisa mogło oznaczać zgubę. Gdyby w zamku bądź na dziedzińcu natknął się na Sandora, nieświadom niebezpieczeństwa, bez broni...

Tak czy siak nie wsiadłam z powrotem do windy. Poszłam w lewo, między kolumny, w nadziei, że dotrę do wyjścia.

Znów byłam w świecie baśni; Czerwony Kapturek zabłąkana w gąszczu szarego lasu... Wokół mnie wyrastały kamienne konary, znacząc zimną posadzkę płataniną cieni. Wkrótce jasna smuga zniknęła za gęstymi pniami i zaczęłam iść po omacku, wolno, chwiejnie, coraz dalej w smolistą ciemność.

W końcu chciałam zawrócić, pobiec w stronę światła — może nawet skorzystać z windy i zaryzykować powtórne spotkanie z Sandorem — kiedy nagle, przed sobą, zobaczyłam jaśniejszą plamę. Blask księżyca wpadał przez wąskie okno w przeciwległej ścianie. Podeszłam bliżej.

Zobaczyłam nie oszkloną szczelinę w grubym, wiekowym murze. Odetchnęłam słodkim powiewem nocy. Z tamtej strony rosły strzeliste sosny, a gdzieś z oddali dobiegał cichy szum spadającej wody. Tuż przy oknie, w bladej poświacie, piętrzył się rząd kamiennych stopni. Nieco wyżej znajdowały się masywne wierzeje, obficie okute żelazem. Pomodliłam się w duchu, żeby były otwarte, i na wpół wbiegłam, na wpół wkuśtykałam na górę. Chwyciłam ciężką klamkę, naparłam na nią i pchnęłam drzwi.

Ustały lekko i bez skrzypnięcia. Ostrożnie wyjrzałam przez szparę.

Jeszcze jeden korytarz. Śliska posadzka, chodniki, przyćmione światła. Chyba okolice kuchni. Z lewej ślepy zaułek, z prawej — jakieś dwadzieścia metrów dalej — drzwi, zamknięte od wewnątrz na dwa skoble. Odryglowałam je i cicho wyszłam. Po drugiej stronie w mroku majaczyły potężne kształty. Oparłam się o drzwi i czekałam, aż oczy przywykną do ciemności.

Już wiedziałam, gdzie jestem. Trafiłam do wozowni. Najbliżej mnie stał kryty powóz, uniesionym dyszlem celujący w otwartą na dziedziniec bramę. Obok niej zobaczyłam staroświecką limuzynę. Przeszłam na palcach między pojazdami i przystanęłam w cieniu bramy, żeby rozejrzeć się po okolicy.

Przed zamkiem było pusto. Cisza. Nic się nie poruszało w srebrnym świetle księżyca, lecz chwilę później ze wzgórza dobiegł warkot silnika. Narastające echo świadczyło, że samochód dotarł do mostu. Zabłyśły reflektory i na dziedziniec wjechał duży, obcy pojazd. Zatoczył koło, omiatając światłami kąty murów, i zahamował nie dalej niż metr przed wozownią. Światła zgasły. Ucichł silnik i z auta wysiadł Lewis. Sięgnął na tylny fotel, żeby wyjąć walizkę.

Kiedy się wyprostował z bagażem w dłoni, szepnęłam:

— Lewis...

Chyba nie usłyszał. Ogarnęła mnie lekka panika — bałam

się krzyknąć głośniej lub wyjść na otwartą przestrzeń. Lewis tymczasem odwrócił się w stronę auta, wrzucił walizkę na siedzenie obok kierowcy, wsiadł i ponownie włączył silnik. Drżałam z napięcia, nie wiedząc, co robić. Usłyszałam szcęk zwalnianego ręcznego hamulca i samochód z wyłączonymi światłami z wolna wtoczył się do wnętrza wozowni.

Przypomniałam sobie reakcję Lewisa na widok kamery. Usłyszał więc szept dochodzący z mroku, lecz bał się zdradzić przed potencjalnym obserwatorem. Zaparkował tuż przy mnie i zapytał półgłosem ponad szumem silnika:

— Vanessa?

Chwilę później byłam w jego ramionach, tuliłam go tak mocno, jakbym chciała udusić, i powtarzałam w kółko:

— Kochany, kochany, kochany...

Stał spokojnie, przygarnawszy mnie jedną ręką. Drugą gładził mnie lekko, jakby miał do czynienia ze spłoszoną kłaczą. W końcu delikatnie uwolnił się z mojego uścisku.

— A to ci powitanie! Co się dzieje? — Nagle zmienił ton. — Co z twą twarzą? Coś się stało?

Zupełnie zapomniałam o bolącym policzku. Przyłożyłam palec do opuchlizny.

— Ten... cyrkowiec... Sandor Balog, Węgier, wiesz, o kim mówię. Jest gdzieś tutaj i... Lewis...

Głos mi się załamał, zaszlochałam, zagryzłam wargę i znów złożyłam głowę na jego ramieniu.

— Uspokój się, kochanie... Już wszystko dobrze. Mówisz o linoskoczku? To on cię pobił? Popatrz na mnie... Nie masz się czym martwić. Jestem tutaj... Lepiej? Świetnie. Możesz mi opowiedzieć, co zaszło? Tak prędko, jak potrafisz.

Był bez wątpienia wściekły, ale nie zdziwiony. Uniosłam głowę.

— To z powodu Baloga wciąż używasz nazwiska Elliott? Dowiedziałeś się o nim?

— O nim, nie. Ale spodziewałem się najgorszego... zwłaszcza kłopotów z cyrkiem. Teraz może to niepotrzebne.

Módlmy się, żeby jeszcze nie minęli granicy. Mów, kochanie. Szybko.

— Tak... zaraz... ale on tu gdzieś krąży. Ma pistolet.

— Ja też — rzeczowo stwierdził Lewis. — I na pewno nie damy mu się zaskoczyć. Co jest za tymi drzwiami?

— Tylne przejście, chyba do kuchni. Wysłałam tędy z piwnicy.

— Biedactwo... Chodź, przysiądź tutaj, za samochodem... Jeśli Balog nadejdzie z tej strony, od razu go zobaczymy. Mów szeptem, Van. Opowiadaj...

— Już. Nic mi nie jest. Wszystko zaczęło się wtedy, kiedy Annalisa oddała nam starego Srokacza, który niegdyś należał do wuja Franzla. Tim dziś wieczorem sprowadził konia tutaj, a ja przywiozłam siodło...

W urywanych zdaniach przedstawiłam mu przebieg wydarzeń. Powiedziałam nawet o broszce i o portrecie.

— Balog chyba wrócił do mojego pokoju. Po klejnoty. Co prawda stwierdził, że są bez wartości, ale podejrzewam, że kłamał. „Marzenia dla przeklętych”, mówił. „To najlepszy towar do handlu”. Wciąż domagał się siodła, chociaż nie bardzo wiem po co. W każdym razie tu przyjdzie, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście ukryłam je w skrzyni na kuku rydżę. Pewnie widział lub słyszał nadjeżdżający samochód... i teraz czeka, by się wymknąć, jak wejdiesz do hotelu. Jeśli zostaniesz tu dłużej, zacznie coś podejrzewać. A jeżeli wejdiesz do holu, pozna cię, a wtedy... wtedy...

Lewis przestał mnie słuchać. Owszem, stał tuż obok, ale pochylił głowę, zatopiony we własnych myślach.

— „Marzenia dla przeklętych...” — powtórzył cicho. — Zaczynam rozumieć. I wciąż szukał siodła? — Uniósł wzrok i dodał triumfalnym szeptem: — Boże, chyba już wszystko jasne! Nie, nie teraz. Dowiesz się później. Gdzie są stajnie? Za ścianą?

— Tak, tam. Drzwi za powozem. A tędy od dziedzińca.

— Dobrze... Wątpię, żeby Balog wrócił do zamku. Mo-

zesz mu wierzyć: „klejnoty" są na pewno fałszywe. Po co by kłamał, skoro i tak chciał cię usunąć z drogi? Zwrócił uwagę na broszkę, bo świadczyła o tym, że dotykałaś siodła. Myślisz, że miał dość czasu, by przed moim przyjazdem zejść z dachu, zakraść się do stajni i uciec?

Zastanowiłam się.

— Trudno powiedzieć... Dla mnie minęły lata, choć wszystko trwało zaledwie parę minut... Nie. Nie zdążył.

— W takim razie albo wciąż siedzi na bramie i czeka na sprzyjającą chwilę, albo jest już w stajni, ale zwleka, póki nie wyjdę. Na pewno słyszał lub widział, że przyjechałem. Zaraz... niech pomyślę.

Zniknął jak duch. Od strony samochodu dobiegł głośny rumor, skrzyp tapicerki, pomruk, jazgot silnika, potem chwila ciszy, szuranie butów i na koniec trzaśnięcie drzwiami.

Lewis był znów przy mnie, z walizką w dłoni. Przygarnął mnie do siebie. Czułam jego spokojne bicie serca i miarowy oddech na swoich włosach. Z wolna zaczęłam się uspokajać. Dobrze przekazać sprawę w ręce zawodowca — pomyślałam. Zamiast pary wystraszonych angielskich turystów do walki z bestią w czarnej skórze stawał nasz człowiek (czasowo) w Wiedniu.

— Pójdę do frontowych drzwi — oznajmił Lewis. — Na pewno na to czeka. Postaram się, by mnie nie rozpoznał, a samochód jest całkiem inny. Tym razem wzięłam mercedesa. Wrócę zaraz tak samo, jak ty przyszłaś. Rozkład zamku jest prosty, więc nie zajmie to więcej niż dwie minuty. Wytrzymasz?

— Tak.

— Dzielną dziewczyna, ale nie siedź tutaj, to zbyt niebezpieczne. Schowaj się gdzieś. Nie w samochodzie... a co z powozem? Otwarty. Wejdziesz tam i ani mru-mru. Za chwilę wrócę.

— Co planujesz?

— Zdaje mi się, że nasz Węgier będzie chciał jak najprędzej

zwinąć skrzydła i bezpiecznie dotrzeć do swoich mocodawców. Z przyjemnością popatrzę na ich spotkanie. Niech więc myśli, że może sobie bezkarnie wziąć to siodło.

— Puścisz go? Teraz? Dzisiaj? Tak po prostu?

Pogładził mnie po obolałym policzku.

— Jak go dorwę, już nie będzie skakał po linie — odparł. — Ani po niczym innym. Ale teraz muszę myśleć o pracy.

— Wiem.

Z jego głosu wyczułam, że się uśmiecha.

— Wierz mi, siniak na twojej buzi jest wart więcej niż stos tajnych papierów, lecz niestety, wciąż pozostaje na usługach rządu.

— Wierzę. Mną się nie przejmuj.

— Włóż do powozu i cisza. To nie potrwa długo.

— Lewis...

— Tak?

— Mmmmm... Bądź ostrożny. To prawdziwy bandyta. Zachichotał.

W starym powozie czułam się jak w sejfie. Wnętrze wypełniała woń stęchlizny, starej wytartej skóry i siana. W oknach wisiały ciężkie, grube zasłonki; wyglądały na brokatowe. Po omacku rozwiązałam przytrzymujące je troki i odgrodziłam się od ostatniej plamki światła. Potem przycupnęłam na ławce; zaczęłam czekać.

Nic nie widziałam, bezpiecznie zagrzebana w ciasnym pudle, mogłam jednak bez trudu nasłuchiwać. Powóz miał oszklone okna, jak we współczesnych pociągach, ale w narożniku od strony stajni chyba brakowało kawałka szyby. Czułam stamtąd powiew powietrza, a po chwili usłyszałam także cichy szelest kroków dobiegający z dziedzińca i zgrzyt otwieranych drzwi stajni.

Powóz stał tuż przy wewnętrznych drzwiach, ze dwa metry

od ściany oddzielającej wozownię od stajni. Pomalutku rozchyliłam zasłonki. Było ciemno, ale w szparze nad progiem zajaśniała chwiejna smuga światła. Stawała się coraz szersza, gdyż Sandor, z latarką w rękę, podchodził coraz bliżej do skrzyni na kukurydzę.

Nie zachowywał się szczególnie cicho. Bez wątpienia widział spóźnionego gościa i miał prawo sądzić, że to mój mąż, lecz najwyraźniej uznał, iż minie sporo czasu, nim Lewis trafi do pokoju, zauważy moje zniknięcie i rozpocznie poszukiwania. Liczyła się tylko ucieczka z łupem.

Wiek skrzyni odskoczyło z cichym metalicznym brzękiem. Rozległo się szuranie, potem szmer opadających ziaren kukurydzy. Siodło pacnęło o ziemię i zaraz szczęknęło zamknięte wieko.

Wbrew moim podejrzeniom Sandor nie zamierzał od razu uciec. Nadstawiłam uszu, żeby dowiedzieć się, co robi, ale skazana byłam wyłącznie na domysły... Znów szuranie, prędki oddech i chyba trzask pękającej nici. Skoro zbrakło „klejnotów”, musiał chyba rozedrzeć siodło... Zatem Lewis miał rację: błyskotki były bez wartości. Wnętrze siodła skrywało coś cenniejszego. Sandor nie zamierzał dźwigać całego ciężaru, ale rozerwał szwy, aby dotrzeć do łupu. Przypomniałam sobie, jak ochotczo zaproponował, że zaceruje nadprutą kulbakę...

„Dwie minuty” — powiedział Lewis. Nie miałam ze sobą zegarka, więc nie wiedziałam, ile czasu upłynęło. Może minęły dwie minuty, może cztery, może czterdzieści?... W każdym razie dość szybko zapanował spokój. Znów zaskrzyptały drzwi stajni i rozległo się echo cichych, lecz mniej ostrożnych kroków.

Nagle, z przerażeniem rozpoznałam głos Tima:

— Kto tu... Herr Balog?! Co pan robi? — Potem o wiele ostrzej: — Po co panu to siodło? Co się dzieje? Gdzie Vanessa? Ach, ty...

Szelest nóg, krótka szamotanina i zdławiony okrzyk. Głuchy stuk i niknący w dali tupot. Ktoś wypadł ze stajni, przebiegł skrajem dziedzińca, przez bramę, w stronę mostu.

— Timothy! — Udało mi się otworzyć powóz. Zeskoczyłam na klepisko, lecz omal nie upadłam, gdyż nie trafiłam nogą na schodek. Plama światła zniknęła wraz z Sandorem, ale znalazłam klamkę, szarpnęłam masywne drzwi i chwilę później byłam już w stajni.

Przez zasnutą pajęczyną okno błady księżyc oświetlał zagrodę opatrzoną imieniem „Grane”. Obok pojemnika z kukurydzą leżały resztki siodła i zwinięty w kłębek Timothy.

Klęknęłam przy nim i omal nie rozbeczałam się z radości, kiedy stwierdziłam, że się rusza. Przyłożył rękę do głowy i uniósł się na łokciu.

— Vanessa? Co się stało?

— Nic ci nie jest, Tim? Gdzie cię uderzył?

— W głowę... nie, chybił. W kark... Strasznie boli, ale chyba wszystko w porządku. To ten łotr, Sandor, wiesz...

— Wiem. Nie myśl o nim. Na pewno jesteś cały? Upadłeś z takim hukiem, że było słychać za ścianą. Wystraszyłam się, że trafiłeś głową w skrzynię.

— Raczaj łokciem. O, tak... samą kością. — Usiadł i energicznie potarł zbolełe miejsce. — Czeka mnie pewnie paraliż do końca życia. Świnia... Uciekł? Zniszczył całe siodło. Co, do diaska?...

— Co, do diaska?... — tuż za nami jak echo rozległo się z cienia.

Podskoczyłam jak oparzona. Nie nadawałam się na agentkę. Tim także. Przecież to mógł być Sandor. Chociaż... Lewis też przez jedną fantastyczną chwilę wyglądał groźnie, niczym postać z przestępczego świata.

Potem jednak pistolet zniknął z jego dłoni i zabrzmiał spokojny głos:

— Aaaa... Timothy. Przyłapałeś go na gorącym uczynku? Skąd się tu wziąłeś? Nieważne. Trzeba ścigać Baloga. Zauważyłeś, co zabrał?

— Parę paczek, płaskich... jak reklamowe próbki proszku

do prania, które rozrzucają pod drzwiami. — Tim zapomniał o łokciu i dźwignął się na nogi. — Jednej nie wziął. Leżałem na niej.

Zanim zdążył na dobre wstać, Lewis miał już w dłoni zawiniątko. Był to wypchany pakiet, nie większy od zwykłej szarej koperty, tyle że z folii. Lewis wyciągnął nóż, ostrożnie naciął róg paczki, powąchał, wytrząsnął na dłoń grudkę białego proszku i dotknął jej językiem.

— Co to? — spytał Timothy.

Lewis nie odpowiedział. Zwinął nacięty róg i rzucił pakiet wprost w ręce chłopca.

— Przechowaj to, ale tak, żeby nikt nie widział — powiedział ostro. — Jak się czujesz?

— Dobrze.

— Więc zostaniesz z Vanessa.

— Tak, tylko...

Ale Lewisa już nie było. Trzasnęły drzwiczki auta i rozległ się pomruk silnika.

Kiedy tył mercedesa ukazał się w drzwiach wozowni, skoczyłam na dziedziniec. Samochód zatoczył ciasny łuk i stanął. Szarpnęłam klamką. Lewis pochylił się, odblokował zamek i pozwolił mi otworzyć drzwiczki.

— Tak?

— Jadę z tobą. Nie zabraniaj mi, proszę... Obiecuję, że nie będę przeszkadzać. Nie zostawiaj mnie.

Wahał się tylko chwilę. Potem skinął głową.

— Wsiadaj.

Wgramoliłam się na przedni fotel. Tim sięgnął mi nad ramieniem i odblokował tylne drzwiczki.

— Ja też, panie March. Przydam się. Pomogę... Bardzo chciałbym.

Lewis nagle wybuchnął śmiechem.

— Dasz mały palec, zażądają ręki — zawołał wesoło. — Co mam robić? Pakuj się, byle prędko.

Ledwie Tim zdołał zająć miejsce, auto strzeliło naprzód,

skręciło z piskiem opon i jak pocisk wypuszczony z procy przemknęło pod bramą. Fragment kamiennego muru błysnął w światłach, zniknął z tyłu, młasnawszy jak rozjechany ślimak, most zaskowyczał pod kołami, później reflektory zgasły, silnik przycichł i zapadliśmy w stromy tunel między sosnami.

ROZDZIAŁ XVII

...skoro Ludwik dziś zwycięży...

Szekspir:
„Życie i śmierć króla Jana” *

— Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby włączył światła — mruknął Lewis tak beznamyślnie, jakby jechał na spotkanie pociągu. — Mimo wszystko rozglądajcie się dobrze, może go będzie widać.

— Miał samochód? — spytał Timothy.

— Łazik. Stał przy drodze, między drzewami. Na pewno jego. Patrz na szosę.

Mercedes wziął zakręt i wszedł w serpentynę. Wbiłam wzrok w okno, na czerniejącą ścianę drzew. Przez chwilę nic nie widziałam, ale potem, na kolejnym zakręcie, zobaczyłam hen w dole krótki błysk światła.

— Jest! — krzyknęliśmy równocześnie z Timem. — Tam!

— Na moment włączył reflektory — dodałam szybko. — Teraz znów zgasił.

— Gdzieś w tym miejscu stoi chata drwala — odezwał się Timothy. — Pamiętacie? Chyba ją oświetlił.

— Szlag by trafił — zamruczał Lewis. — Niedobrze.

— Dlaczego?

— Tuż obok jest leśna droga. Pewnie w nią skręcił.

* przekł.: Stanisław Koźmian

Włączył światła, bo szukał wjazdu. Terenowy wóz przejedzie tamtędy bez trudu, ale nasz... to już inna sprawa. Zobaczmy. Teraz kolej na ciebie, Tim. Co cię sprowadziło do stajni?

— Nie wiem. Obudziło mnie jakieś wołanie... Krzyczałaś, Vanesso?

— Tak.

— Pewnie to... Nie jestem pewien. Tak to bywa, człowiek leży z otwartymi oczami i w gruncie rzeczy nie wie, co go obudziło. Nasłuchiwałem trochę, ale wokół panowała cisza, więc doszedłem do wniosku, że się przesłyszałem. Potem... znowu nie wiem... coś mnie zaczęło dręczyć. Wstałem i podszedłem do drzwi. Słyszałem jakiś chrobot, więc ostrożnie wyjrzałem na korytarz. Pusto, lecz z pokoju Vanessy dobiegał hałas. Tak mi się wydawało.

— Pewnie wówczas, kiedy otworzył wewnętrzne drzwi — wtrąciłam. — Zaskrzypiały dość głośno.

— Tak? W każdym razie... pomyślałem, że to pan, i nie chciałem się głupio wtrącać. Wróciłem do pokoju, ale nie mogłem zasnąć. Podszedłem do okna iostałem tam parę minut. Podziwiałem księżyc, rozmyślałem... W pewnej chwili zauważyłem, że ktoś chodzi po blankach, w pobliżu bramy. Nie widziałem dokładnie kto, bo drzewa zasłaniały widok, więc początkowo uznałem, że to tylko złudzenie. Potem jednak nabrałem pewności. Ubrałem się i pobiegłem do Vanessy. Wiecie, takie dziwne sprawy zawsze budzą moją ciekawość...

— Wiemy — odparł Lewis.

— Uchyliłem zewnętrzne drzwi jej pokoju, żeby zapukać do drugie, no i okazało się, że pokój jest otwarty, a w środku nikogo nie ma. Rozsunięte kotary świadczyły o tym, że ktoś wyszedł na blanki. Rzecz jasna, wyszedłem także. Było mi nieswojo... Pomyślałem nawet, że zabrał pan Vanesse na romantyczny spacer, czy coś w tym rodzaju... Chociaż z drugiej strony, te kotary i te otwarte drzwi... Szedłem więc po cichutku i dotarłem do połowy dachu. Zobaczyłem jadące

auto. Zatrzymałem się i w ukryciu czekałem, co dalej. Kiedy wszedł pan do zamku, nie minęły nawet dwie sekundy, jak coś się poruszyło. Nie poznałem Sandora, ale... Zeskoczył ze szczytu baszty i zbiegł po schodach na dziedziniec. Potem zniknął w stajni.

— Oczywiście poszedłeś za nim — cierpko wtrącił Lewis.

— Oczywiście — odparł Timothy z lekkim zażenowaniem. — No... ten krzyk, tajemnica i tak dalej... Nie wiedziałem, co robić. Zląkłem się o starego Srokacza. Po pierwsze był kradziony, po drugie: nadal cenny... Bez namysłu zszedłem do stajni i zastałem Baloga w chwili, kiedy kończył rozpruwać siodło. Krzyknąłem: „Co pan robi?“, a on skoczył na mnie. Przepraszam, jeśli coś popsułem...

— Niezbyt wiele. Pewnie trochę go wystraszyłeś, to wszystko. Wciąż pozostaje w zasięgu ręki; raczej go nie zgubimy. W każdym razie, jestem ci bardzo wdzięczny, że opiekowałeś się moją żoną.

— Och... — Timothy głośno przełknął ślinę, ale zaraz, jak przystało na prawdziwego mężczyznę, odzyskał rezon: — Nie ma sprawy, zawsze do usług...

— Wierz mi, wykonałeś kawał dobrej roboty. Czy tego chciałeś, czy nie, po mistrzowsku zdobyłeś cenny dowód. Wreszcie wiem, o co chodzi. Dziękuję.

— Hipokryta — mruknąłem bez urazy.

Lewis wyszczerzył zęby.

— Co jest w paczce? — dopytywał się Tim. — Coś cennego?

— Owszem. Dobrze jej pilnuj. O ile się nie mylę, to kokaina wartości kilkuset funtów.

— Kokaina! Narkotyki? Przemyt i tak dalej? Kurczę! — Timothy ani trochę nie był wystraszony. Wręcz przeciwnie, z jego głosu aż biło podniecenie i niekłamana radość. — Kurczę... Vanesso, słyszysz? Sandor Balog, co? Wiedziałem, że to łobuz! W siodle było przynajmniej sześć paczek. Może więcej... Gruba afera.

— Właśnie — z niezmaconym spokojem dodał Lewis. — Gruba afera. A będzie jeszcze grubsza. Rzeczywiście chodzi o przemytników. Zdaje mi się, że pewna para opiekunów zaginionego lipicana wpadła na trop bandy od dawna poszukiwanej przez policję. Ale nie czas na takie rozważania. Widać chatę. Trzymajcie się.

Mercedes z piskiem zahamował. Tuż przy drzwiach zobaczyłam przecinkę wśród gęsto rosnących drzew. Droga biegła w górę i ostrym łukiem znikwała w lesie.

— Zaczekajcie — rzucił Lewis i wysiadł. Pochylił się nad ziemią, w jasnym świetle księżyca szukając śladów.

Chwilę później był już z powrotem i skierował samochód na szosę.

— Nie skręcamy? — spytałam.

— Nie. Czysto. Dzięki Bogu, pojechał główną drogą.

— Twoim zdaniem nie wraca do cyrku?

— Raczej nie. Widział, że przyjechałem, więc ma wszelkie prawo sądzić, że zaraz po spotkaniu z wami podniosę alarm. Z tym... hmm... ładunkiem potrzebuje lepszego schronienia. Przecież wystarczy jeden telefon na policję, żeby tabor zawrócono z granicy i przeszukano od dzioba do rufy... o ile takie określenie pasuje do cyrku.

— Jedyne, jakie znasz — odparłam.

— Służył pan w marynarce? — zaciekawił się Timothy.

— Do spółki z kumplem miałem kiedyś czterometrową łajbę i ze dwa razy osiadłem na mieliźnie koło Norfolk. Jeśli to uznać... Czekaj, zdaje mi się, że nasz ptaszek rzucił kotwicę.

W ciemnościach zajaśniały czerwone światła stopu. Mercedes zwolnił. Drzewa rosły tu o wiele rzadziej i widzieliśmy następny zakręt. Byliśmy mniej więcej w połowie stoku. Światła łazika zgasły, potem zabłyśły znowu, gdy samochód dotarł do mostu.

— Zobaczmy, w którą stronę skręci — odezwał się Lewis. — Pewnie w lewo... Założę się, że nie zechce wracać przez Zechstein. Widzicie go?

— Tak... — Tim wyciągnął szyję. — Znow przyhamował. Skręca w lewo, z dala od wioski. Jak myślicie, co teraz zrobi?

Mercedes gładko pomknął w dalszą drogę.

— A co ty byś zrobił, kolego? — zapytał Lewis.

— Zadzwoił do szefa — bez namysłu odpowiedział Tim. — Nie dam sobie wmówić, że ten łotrzyk jest kimś więcej niż zwykłym wyrobnikiem. Nie on podejmuje decyzje.

— Na to liczę... Na to, że ów „łotrzyk" wskaże palcem lepszych od siebie. Jeśli nawet nie szefa w Wiedniu, to przynajmniej lokalnego mafiosa. Byłbym rad, gdybym zdołał go nakryć przy tej właśnie okazji — powiedział Lewis.

Ciekawiło mnie, czy brał pod uwagę ewentualny wyjazd za granicę.

— Odzyskał towar — ciągnął. — Może nawet myśli, że cały. Zaskoczyliście go, to prawda, ale zbyttnio się nie przestraszył, bo zapewne nie podejrzewa, że wciąż jesteśmy na jego tropie, nie wspominając już o policji. Ze sposobu, w jaki operuje światłami, można wnosić, że nic nie wie o pościgu. Będziemy go obserwować.

— Na jego miejscu jak najszybciej chciałbym się pozbyć łupu — zauważył Timothy.

— Nie wątpię. Przy odrobinie szczęścia możemy to zobaczyć.

— Przecież wiemy, że jest przestępcą... Ach, chodzi panu o to, żeby nakryć kolejnego łącznika.

Ze zdziwieniem stwierdziłam, że Timothy gładko przełknął przemianę Lewisa z handlowca PEC w uzbrojonego pracownika wywiadu. W gruncie rzeczy mogłam przecież przewidzieć, że tak się stanie. Chłopak nie był głupi, a ja nie umiałam logicznie wyjaśnić, z jakiego to powodu mój mąż używał pseudonimu Lee Elliott. Teraz, gdy „pan Elliott" zjawił się z pistoletem w dłoni, głową pełną pomysłów, gotów bez wahania pognać za przemytnikiem narkotyków, nasuwał się dramatyczny, lecz oczywisty wniosek.

Nie czekałam długo na potwierdzenie tych domysłów.

Właśnie wjeżdżaliśmy na most, kiedy Tim wsunął głowę między przednie fotele.

— Jaka to broń?

— Beretta, kaliber trzydzieści dwa — odparł Lewis.

Timothy westchnął z niekłamanym zadowoleniem.

Mercedes przemknął cicho po wąskim moście. Skręciliśmy w główną drogę na północ, w głąb doliny.

— No i dobrze — zamruczał Lewis. — Ruszamy dalej. Dzięki Bogu, że księżyc świeci.

Mercedes skoczył naprzód.

— A co będzie, jak skorzysta z budki telefonicznej? — spytał Tim. — Można sprawdzić, do kogo dzwonił?

— Nie, lecz nie sądzę, żeby do tego doszło. Widzisz, w Austrii połączenia automatyczne służą tylko do rozmów miejscowych. Gdyby Balog dzwonił do Wiednia albo pod jakikolwiek numer poza obszarem *Bezirk*, czyli powiatu, musiałyby to zrobić z prywatnego telefonu... a prywatną rozmowę łatwo namierzyć.

— Teraz, w nocy, mógłby najwyżej poprosić znajomych...

— Właśnie. A każdy koleś Baloga, mieszkający blisko granicy i o trzeciej rano użyczający telefonu, wart jest starannej obserwacji.

— Zwłaszcza jeśli „Węgierski Rapsod” przy okazji zostawi paczkę — dodał Timothy.

Lewis znów błysnął zębami w uśmiechu.

— Otóż to — stwierdził i umilkł, wpatrzony w szosę.

Jechaliśmy dość szybko. Przez jakiś czas nikt nic nie mówił.

Droga biegła wzdłuż rzeki, wciśnięta między brzeg i skaliste zbocze, pod drzewami, których smoliste cienie raz po raz przesłaniały jasną tarczę księżyca. Lewis nadal nie włączał reflektorów, a mimo to wydawało mi się, że widać nas tak wyraźnie jak muchę na szybie. Obejrzałam się. Hen, wysoko majaczyły zdobione złotem wieże Schloss Zechstein. Potem przemknęliśmy pod wiaduktem i minęliśmy tak źle wyprofilowany zakręt, aż opony zaszumiały po wyboistym *pave*.

— Tam! — zawołał Timothy.

— Tak — zgodził się Lewis.

W tej samej chwili też dostrzegłam czarny, uciekający cień o kanciastych kształtach dżipa. Wspiął się na płaskie wzgórze, jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów od nas. Na szczycie widziałam go wyraźnie, później zniknął.

— O ile pamiętam, dojeżdżamy do lasu — odezwał się Lewis. — Skorzystamy z osłony drzew, chociaż wątpię, żeby patrzył za siebie. Dalej jest wieś. Wyjmij mapę, Van. Obok znajdziesz latarkę. Ile nam zostało do wioski?

Zrobiłam, co kazał.

— Wieś nazywa się Saint Johann i leży tuż za lasem. Stąd około dwóch kilometrów. Nie więcej.

— Świetnie. Pewnie mają budkę telefoniczną.

Chwilę później wyjechaliśmy na szczyt wzgórza. Tuż przed nami, zgodnie ze słowami Lewisa, rozciągało się ciemne pasmo drzew, istna lawina pni i gałęzi, spływająca z górskiego zbocza aż na skraj rzeki. Nieco dalej, w księżycowej poświacie białął rząd domów i kościół ze strzelistą wieżą, zakończoną błyszczącym kurkiem. Wieś zniknęła w mgnieniu oka, samochód pomknął w dół wzgórza gładko i cicho niczym winda w zamku Zechsteinów i wjechaliśmy w tunel między sosnami. Droga biegła przez las prosto jak strzełił, a w oddali błyskały żółte kule lamp ustawionych przy głównej ulicy.

Koniec drzew. Chyba oczekiwałam, że Lewis zostawi samochód w lesie i pokusi się o mały pieszy rekonesans w wiosce, ale on włączył światła, zwolnił i z rozsądną prędkością wyjechał na ulicę.

Wieś była małeńka. Zobaczyłam niewielki *Gasthof*o jaskrawię pomalowanych ścianach, białą chatę przytuloną do rozłożystego drzewa, studnię, rząd cyprysów pod murem kościoła, stodołę, a obok **sagi** drewna oraz małą kafejkę i błysk szyby na rogu, gdzie stała przeszklona budka telefoniczna...

Pod cyprysem parkował łazik.

Z głośnym szumem silnika skręciliśmy za róg, w górę zbrocza na tyłach stodoły, do drewnianego mostu.

— Był tam — z podnieceniem wyszeptał Tim. — Widziałem go.

— Zauważyłam dżipa — dodałam.

— Wszedł do budki, tak jak pan mówił — gorączkował się Tim.

Lewis nie odpowiadał. Tuż za wioską znów trafiliśmy do lasu. Gdy wjechaliśmy między drzewa, zgasił reflektory, zahamował, wykręcił i zawrócił.

Wielki samochód z wyłączonym silnikiem z wolna zsunął się po łagodnym zboczu. Nawet drewniany most miniliśmy bezgłośnie, gdyż szum potoku pędzącego na spotkanie rzeki skutecznie tłumił wszelkie hałasy. Potem zjechaliśmy z szosy na sztywną trawę za stodołą, w mrok pobliskiego sadu. Zatoczyliśmy koło i stanęliśmy tuż pod ścianą budynku, niewidoczni z ulicy.

— Głowy w dół — cicho powiedział Lewis. — Bałog pomyśli, że ktoś po prostu zaparkował tu na noc. Jeśli nawet zwrócił uwagę na spokojnie przejeżdżające auto z włączonymi światłami, sądzi pewnie, że jest już daleko. Zobaczymy, dokąd go poniesie, jak skończy rozmawiać przez telefon. Teraz wychodzę. Proszę was, bądźcie cicho, dobrze?

Wysunął się z mercedesa, zamknął delikatnie drzwi i po chwili przepadł w cieniu domu.

Cichaczem uchyliłam okno, żeby posłuchać, co się dzieje, ale zewsząd dobiegały jedynie stłumione odgłosy nocy. Gdzieś w pobliżu krowa ruszyła się w oborze i słodkim, głębokim tonem sennie brzęknął dzwonek. Pies szczęknął łańcuchem, warknął raz i zapadła cisza. Nagle, znacznie bliżej, rozległo się donośne pianie koguta. Dopiero teraz zauważyłam, że księżyc poblądł i szary świt pomalutku wpełzał na niebo.

Timothy siedział bez słowa, ale za moim przykładem otworzył okno. Zerknęłam w tył. Tim odpowiedział mi

radosnym uśmiechem, pełnym szczerzej i niczym nie skażonej ekscytacji.

Warkot zapuszczanego silnika zabrzmiał niczym huk gromu. Koła zaskrzypiały na żwirze; łaźnik wyjechał na szosę.

Szybko skinęłam na Tima, ale on już zdążył się ukryć. Zanurkowałam pod deskę rozdzielczą. Warkot narastał, lecz z miejsca, w którym siedziałam, trudno było określić, czy Balog pojechał w lewo, czy w prawo. Potem zahuczało tuż przy stodole. Łażnik przemknął ulicą parę metrów od nas.

A więc ciągle jechał na północ. Most załomotał głucho. Ostrożnie wystawiłam głowę, ale samochód już zniknął w leśnym cieniu. Nadal miał wyłączone światła.

Chwilę później wrócił Lewis. Bez słowa zasiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk. Ruszyliśmy w pogoń, zanim na dobre zdążył trzasnąć drzwiami.

— Strasznie nabuzowany — zauważyłam.

— Tak? — mruknął Lewis.

Strzałka szybkościomierza przeszła w prawo i tam zamarła.

Timothy wetknął głowę między przednie fotele.

— Nie zakopał towaru w cieniu starej obory?

— Nie. Nic też nie oddał jednookiemu Chińczykowi z drewnianą nogą. Nie szkodzi. Bez wątpienia dostał nowe rozkazy. Można powiedzieć, że my także.

— Rozkazy?

Tim po raz pierwszy bezpośrednio nawiązał do profesji Lewisa, lecz otrzymał spokojną i — w tych warunkach — wiarygodną odpowiedź:

— To przerośnia. Nie jestem policjantem, Tim, ale zwykłym obywatelem, wpłątany w tę aferę w czasie, kiedy wykonywałem całkiem inne, poufne zlecenie mojej firmy. Obie sprawy łączy postać Paula Denvera, który trafił na jakiś trop chyba w Czechosłowacji (tam też ostatnio bawił tabor) i zaczął działać na własną rękę. Może zginął przypadkiem, chociaż w świetle ostatnich wydarzeń sądzę raczej, że

został zamordowany. Franz Wagner odkrył zawartość siodła i, jak to się mówi, wygadał się po pijaku... Balog musiał go słyszeć, przestraszył się, a potem, po przyjeździe Paula, postanowił obu uciszyć na dobre. Może przysiadł się do nich, czekał, aż Franzl przyśnie, zmożony wódką, ogłuszył Paula, zrzucił lampę i podpalił wóz. Przecież Franzl już kiedyś spowodował pożar... Nie wiem tylko, jak zaskoczył Paula, ale, Boże, pomóż, wydobędę to z tego cholernego Węgry jeszcze przed końcem nocy.

Nie zmniejszając prędkości, szarpnął kierownicą w lewo, żeby wyminąć leżącą na drodze gałąź.

— Przepraszam — powiedział. — A wracając do sprawy, nie mamy oficjalnego wsparcia. Zwykłym zrządzeniem losu, przez pewnego chorego konia, zjawiliśmy się pierwsi na miejscu przestępstwa. Teraz zyskałem dodatkowy powód, by pogawędzić z Herr Balogiem... Z drugiej strony, zrobiłem wszystko, żeby uprawomocnić nasze działania. W Schloss Zechstein porozumiałem się z Wiedniem.

— Z Wiedniem? — zapytałam oględnie.

— Z przyjacielem — swobodnie odparł Lewis. — Narkotyki to działka sekcji specjalnej Interpolu. Co prawda nie znam nikogo stamtąd, lecz swego czasu współpracowałem z Interpolem. Parę lat temu — rzucił przez ramię na użytek Tima — jeden z moich austriackich klientów sfalszował zezwolenie na import chemikaliów. Zadzwoiłem więc teraz do dawnego kumpla, wspominałem, że jesteśmy na tropie przemytników, i zapytałem przy okazji, czy nie zanotowano ostatnio większej kradzieży klejnotów. Okazało się, że nie. Ani w Monachium, ani gdzie indziej. Tak więc możesz zatrzymać „szafir”, Van... Interpol sądzi, że Sandor jest członkiem od dawna poszukiwanego gangu, a zdobycz Tima w pełni potwierdza te podejrzenia. Oczywiście, na jakąkolwiek pomoc trzeba nieco poczekać, zwłaszcza że nikt z nas nie wie, gdzie zakończymy pościg. Lada chwila na szosę wyjadą wozy patrolowe z zadaniem odnalezienia dżipa,

cyrk zatrzymają na granicy, a komendant policji w Grazu czeka na mój telefon.

— W takim razie nie możemy się zgubić.

Tim usilnie próbował naśladować chłodny ton głosu Lewisa, ale nie umiał w pełni zapanować nad podnieceniem. Zauważyłam, że Lewis uśmiechnął się do siebie i nagle zrobiło mi się dziwnie miękko na sercu.

— Oficjalnie czy nie, Boże chroń nas, jeśli coś popsujemy — stwierdził. — Masz mapę, Vanesso?

— Tak.

— Chcę jak najbliżej podjechać do Baloga, ale tak, by go nie wystraszyć. Poprowadzisz mnie, chociaż dosyć dobrze znam tę część świata. Gdzie jest następny rozjazd?

Pochyliłam się nad mapą i wytężyłam wzrok. Wąski promień światła z kieszonkowej latarki co chwila uciekał w bok, bo mercedes podskakiwał na krętej i wyboistej drodze.

— Zaraz wyjedziemy z lasu. Wzdłuż rzeki jest kilometr wolnej przestrzeni. Powinniśmy zobaczyć łązik... Potem szosa odchodzi w bok, mnóstwo zakrętów, znów las... Tak. Dalej most, ale nie przez rzekę, tylko nad potokiem... Dolina skręca w lewo, na zachód. Jeszcze jakieś pięć kilometrów. Wokół pusto, w wyjątkiem paru bocznych dróg.

— Bocznych dróg? Jak są oznaczone? Podwójną linią?

— Chwileczkę... Pojedynczą, w dodatku przerywaną. Polne drogi. Zaraz, zaraz, widzę jedną podwójną. Bardzo krótka, prowadzi w dół, do zagrody... Musieliśmy ją minąć. Była na samym skraju lasu. Wybacz. Przegapiłam ją wcześniej.

— Nie szkodzi. Tam nie skręcił.

— Dlaczego? — chciał wiedzieć Timothy.

— Bo nie musiałyby dzwonić. To zaledwie półtora kilometra od budki. Mów dalej, Vanesso.

— Większy rozjazd jest osiem kilometrów przed nami, w miejscowości Zweibrunn Am See. Mała wieś: hotel i parę domów na brzegu niewielkiego jeziora. Droga, którą jedziemy,

biegnie dalej prosto, druga w samym środku wioski odbija w lewo. Nie widzę dokładnie... ale jest bardzo kręta, więc przypuszczam, że prowadzi pod górę. Tak. Ślepy koniec, w połowie zbrocza. Główna mija wioskę...

— Zweibrunn Am See? — wtrącił Timothy. — Josef wspomniał tę nazwę. Pamiętasz? To maleńki kurort, początkowa stacja kolejki zębatej.

— Rzeczywiście. W takim razie, ta boczna droga bez wątpienia wiedzie pod górę. Chyba zaznaczyli też kolejkę. Taka kreska podobna do rybich ości? Biegnie prosto do nikąd.

— Kolej zębata? — spytał Lewis. — Chyba wiem, o czym mówisz. Na samym szczycie jest *Gasthaus* i restauracja. Dość wysoko, z osiemset metrów od dna kotliny. Twoja droga biegnie pewnie w to samo miejsce. Uff!... — sapnęła z ulgą. — No, to mamy za sobą najgorszy odcinek. Takie miejsca powinni oznaczać rybią ością.

Wyjechaliśmy z cienia drzew w otwartą dolinę. Nawierzchnia była gładka i prosta jak strzelił, więc mercedes skoczył żwawo, niczym rumak tknięty ostrogą.

— Mamy go — wycedził Lewis.

Rzeczywiście, paręset metrów przed nami widać było uciekającą plamę. Po prawej, płynnym srebrem połyskiwała rzeka, błądy księżyc oświetlał szosę zamierającym blaskiem. Biały całun porannej mgły spowijał mokre łąki. Bydło po kolana brodziło w oparach. Chłodny wiatr, wpadający od mojej strony przez wpół przymknięte okno, niósł ze sobą ostry zapach sosen.

— Nie zobaczy nas? — spytał Tim ze źle skrywanym niepokojem.

— Wątpię — odparł Lewis. — Nie widać nas w lusterku. Musiały się odwrócić i długo patrzeć w tył, a na pewno tego nie zrobi przy tej prędkości. Może spodziewa się policji, lecz radiowóz gnałby za nim na sygnale i włączonych światłach.

— Mógł się wystraszyć na nasz widok w poprzedniej wiosce.

— Chyba nie. Patrol na ogół staje tu i ówdzie, żeby rozejrzeć się po okolicy. To oczywiste, że widzieliśmy dżipa, ale to żaden powód, by natychmiast ruszać w pogoń. Nie... Herr Balog nie musi się obawiać. Spróbujemy podjechać bliżej, gdy wejdzie w zakręt. Nie chciałbym go zgubić.

— Co pan zamierza zrobić?

— Bóg wie — beztrósco odpowiedział Lewis. — Zatańczymy, jak nam zagrają.

— Z beretką... — zaczął Timothy.

— Tam jest wioska — wtrąciłam szybko. — Zaraz za zagajnikiem. Zauważyłam dzwonnice nad drzewami.

Chwilę później uciekający dżip zniknął nam z oczu.

— Trzymajcie się — mruknął Lewis. — Zacieśniamy pętlę.

ROZDZIAŁ XVIII

*Czyliż ten pochód trwać będzie
Do końca świata?*

Szekspir: „Makbet” *

Lewis miał rację. Sandor ani trochę nie bał się pogoni. Kiedy dotarł na kraniec wioski, byliśmy dwieście metrów za nim, lecz nic nie wskazywało na to, by zauważył nasz samochód. Po wjeździe na ulicę zwolnił, dojechał do hotelu i bez wahania skręcił w lewo.

Parę sekund później zrobiliśmy to samo.

Droga była wąska, od samego początku kręta i stromo biegnąca pod górę. Balog zniknął z pola widzenia, lecz poprzez warkot mercedesa słyszeć było wyraźnie jazgot dżipa, ciężko pracującego w ciasnym wąwozie między domami.

— Dobrze... dobrze... Depczemy mu po piętach, a on nawet nie podejrzewa, że jest śledzony... Chociaż nie wiem, co będzie, kiedy miniemy górną partię lasu — zamruczał z ukontentowaniem Lewis.

— Widzisz drogę? — spytałam.

Dla mnie była to tylko plątanina żużlu, obszernych plam cienia i smolistego mroku, tam gdzie gałęzie drzew zwisały nad ulicą.

* przekł.: Józef Paszkowski

— Widzę. — Mercedes mknął w górę w zadziwiającym tempie. — Mam nadzieję, że łowca nie stał się zwierzyną. Tim... jedzie ktoś za nami?

— Wielkie nieba! — ze zgrozą jęknął Timothy. Nastąpiła chwila ciszy. — Nie. Na pewno. A powinien?

— Raczej nie — spokojnie odparł Lewis. — Ale lepiej wiedzieć. W końcu Balog nie musiał telefonować tylko tutaj. Boże, co za jazda! Van, w tych warunkach nie zdołasz czytać mapy?

— Mowy nie ma. Przykro mi, wszystko skacze.

— Dobrze chociaż, że skończyły się skrzyżowania — ciągnął Lewis. — Nic nie jeździ tą ścieżką kozic. Jedyne, co nam grozi, to że wyrzniemy prosto w tylny zderzak pojazdu Herr Baloga.

Minęliśmy zabudowania. Droga, choć mniej stroma, wciąż pięła się po zboczu i była tak upstrzona kamieniami, iż przypominała bardziej średniowieczny trakt niż szosę. W dole zostało parę domów, kościół i błyszcząca tafla małego jeziora. Ponad nami, po lewej stronie, wciąż majaczyła ściana sosen. Droga wiła się pod drzewami niczym woda pod falochronem. Za następnym zakrętem zawracała, wpływała w gęsty las i tylko tu i ówdzie na krótką chwilę połyskiwała księżycową poświatą przemieszana z bladym promieniem brzasku. Lewis prowadził pewną ręką, nie zwalniając ani trochę, ale ja doszłam do wniosku, że bałabym się tędy jechać nawet w słoneczne popołudnie.

Pędziliśmy więc w górę, wiraż za wirażem, i wciąż dobiegał moich uszu warkot dżipa, pobrzmiwający głucho w miejscach, gdzie nie tłumity go gałęzie czy skały. Mercedes czynił o wiele mniej hałasu, zatem Sandor — jeśli w ogóle nas słyszał — mógł to uznać za odległe echo odgłosów własnej wspinaczki.

Drzewa zaczęły rzędnąć. Pokonaliśmy kolejny zakręt i naraz wypadliśmy na otwartą przestrzeń. Po prawej, w świetle ranka, widać było kotlinę wciętą między ciemne góry. Jezioro

wyglądało jak wypolerowany szary stop cyny i ołowiu, poprzecinany strzępkami srebrnej mgły. Gwiazdy zgasły, a księżyc stał się brudny i wytarty niczym cienka stara moneta.

Nagle zahamowaliśmy. Silnik umilkł. Lewis otworzył okno i wraz z zimnym, mokrym powiewem do wnętrza auta wtargnęła górską cisza, przerywana jedynie niknącym gdzieś nad nami warkotem łązika.

— Daj mi mapę.

Podalam mu ją, rozłożoną we właściwym miejscu. Chwilę wodził po niej wąską smugą światła latarki.

— Dobrze zapamiętałem. Nie dojedziemy aż do szczytu. Tu zaznaczono kilka domów... i przystanek kolejki zębatej. Szosa kończy się mniej więcej w dwóch trzecich zbocza. Dalszą część można pokonać wyłącznie koleją. Pionowe ściany, rozpadliny... Pociąg staje przy gospodzie na szczycie. Przypuszczam, że po drodze jest parę tuneli. Dzięki. — Położył mapę i latarkę na moich kolanach, po czym nacisnął starter. — Dojeżdżamy do celu. Jeszcze dwa, trzy zakręty i zobaczymy zaparkowanego dżipa. Trzeba ukryć samochód, zanim Balog wyłączy silnik. O, tam jest niezłe miejsce.

Kilkanaście sekund później mercedes stanął w głębokim cieniu, przodem do szosy, a Lewis półgłosem wydawał kolejne rozkazy.

— Pójdziecie ze mną, ale na miłość boską, bądźcie cicho i trzymajcie się co najmniej dwadzieścia metrów z tyłu. Żadnych akcji, dopóki nie dam znaku. Mogę was potrzebować, choćby tylko jako posłańców. To zapasowe kluczyki. Kładę je tutaj.

Pod drzewem, w paśmie mgły, rosła rodzina muchomorów. Miały wysokie nóżki i jaskrawoczerwone, nakrapiane białymi plamkami kapelusze. Typowe muchomory z dziecięcych baśni. Obok leżał niewielki, płaski kamień. Lewis uniósł go i wcisnął w ziemię kluczyki.

— Dżip stanął — nagle wyszeptał Tim.

— Idziemy — zdecydował Lewis.

Przebiegł przez szosę i wpadł między drzewa.

Poszliśmy za nim. Zbocze było bardzo strome; gładkie — glina i kawałki skał przysypane igliwem — ale coraz trafiałam na obluzowany kamień lub krzew jeżyn, więc musiałam iść ostrożnie, wdzięczna, że zrobiło się już dość widno.

Dwadzieścia pięć metrów wyżej znów trafiliśmy na szosę. Lewis czujnie minął rosnące coraz rzadziej drzewa i przystanął na chwilę, ledwie widoczny nawet dla mnie. Była pora przedświt, ów szczególny moment, kiedy brakuje księżyca i słońca. Wszystko wówczas przybiera perłową lub szarą barwę i ztraca znajomy wygląd. Widok drzew, szosy, skał i krzewów przypominał niedoświetlone i splewiałe zdjęcie.

Nie byłam pewna, czy Lewis skinął ręką, byśmy ruszyli w dalszą drogę, lecz miejsce, w którym stał, okazało się nagle puste. Lekko zdyszana, uchwyciłam się załomka skały i po pewnym czasie wyszłam na szosę. Nikogo. Po chwili wypatrzyłam ruch wśród drzew po drugiej stronie. Za zakrętem zaczynały się domy. Podejrzewam, że pod koniec wspinaczki było mnie już nieźle słychać, ale na szczęście spływający obok strumyk wpadał wprost w kamienną nieckę i głużył pluskiem wszelkie inne odgłosy.

Lewis znów przystanął. Kiwnął na nas, a gdy podeszłam bliżej, wyciągnął rękę, chwycił mnie i przytrzymał.

Najpierw zobaczyłam dom. Może nawet nie dom, ale zwykły kanciasty barak — bez komina, z dachem z zardzewiałej blachy, ustawiony tuż przy torach kolejki — stojący w takim miejscu, gdzie podwójna szyna zapewniała możliwość „mijanki”. Był to pewnie magazyn albo schronienie dla obsługi. W każdym razie wyznaczał koniec szosy. Tory biegły przez pas mocno ubitej ziemi i żuźlu, otoczony krzewami i potarganym zagajnikiem. Całość była w tej chwili jedynie płataniną szarych cieni, ale po pewnej chwili

wypatrzyłam pod zwisającą skałą coś, co od biedy mogłam uznać za łazik.

Zadnych świateł ani najmniejszego ruchu.

— Tam stoi dżip, widzisz? — spytał cicho Lewis. — Balog odszedł. Zauważyłem go na zboczach. Wciąż jest sam i nie wie, że ktoś go śledzi. Założę się o ostatniego pensa, iż zmierza wprost do gospody. Wspina się wzdłuż torów. Idę za nim... Tim, chciałbym, żebyś rzucił okiem na łazik. Zdołasz go unieruchomić? Dobry chłopak. Zrób to, potem rozejrzyj się po baraku. Pewnie nic nie znajdziesz, bo minęło zbyt mało czasu, żeby Balog zdążył tu cokolwiek ukryć. Zresztą wiesz, czego szukać. Potem ruszaj za nami. Trzymaj się torów, to na pewno nie zabłądzisz. Vanesso, ty chodź ze mną.

Przebiegliśmy przez szosę i zapadliśmy pod osłonę skały. Po chwili okrążyliśmy bok baraku. Z tyłu dobiegał cichy brzęk metalu; Timothy zajął się łazikiem. Lewis lekko pociągnął za drzwi szopy. Były zamknięte.

— To nam zaoszczędzi fatygi — mruknął. — Nie dlatego, żebym chciał coś znaleźć, ale motto Wydziału Handlu PEC brzmi: „Zajrzyj pod każdy kamień”.

— W tych warunkach czeka cię mnóstwo pracy — zauważyłam kwaśno.

— Mnie to mówisz? Modłę się do wszystkich bogów naraz, żeby Balog pozbył się towaru dopiero w gospodzie. Tu są tory, a obok coś w rodzaju ścieżki... Mimo wszystko przed nami niezły spacer. Dasz radę?

Był już parę metrów przede mną i szedł szybkim, posuwistym krokiem. Pytanie należało do tych uroczych elementów, które (moim zdaniem) czynią życie kobiet o wiele bardziej interesującym od nudnej egzystencji mężczyzn. Lewis od razu uznał, że dam radę spełnić każde zadanie, ale pochlebiał mi sugestią, że mogłabym być czymś cennym, rzadkim i delikatnym w porównaniu z brutalnym męskim światem.

— Gdzie ty, Gajusie, tam i ja, Gaja — oznajmiłam bo-

hatersko i poszłam całkiem łatwą ścieżką wiodącą wzdłuż torów.

Szlak był wąski, fragmentami wycięty w litej skale, wśród drzew, w stromym jak na możliwości pociągu zboczu. Podejrzewam, że w niektórych miejscach nie udało się poprowadzić szosy. Nigdy przedtem nie miałam okazji widzieć, w jaki sposób działa kolej zębata. Pośrodku torów, błyszczących od ciągłego używania niczym stalowe wstęgi, umieszczono zębatkę — coś w rodzaju ogromnego trybu, tyle że rozplaszczonego i umocowanego do podkładów. Metalowy, grzebień sterczał wyżej niż obie szyny. Domyśliłam się, że parowóz miał dodatkowe koło, które — zaczepiając wycięciami o zęby — nie pozwalało mu się zsunąć nawet po najgorszej stromiznie. Podróż przebiegała bezpiecznie i ze stałą prędkością.

Nadal szliśmy wśród drzew, lecz coraz częściej zdarzały się polany, aż w końcu dotarliśmy w wyższe partie góry. Widoczność była nie najlepsza. Mgła wciąż kłębiła się wokół rzadko rosnących sosen, a raz jakiś czarny ptak — chyba kawka — minął nas ciężkim lotem ze spłoszonym „kra!”

— Gdzie widziałeś Baloga?

Lewis wskazał w górę, tam gdzie tory łagodnym łukiem ginęły za jęzorem białej skały.

— Tylko przez chwilę. Gnał jak szalony.

Sami szliśmy niewiele wolniej. Zanim dotarłam do zakrętu, poczułam się rzeczywiście cenną i delikatną istotą, ale zdołałam zachować dobrą minę, póki nie zobaczyłam, ile drogi jeszcze przede mną. Lewis chwilę poczekał i poczłapaliśmy dalej. To znaczy, ja poczłapałam. Lewis był świeży i radosny jak skowronek. Nic dziwnego — pomyślałam z goryczą. — Ciekawe, jak by się zachował, gdyby przeżył tyle co ja dzisiejszej nocy. W końcu nic nie zrobił poza tym, że przejechał dwieście kilometrów z Wiednia...

Wspinaliśmy się w ostrym tempie, lecz w milczeniu i ostrożnie wyzierając zza każdego zakrętu. Na szczęście miałam

buty na gumowych podszwach, a Lewis, chociaż moim zdaniem nie wyglądał na typowego szpiega, poruszał się równie cicho jak w mojej sypialni w Oberhausen. W gruncie rzeczy, nie musieliśmy się ukrywać, bo mgła gęstniała coraz bardziej.

Podejrzewam, że w normalnych warunkach klęłabym w żywy kamień na dodatkowe utrudnienie, ale teraz mogłam być tylko wdzięczna, że mlecznobiały opar skrywał nas przed oczami zbiega. I tak nie mogliśmy zgubić szlaku, choć widoczność wahała się od dziesięciu do dwudziestu metrów. Tory wiodły na szczyt tak pewnie jak blask ognia rozpalonego przez górali.

Tyle tylko, że mocno okrężną drogą. Zębata wstęga zakręcała raz po raz, wracała niemal po własnych śladach i pięła się zygzakiem, wyszukując mniej strome miejsca. Przy nieco lepszej widoczności moglibyśmy pójść skrótem, ale na nieznanym terenie, wśród rozmaitych rozpadlin i pułapek, musieliśmy trzymać się torów. Pocieszałam się, że Balog także, chyba że po mistrzowsku zapamiętał topografię góry. Szliśmy więc gęsiego: najpierw Balog, potem ja i Lewis, a za nami Timothy.

— Ciekawe, o której rusza pierwszy pociąg — odezwał się Lewis.

— To akurat wiem. O siódmej. Mówił mi o tym lokaj w zamku, a na ścianie w holu znalazłam pełny rozkład. Przeczytałam go, bo miałam nadzieję, że jeśli pobędziemy w tych stronach dłużej, moglibyśmy się wybrać na małą wycieczkę. — Zrobiłam smętną minę. — Głupio teraz pomyśleć, że można tędy jeździć dla czystej przyjemności.

— Nigdy nie wiadomo, co się komu trafi — uśmiechnął się Lewis.

Potem szybko wyciągnął rękę, żeby mnie zatrzymać. Staaliśmy w milczeniu. Mgła spłynęła po skałach niczym smuga dymu i przed nami ukazało się nagie zbocze. Zobaczyłam kamienistą pustkę, z rzadka tylko porośniętą grubą trawą

i skarłałymi krzewami. Gdzieniedzie stało samotne drzewo, pogieęte i poskręcane mroźnymi podmuchami wiatru. Niskie i cienkolistne krzewy czepiały się skał w miejscach, gdzie na zdrowy rozum nie powinna istnieć żadna forma życia.

Ledwie jednak zerknęłam na ów widok. Przede wszystkim patrzyłam na Lewisa. Ostatnie zdanie rzucił lekko, niemal ironicznie, ale — błysnęła mi nagła myśl, niczym promień słońca przedzierający się przez chmurę — mógł niechcący zdradzić prawdziwe uczucia. Sam ton głosu podpowiadał mi, że się nie mylę. Dla mnie noc znaczyła grozę, ulgę, szczęście, nieco podniecenia, zmęczenie i bezsenność, a przede wszystkim ogromną radość, że możemy być razem. Pograżyłam się w dziwnym śnie — strasznym, lecz bezpiecznym. Co mi mogło grozić u boku męża? Lewis — jak się domyśliłam — reagował inaczej. Nie chodziło o to, że jako mężczyzna był silniejszy psychicznie i fizycznie. Ani o to, że czekała go końcówka niezwykle ważnego zadania. On po prostu się bawił.

— Lewis... — wycedziłam oskarżycielskim tonem — czyżbyś czekał na grubszą rozróbę?

— Wielkie nieba, skądże! — Wiedziałam, że kłamie. Sam zresztą to potwierdził następnym zdaniem: — Jak twój policzek? Nadal boli?

— Policzek? Chyba... tak. — Przyłożyłam rękę do nabrzmiałej twarzy i dopiero teraz zauważyłam, że mam suche i opuchnięte usta. — Tyle się działo, że zupełnie o tym zapomniałam. Wyglądam strasznie, prawda?

— Od mojej strony całkiem nieźle. Kochana mgła zniknęła we właściwej chwili. Przed nami tunel.

— Tunel?

— Tak. Widzisz? Stąd wygląda jak wejście do grotty. Bóg wie, jaki długi. Przy jeszcze lepszej widoczności poszlibyśmy prosto pod górę. Szkoda, że... ach!

Właśnie silny powiew wiatru poniósł w dal resztki oparu. Lewis wskazał palcem drugi koniec zbrocza.

— Tam znów są tory. Chodź, skorzystamy z szansy. Ominiemy tunel.

Nadal dopisywało nam szczęście. Po paru minutach wyętejonej wspinaczki dotarliśmy na wyznaczone miejsce. Powietrze było względnie czyste, chociaż wyższe partie góry wciąż spowijała mgła, łaskawie skrywająca nas przed niepowołanym wzrokiem. Ciszę mącił tylko plusk niewielkich strumieni, a raz jeden odległy brzęk dzwonka jakiejś owcy, wystraszonej być może widokiem Baloga.

Zanim zagłębiliśmy się w następne pasmo mgły, w dole zobaczyliśmy Tima. Pomachał nam, potem rozłożył ręce w uniwersalnym geście, znaczącym: „Nic nie znalazłem”. Lewis w podzięcie uniósł dłoń, po czym zachęcająco wskazał na szczyt góry. To znaczyło: „W drogę”. Tim, nie tracąc czasu, porzucił szlak kolejki i zaczął się wspinać naszym śladem.

— Zaczekamy na niego? — spytałam.

— Nie możemy, ale nic się nie martw, nie zginie. Prędej czy później zawsze trafi na tory. To świetny chłopak, Vanesso. Szkoda tylko, że jak wynika z tego, co mówiłaś, ma kompletnie durnego ojca. Co chce robić?

— Wspominał o podjęciu pracy w Hiszpańskiej Szkole Jazdy. Nie wiem, co na to Carmel, ale sądzę, że zrezygnuje z walki... zwłaszcza teraz, kiedy jest pochłonięta projektem nowego małżeństwa. Znasz choć trochę tutejsze prawo? Tim miał nadzieję, że ojciec mu pomoże w uzyskaniu zezwolenia na pracę.

— Chyba sam mu pomogę. Znam człowieka... Uważaj na ten kamień. Obluzowany.

— Coraz bardziej skłaniam się ku myśli, że całkiem dobrze mieć cię pod ręką.

— Czas pokaże — odparł i wbił wzrok w mgłę. — Wszystko w końcu zależy od decyzji Tima. Z drugiej strony, gdybym ja miał syna... Nadążasz za mną?

— We wszystkim.

— Może, jak to się skończy, pomyślimy co nieco o rodzinie?

— Czemu nie? W tej kwestii popyt spotyka się z podażą, jak by zapewne powiedzieli w Wydziale Handlu PEC.

Wyciągnął dłoń i pomógł mi pokonać wyjątkowo stromy odcinek.

— Nie chcę myśleć, co na to mój drugi wydział. Dzięki Bogu, że sprawa przede wszystkim podlega policji.

— A Tim i ja mamy prawo być tu i pomagać jako zwykli obywatele?

— Bez wątplenia. Co ciekawsze, ja także występuję w podobnej roli. Ze względu na wezwanie Paula, sądzę, że w grę wchodzi także reguły bezpieczeństwa, ale to już, jak powiadają, całkiem inna historia i wydział bez kłopotu może wyznaczyć kogoś na moje miejsce. Lee Elliott jest zbyt dobrze znany wśród cyrkowców Wagnera. Jeśli chodzi o ciebie, wątpię, by ktoś z wydziału czynił mi jakieś wyrzuty.

— Człowiek pod presją jest zdolny do wszystkiego — stwierdziłam.

— Święta racja.

Coś w jego tonie zwróciło moją uwagę.

— A dokładnie? — spytałam prędko.

— Mam do pogadania z Sandorem — odparł Lewis. — Na osobności.

— Stąd się wziął „prywatny” powód twej kruczaty?

— Właśnie. Jakieś uwagi?

— Nie mogę się doczekać.

— Zawsze powtarzałem, że nie ma w tobie nic z grzecznej pensjonarki. Szlag by trafił tę łaskawą mgłę... Na ile zdążyłem zauważyć, góra jest położona w wymarzonym miejscu. Pamiętam też, że ze szczytu roztacza się wspaniałe widoki... Idealny punkt przerzutu przez co najmniej dwie granice.

— Co zamierzasz?

— Krótko mówiąc... dopaść Baloga, drugiego łącznika i towar. Ci z policji wzięliby zapewne *Gasthaus* pod obserwację,

żeby zebrać jak najwięcej danych, ale Balog jest już spalony, więc musimy przyspieszyć akcję i zagarnąć pulę, zanim będzie za późno. Dwa ptaszki w klatce szybciej zaczną śpiewać niż jeden.

— A co ze mną?

— Jak dotrzemy na miejsce, czekaj w ukryciu na mój sygnał. Gdybym był zbyt zajęty, zastąpisz mnie przy telefonie... — Urwał na chwilę. — A jak coś pójdzie źle, zabierz Tima, pędź na dół, wsiadaj do samochodu i z najbliższej wioski zadzwoń na posterunek w Grazu. Potem przyślij tu stójkowego i paru silnych wieśniaków. Ty nie wracaj. — Uśmiechnął się. — I nie rób tak złośliwej miny. Mówiłem: „jak coś pójdzie źle”, a przecież nie zamierzam pokpić sprawy... Zwyczajnie „rozglądam się po wszystkich frontach”. Jasne?

— Jasne.

— No to dosyć tych pogawędek. Mgła niesie głosy równie dobrze jak woda, a już prawie jesteśmy u celu.

— Spójrz — powiedziałam.

Nad nami, nieco z lewej, niczym wypalona gwiazda, przez obłok mgły świeciła żółta lampa.

— Koniec drogi — rzekł Lewis.

— I początek zabawy? — spytałam.

— Jeśli wolisz... — zgodził się z uśmiechem.

ROZDZIAŁ XIX

*Nie grzej dla wroga pieca aż tak mocno,
Że cię samego osmali.*

Szekspir: „Król Henryk Ósmy” *

Gasthaus nie należał do dużych. Na ile mogłam dostrzec w zamglonym półświecie, był solidny, długi, pobielony, z dachem z szarego gontu, takim samym jak na domach w dolinie, a po jednej stronie miał osłoniętą, sosnową werandę, na którą latem wystawiano stoły. Stał ze dwadzieścia metrów od końca torów. Za budynkiem był taras otoczony niskim murem i altana, a dalej opadała pionowa skała, wysokości co najmniej sześćdziesięciu metrów. Frontowa ściana, ta od strony torów, prezentowała się zwyczajnie: ciężkie drzwi, zamknięte okna, kosz na odpadki i parę skrzynek pustych butelek.

Właśnie w oknie — jedynym nie przesłoniętym w pełni okiennicą — świeciła lampa, która nam posłużyła za drogowskaz. Ktoś zapewne zapalił ją specjalnie, po telefonie od Baloga, aby ten we mgle nie błądził po górach. Inne światła zostały wygaszone.

Tuż przy zębatych torach stała przysadzista szopa, pełniąca rolę stacji. Przykuleni podbiegliśmy do pokruszonego muru i siedliśmy pod niemiłosiernie brudnym okienkiem.

* przekł.: Zofia Siwicka

Stąd na drodze do gospody nie było żadnej osłony prócz śmietniczki i sterty skrzynek. Widzieliśmy wyraźnie wewnątrz oświetlonej izby, a bieg wydarzeń był tak oczywisty jak na teatralnej scenie.

Izba okazała się kuchnią. Po lewej stronie widziałam odbłask żaru, bijący z paleniska, miedziane garnki i wiszący na ścianie niebieski talerz. Naprzeciwko okna stał kredens pełen naczyń i parę tekturowych pudeł. Po prawej... chyba były drzwi. Nie mogłam ich dojrzeć. Zza futryny okna wystawał kawałek mocno odrapanego stołu. Najważniejsze jednak, że na wprost mnie, przy kredensie, obok staroświeckiego telefonu, stał Sandor Balog pochłonięty rozmową z jakimś innym mężczyzną — chyba właścicielem gospody. Twarzy drugiego nie widziałam, gdyż był odwrócony plecami do okna. Krępy, mocnej budowy, o przerzedzonych, siwiejących włosach. Stary płaszcz narzucił wprost na piżamę. Właśnie zdjął z ognia czajnik i zamarł z wyciągniętą ręką, żeby powiedzieć coś do Sandora.

Ledwie zdążyłam rzutem oka ogarnąć całą scenę, kiedy Lewis szepnął: „Zostań” i w paru susach pokonał przestrzeń dzielącą szopę od gospody.

Biegł zakolem, poza zasięgiem wzroku osób przebywających w budynku. Po chwili, nie zauważony, przyłgnął plecami do muru obok otwartego okna i nasłuchiwał.

Do dziś nie wiem, czy lampa w kuchni była elektryczna czy naftowa, ale w sinym blasku ranka dawała tyle światła, że wyraźnie widziałam każdy szczegół, chociaż nad torami nadal unosiły się pasemka mgły. Przyczajony w cieniu Lewis stał się rozmazaną plamą, lecz mimo to dostrzegłam w jego ręku pistolet...

Nagły ruch w kuchni przyciągnął moją uwagę. Gospodarz, ciągle zatopiony w rozmowie, przyniósł czajnik do stołu i zaczął nalewać do kubków gorącą kawę. Uniósł się obłok pary i pamiętam — zniewalające mimo zdenerwowania — uczucie głodu, jakie ogarnęło mnie na ten widok. Wręcz

poczułam zapach świeżo parzonej kawy, choć od stołu dzieliło mnie dwadzieścia metrów przesiąkniętego wilgocią powietrza.

Chwilę później zupełnie zapomniałam o kawie. Zobaczyłam, że Lewis odszedł od okna, stanął przy drzwiach i delikatnie chwycił za klamkę.

Drzwi nie puściły. Ktoś zamknął je zapewne za wchodzącym Sandorem. Lewis jak duch przemknął z powrotem pod okno. Trochę mnie dziwiło, że wciąż jest otwarte. Pewnie zapomnieli je zamknąć... Chociaż z drugiej strony, po jakie лихо mieli to zrobić? Przecież Balog się nie spodziewał, że jest śledzony.

W tej samej chwili, gdy to pomyślałam, Węgier wskazał przed siebie, powiedział coś, odstawił kubek i odwrócił się w stronę telefonu. Jego towarzysz zerknął w tył, wrzucił ramionami i podszedł do okna. Najwyraźniej miał zamiar je zamknąć. Balog podniósł słuchawkę i czekał. A Lewis... Lewis — widzę to do dziś — je d n ą ręką docisnął okiennicę do ściany.

Austriak szarpnął oknem. Bez skutku. Pociągnął znowu; tym razem nawet ja słyszałam jego gniewny pomruk. Nic. Sandor zmierzył go przeciągłym spojrzeniem i rzucił kilka słów do słuchawki. Chyba podawał jakiś numer. Austriak wychylił się przez parapet, żeby przyciągnąć krnąbrną okiennicę.

Lewis trzasnął go mocno w głowę. Ciężkie ciało na chwilę zawisło na parapecie, po czym z wolna upadło w tył, w głąb oświetlonej izby. Nie zdążyło dotknąć podłogi, kiedy Lewis, z pistoletem w dłoni, wskoczył w ślad za nim.

Zapłonęły światła na pierwszym piętrze.

Wyskoczyłam z kryjówki i jak spłoszony zając pognałam pod kuchenne okno.

W kuchni rozpętało się istne piekło. Lewis skakał na ślepo i choć z pewnością słyszał Węgra przy telefonie, mógł

się tylko domyślać, co zastanie. Działał szybko, lecz ostrzeżony upadkiem kompana Sandor w jednej chwili rzucił słuchawkę i sięgnął do pasa.

Nie zdążył wyjąć broni. Lewis strzelił. Nie zamierzał zabijać; pocisk rozbił tylko jeden z niebieskich talerzy w kredensie, ale to wystarczyło, by Węgier zamarł bez ruchu. Na krótki rozkaz Lewisa cisnął pistolet na podłogę.

Usłyszałam zdumiony okrzyk Sandora:

— Lee Elliott! Co, u diabła?...

— A ten co za jeden? — przerwał mu Lewis.

— Johann Becker. Ale do stu piorunów...

— Ktoś na górze zapalił światło! — bez tchu zawołałam od okna. — Obudził się.

Na mój widok Balog zrobił groteskową minę. Chwilę spoglądał ze zdumieniem, lecz zaraz oprzytomniał i ze złością wyszczerzył zęby.

— Ty?! Ty mnie w to wpakowałaś? Co nagadałaś Elliottowi?

Lewis nawet nie odwrócił głowy na dźwięk mego głosu.

— Wejdz — powiedział. — Podnieś pistolet. Nie stawaj między mną i Balogiem. — Potem zwrócił się do Sandora: — Kto oprócz nas jest w domu?

— Frau Becker. Słuchaj, Elliott, zgłupiałaś, czy co? Wszystko mogę wy tłu...

— Cofnij się! — uciął Lewis. — Nie żartuję. Za drugim razem nie strzelę w talerz.

Sandor posłusznie zrobił krok w tył. Szybko wśliznęłam się przez okno i chwyciłam pistolet.

— Zuch dziewczyna — mruknął Lewis, nie spuszczać wzroku z Baloga. — Miałas już coś takiego w ręku?

— Nie — odparłam.

— To trzymaj lufę z daleka ode mnie. Nie obchodzi mnie, co się stanie z Balogiem, ale lepiej będzie, jeśli zawczasu uspokoisz Frau Becker...

— Powiesz wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi? —

z furią przerwał mu Węgier. — Ta dziewczyna... broń... Czego się dowiedziałeś? Samych bzdur! Myślała...

— Przymknij się — niecierpliwie rzucił Lewis. — Nie udawaj, że nie wiesz, co jest grane. Usłyszałem wystarczająco dużo, ale jeśli chcesz sobie zaoszczędzić dodatkowych kłopotów, powiedz tylko, gdzie Beckerowie...

Nie dokończył. Drzwi rozwarły się z trzaskiem i w progu stanęła najbardziej niesamowita baba, jaką widziałam w życiu.

Ubrana była w ogromną różową flanelową koszulę nocną i niedbale narzucony niebieski szlafrok, a włosy miała związane z tyłu w dwa ciasne warkocze. Obudziło ją pewnie przybycie Baloga, lecz dopiero na głośny rumor zapaliła światło, huk wystrzału zaś sprowadził ją na dół. Może nawet nie tyle huk, ile trzask rozbijanej zastawy. Pomyślała chyba, że jej mąż wraz z nocnym gościem urządzili pijacką orgię, gdyż bez strachu i bez namysłu, za to z pogrzebaczem w dłoni, wpadła do kuchni niczym huragan Chloe.

Nie wiedziałam, jak ją zatrzymać, więc bezwiednie machnęłam pistoletem, jak Dawid procą na widok Goliata.

Nie zwróciła na to uwagi. Dłonią, wielką jak polec szynki, usunęła mnie z drogi i potoczyła wkoło złym spojrzeniem. Ani nieprzytomny mąż, ani wściekły Sandor, ani trzymający gotową do strzału broń Lewis nie wzbudzili w niej tyle zgrozy, co widok zniszczeń w kredensie.

— Mój talerz! Mój talerz! — Lewis później przetłumaczył mi, co krzyczała, chociaż od razu domyśliłam się źródła rozpacz. — Mój przepiękny talerz! Zrujnowałeś mi dom! Łotr! Morderca!

Wymachując pogrzebaczem, rzuciła się na Lewisa.

Niezbyt dobrze pamiętam, co się później stało. Skoczyłam na Frau Becker, chwyciłam ją za uniesioną rękę, zaczęłyśmy się szarpać, a po chwili wpadłyśmy między Sandora i Lewisa.

Lewis cofnął się o krok, żeby utrzymać przeciwnika na dystans, ale było za późno.

Balog rzucił się w jego stronę jak rozjuszony tygrys. Zaczęli walczyć.

Nie widziałam początku starcia; byłam zbyt zajęta „uspokajaniem” Frau Becker. Wiedziałam, że ode mnie zależy, kto zdobędzie przewagę w tej bijatyce. Lewis nigdy nie strzeliłby do kobiety.

Na razie jednak mocno musiałam uważać, żeby nie postrzelić siebie. Przez dwie lub trzy minuty mocowałam się z tłustą ręką uzbrojoną w pogrzebacz, cały czas zaciskając palce na kolbie pistoletu. Frau Becker miotła mną po pokoju niczym wściekła krowa uczepionym do nogi terierem.

Nagle zmiękła. Sflaczała jak rozpruty wór z ziarnem i klapnęła na stojący w pobliżu fotel na biegunach. Wylądowałam na jej kolanach jak łaknąca wiedzy uczennica. W pierwszej chwili sądziłam, że fotel pęknie pod ciężarem dwóch osób, ale on tylko z trzaskiem zakołysał się w tył i oparł o drzwi. W oknie ukazał się Timothy, blady, z rozgorączkowanym wzrokiem. Przeskoczył parapet, potknął się o rozciągnięte ciało Beckera, strącił ze stołu kubek i wylądował na podłodze w kałuży kawy.

Nie wiem, czy to widok trzeciego mordercy, czy (co bardziej prawdopodobne) śmierć cennego kubka odebrały Frau Becker resztę odwagi, dość na tym, że przestała walczyć. Wielka, nieruchoma, ciężko zwisająca w fotelu, mamrotała pod nosem coś po niemiecku. Zabrałam jej pogrzebacz, Tim odciągnął na bok Beckera, po czym wziął ode mnie tę niewątpliwie groźną broń i popatrzyliśmy na drugi huragan, miotający się po nieszczęsnej kuchni.

Walka była wyrównana. Sandor, atleta i linoskoczek, znalazł w równie wytrenowanym Lewisie godnego przeciwnika. Bezskutecznie próbował odebrać mu pistolet. W chwili kiedy na nich spojrzałam, zatoczyli się w stronę paleniska. Przez dwie koszmarne sekundy Lewis prawie siedział na rozgrzanej blasze. Tim powiedział mi później z dumą, że w tym czasie więcej nauczył się o życiu niż

przez sześć lat pobytu w prywatnej szkole. Wrzasnęłam, Tim z pogrzebaczem skoczył naprzód, dłoń Lewisa z rozmachem uderzyła o kant blachy, a pistolet zatoczył krótki łuk w powietrzu i zniknął pod stołem. Lewis kopnął Sandora w krocze, przetoczyli się w bok i z głuchym hukiem wpadli na blat stołu. Pogrzebacz minął ich o centymetry i roztrzaskał czajnik.

— Mój czajnik! — jęknęła obudzona z letargu Frau Becker.

— Tim! Ten drugi! — krzyknęłam, przytrzymując ją w fotelu.

Becker wstał. Sandor zobaczył go, sapnął coś i Austriak wprowadził w ruch swe krępe ciało.

Ale nie zamierzał pomóc Węgrowi. Szedł w stronę telefonu. Doszedł.

— Zatrzymaj go! — całkiem wyraźnie zawołał Lewis i ściągnął Węgra ze stołu.

Balog go dusił. Widziałam, jak krtań Lewisa nabrzmiała pod uściskiem stalowych palców. Na twarz wystąpiły mu krwawe plamy. Obaj spływali potem, Sandor oddychał ciężko jak astmatyk. Lewis zamiast się cofnąć, mocniej przywarł do przeciwnika. Uniósł go, lekko przekręcił tułów... i z rozmachem cisnął o kolano. Zanim ten zdążył się pozbierać, pociągnął go raz jeszcze i uderzył otwartą dłonią w szyję. Usłyszałam głośny zgrzyt kości.

Becker nie podnosił słuchawki. Z całej siły szarpał kabel.

— Zostaw to! — zawołałam, celując w niego z pistoletu.

Nie usłuchał. Nie wiedziałam, czy mogę strzelić, zresztą i tak bym nie trafiła. Chwyciłam broń za lufę i chciałam go uderzyć.

Nie zdążyłam. Tim obrócił się, machnął na odlew pogrzebaczem i Herr Becker znowu zwałił się na podłogę, razem ze stertą tynku i końcówką wyrwanego kabla.

— Moje naczynia! — zawodziła Frau Becker. — Moje piękne kubki! Johann!

— Wszystko będzie dobrze — zapewniłam ją głośno. — Nie skrzywdzimy was, jesteście z policji. Tim...

Chłopak nie musiał już używać pogrzebacza. Walka dobiegła końca.

Lewis wstał z podłogi i pociągnął za sobą Sandora. Węgier dyszał i choć wciąż się szarpał, widać było, że już się nie wywinie z niedźwiedziego chwytu.

Chyba zrobiłam krok do przodu, ale Timothy mnie postrzymał. Domyślił się, co nastąpi.

Balog opornie szedł w stronę paleniska.

Wszystko to było dziełem paru sekund. Wciąż nie wiedziałam, co Lewis zamierza zrobić. Usłyszałam chrapliwy, nieludzki głos Węgra:

— Co chcesz wiedzieć? — A potem z wyraźnym przestrachem: — Powiem wszystko! Co chcesz wiedzieć?

— Spowiedź może poczekać — odparł Lewis.

Szarpnął dłonią Baloga i nie zważając na jego opór, centymetr po centymetrze począł ją zbliżać do rozpalonej blachy.

Sandor milczał. Timothy jęknął z cicha, a ja krzyknęłam:

— Lewis, nie!

Równie dobrze mogłoby mnie tam nie być.

Widziałam wszystko jak w zwolnionym tempie. Lewis spytał cicho:

— Tą dłonią bilesz?

Potem na małą chwilę — nie dłuższą niż mgnienie oka — ręka Węgra spoczęła na gorącym metalu.

Sandor zawył. Lewis odciągnął go w tył, popchnął na najbliższe krzesło i odebrał mi pistolet.

Nie musiał tego robić. Balog siedział spokojnie, ściskając poparzone palce.

— Na drugi raz trzymaj łapy przy sobie — spokojnie powiedział Lewis.

Westchnął ciężko i powiódł wzrokiem po zniszczonej kuchni. Spojrzał na nieprzytomnego Beckera, wyrwany ka-

bel, Frau Becker, pochlipującą w bujanym fotelu, Tima z pogrzebaczem w rękę i na mnie — bladą jak on, ale o wiele bardziej roztrzęsioną.

Tim pierwszy odzyskał rezon. Zanurkował pod stół i ostrożnie podniósł z podłogi cenną beretę Lewisa.

— Dobry chłopak — z satysfakcją mruknął mój mąż.

Odgarnął włosy z czoła, błysnął zębami w uśmiechu i nagle znów stał się całkiem zwykłym człowiekiem.

— Van, kochanie, zobacz, czy zostało choć trochę kawy. A ty, Tim, podejdź tutaj, zwiążemy tych opryszków. Potem z chęcią posłucham, co mają do powiedzenia.

ROZDZIAŁ XX

...zamknięci w czarne czyścica kraty...

Keats: „Wigilia Świętej Agnieszki” *

Kiedy wyszliśmy z Timem z gospody, ze zdumieniem stwierdziłam, że zrobiło się już całkiem jasno. Chmury lub obłok mgły w dalszym ciągu zwisały nad szczytem, więc nie mogłam dostrzec granicy, lecz widoczność sięgała około dwustu metrów i poprawiała się z każdą chwilą. Ranek był wilgotny i chłodny, ale nie czułam się zmęczona. Kubek gorącej kawy zdziałał prawdziwe cuda.

— Wiesz może, która godzina? — spytałam Tima. — Nie wzięłam zegarka.

— Ani ja. Ale spojrzalem na zegar w kuchni. Dochodzi wpół do piątej.

— Dobrze, że chociaż on ocalał. Biedna Frau Becker. Lewis uważa, że o niczym nie wiedziała, więc na pewno mocno przeżyje przymusową rozłąkę z mężem.

— Bardziej oplakuje potłuczone naczynia.

— Do tego też się przyczyniłeś. Brrr... mokra trawa. Okropnie zimno, prawda?

— Co to dla nas — buńczucznie stwierdził Tim. — Jesteśmy z Interpidu. Archie Goodwin też uciekł.

* przekł.: Zofia Kierszys

— Trochę spałeś — zauważyłam kwaśno. — Ja nie.

— Prawda — zgodził się. — I musiałaś się nieźle zmęczyć, biegając po dachu.

— A tobie się podobało, kiedy w stajni dostałeś po głowie od Sandora? Takiś chojrak? Na miłość boską, zwolnij trochę. Trawa śliska jak diabli i pełno wokół obluzowanych kamieni. W dodatku niesiesz tę maszynkę.

„Maszynką” był pistolet Baloga. Tim, moim zdaniem, trzymał go zbyt nonszalancko.

— Umiesz się posługiwać czymś takim?

— Pewnie — oznajmił z uśmiechem. — Przecież to bardzo proste. Ten należy raczej do mniejszych. Mój dziadek miał starego lugera. Jeszcze z wojny. Pierwszej wojny. Strzelałem z niego do królików.

— Okrutnik. Nie spodziewałam się tego po tobie.

— Żadnego nie zabiłem — odparł wesoło. — Wiesz, jak trudno trafić królika? Zwłaszcza z lugera.

— Nie wiem.

— Prawdę mówiąc, to niemożliwe. Jak dotąd nie splamiłem rąk krwią, ale jeśli sprawy nadal będą biegły tym torem, nie wiem, czy tak będzie dalej. Tam, w kuchni, aż zdębiałem. O co chodziło z tą ręką? Sandor miał się przestraszyć i zacząć mówić?

— Raczej nie. Prywatne porachunki.

— Prawda. Twój mąż wspominał coś o tym. Pokłócili się w cyrku?

Potrząsnęłam głową.

— Balog mnie uderzył.

Tim zerknął na moją posiniaczoną twarz.

— Och... hmmm... rozumiem.

Podziw, jaki odczuwał dla Lewisa, zmienił się niemal w uwielbienie. Pomyślałam ze smutną rezygnacją, że mężczyźni pod pewnym względem pojmują życie w sposób prymitywny. Z drugiej strony... nie mnie o tym sądzić. Przecież sama z okrutną satysfakcją oglądałam w kuchni ponury akt

zemsty. To, że teraz odczuwałam wstyd, nie zmieniało postaci rzeczy.

— Tak czy owak — odezwał się Tim — podziałało jak trzeba. Facet wprost nie mógł się doczekać, żeby zacząć sypać. Zrozumiałaś coś z tego?

— Nie — odparłam. Ze względu na Beckerów Lewis prowadził krótkie przesłuchanie po niemiecku. — Powiesz mi co nieco?

Coraz dalej sunęliśmy przez mokre zbocze. Tim zapoznał mnie z najbardziej istotnymi fragmentami zeznań. Najważniejsze już znałam (Lewis usłyszał to przed wtargnięciem do kuchni): Sandor pozbył się narkotyków podczas wędrówki do gospody. Ukrył je w dziupli drzewa, na tym odcinku, który minęliśmy skrótem. Zjawił się u Beckera tuż przed nami i kiedy stanęliśmy pod szopą, ciągle jeszcze rozprawiał o tym, jak tu uciec z narkotykami. Lewis nie był ciekaw, co mówił; to wyciągnął z niego w czasie śledztwa. Czekał pod oknem na sprzyjający moment do ataku. Gdy Balog podszedł do telefonu i zamówił międzymiastową, poznał numer wiedeńskiego łącznika.

W trakcie przesłuchania Węgier nie sprawiał kłopotów. Tim miał rację: wprost nie mógł się doczekać złożenia zeznań. Moim zdaniem, nie tylko bał się Lewisa, lecz przy okazji doszedł do wniosku, że współpracą kupi sobie łaskawszy wyrok. Becker przyjął tę samą taktykę. Wprawdzie początkowo próbował uciszyć kompana, ale zmienił front, gdy Lewis przedstawił mu niezbite dowody winy. Pojawiły się fakty i nazwiska...

— Nie wszystko wiedzą — zauważył Tim. — W końcu byli zwykłymi kurierami. Lewis twierdzi, że policja znajdzie niejedno przy dokładnym przeszukaniu gospody, no i jeszcze zostaje ten gość z Wiednia. Być może poczuł, co się święci, i zwinął żagle, chociaż zdaniem Lewisa, nie jest łatwo od razu zlikwidować rozległą siatkę. Powiedział nawet: „To nie derka Beduina, którą można zwinąć z nastaniem świtu”.

Interpol będzie miał pełne ręce roboty. Moim zdaniem Balog przemycił prochy przez Jugosławię aż na Węgry. Niezbyt trudno będzie zastawić pułapkę i schwytać wszystkich po tamtej stronie granicy. Lewis sądzi tak samo.

Coś w jego głosie sprawiło, że uniosłam głowę i rzuciłam mu ukradkowe spojrzenie. Ani poczucie władzy, ani duma, ani tym bardziej puste samozadowolenie... za to odległe echo tonu, jakim nawet najmilszy facet wtajemnicza kobietę w sprawę Męskiego Świata. Timothy właśnie dołączył do klubu.

— O tobie też dużo mówił — mruknęłam, nie całkiem bez związku. — W Bogu nadzieja, że znajdziemy to drzewo, w którym Sandor ukrył paczki.

— Zbocze między tunelami. Samotna, martwa sosna. Tak widoczna jak jednooki Chińczyk z drewnianą nogą — ze śmiechem odparł Tim. — Nic się nie martw, znajdziemy ją! O, znowu dochodzimy do torów.

Szybkim krokiem pokonaliśmy pierwszą połąć kamienistej łąki i przeszliśmy przez szyny. Ciągnęły się w prawo przez co najmniej czterysta metrów, potem zakręcały i dwieście metrów niżej znów zabiegały nam drogę. Nawet z tej odległości widziałam bladą rysę wyrżniętej w skale rynny, nieco dalej zaś, w szarej poświacie świtu, dwa czarne podobne duchom krzewy. Trawa była zdradliwie mokra. Grube pęki mchu niczym gąbki uginały się pod stopami, a na dłuższych źdźbłach zawisły ciemne kryształki rosy. Nogi miałam przemoczone do kolan. Wokół mnie, między kamieniami, rosły całe pęki dużych fioletowych kwiatów goryczki. W każdej innej chwili taki widok zatrzymałby mnie na dłużej... Teraz nawet się nie siliłam, by ich nie zdeptać. Liczył się tylko pośpiech.

Jeszcze jeden skok i wypadłam na tory. Tim pośliznął się na wilgotnej trawie i zjechał z grzechotem kamieni. Ledwo utrzymał się na nogach.

— Ostrożnie... Nic sobie nie zrobieś?

— Nie. Przepraszam. Powinienem był włożyć inne buty. W tych chodzenie po mokrym zakrawa na szaleństwo. Widzisz w dole następny odcinek torów?

— Nie. Zbocze jest mniej strome. Pójdziemy prosto.

Wbiegliśmy na kolejną alpejską połoninę. Timothy mnie wyprzedził. Widoczność była coraz lepsza, nawet barwy stawały się cieplejsze w promieniach wschodzącego słońca. Przybywało zarośli: grubych krzewów jałowca i górskich rododendronów. Czasem musieliśmy okrążyć stare piargi, od lat porośnięte ostem i wysoką trawą.

Timothy zwolnił, pokręcił głową jak pies nad zgubionym tropem, w końcu stanął. Podbiegłam do niego.

— Co się stało?

— Ani śladu torów. Na pewno miały być tutaj? — Popatrzył na mnie z powątpiewaniem. — A jak je zgubiliśmy? Może skręciły w lewo, na drugą stronę góry? W takim razie jesteśmy w kropce... Gdyby można było choć spojrzeć w dół, na wieś i jezioro, od razu bym rozpoznał okolicę. I co teraz? Wracamy?

— Na pewno nie. Nie wiem, jak mogliśmy przegapić... Tim, stój spokojnie. Robi się coraz widniej... Popatrz tam. Nie, bardziej w prawo... Uschnięte drzewo z rozszczepionym pniem. Takie samo jak to, o którym mówił Balog. Może właśnie tego szukamy? Strzał w dziesiątkę, jak znalazł! Chodź!

Po chwili mnie dogonił.

— Ale gdzie tory? Mówił przecież wyraźnie: „między tunelami”.

— Nie rozumiesz? — rzuciłam przez ramię. — Jesteśmy teraz pewnie nad górnym tunelem... Dlatego nic nie widać. Od dolnego tunelu szyny bieżną w tej wydrążonej w skale rynnie... Założę się, że to tam, u stóp sosny. Zaraz się przekonamy.

Rzeczywiście. Martwa, rozdarta sosna sterczała z niewysokiej skały, a pięć metrów niżej, pod nagimi korzeniami, połykiwała stalowa wstęga torów. Pięćdziesiąt metrów w dół

czerniał wylot jednego tunelu, a w tej samej odległości z drugiej strony — wylot następnego. Byliśmy na miejscu.

— No i proszę — zawołałam. — Dobry radar?

— Wyszukujesz drinki równie łatwo jak prochy? — spytał Timothy. — Vanessa March, pies na narkotyki. Ekstra! Zaczynamy!

Gdy weszliśmy na szczyt skały, żeby lepiej przyjrzeć się drzewu, okazało się, że zadanie nie należy do najłatwiejszych. Obok sosny biegła wąziutka i kręta ścieżka szerokości nie większej niż piętnaście centymetrów, wydeptana zapewne przez cholernie wysportowane kozy. Ktoś z nas musiał na niej stanąć, jedną ręką przytrzymać się pnia, a drugą sięgnąć do niewielkiej dziupli, czerniejącej ponad półtora metra nad skałą.

— Akrobacje w powietrzu — mruknął Timothy. — Dla Sandora to bułka z masłem. Lepiej będzie, jak zdasz się na mnie. Zejdź na dół, rzucę ci paczki.

— Jeśli je znajdziesz.

— Jeśli je znajdę — zgodził się i ostrożnie wsparł nogę na wystającym korzeniu.

Minęłam go i z równą ostrożnością przeszłam kozim szlakiem w bezpieczniejsze miejsce.

Tim znalazł paczki. Uwieszony jak małpa, zdołał wsunąć rękę do dziupli i po chwili wydał zduszony jęk radości.

— Mam! Nie dam rady zajrzeć, ale czuję róg jednej... drugiej... tak, trzeciej...

— Balog mówił, że było osiem. Jedną zdobyłeś w stajni, więc zostało siedem.

— Mam jeszcze jedną, razem cztery. Kurczę, żebym mógł prosto stanąć... Dotknąłbym wtedy dna dziupli. Tak... pięć, sześć... siedem. Nie lubię wsadzać rąk w spróchniałe drzewa. Zawsze mam uczucie, że zaraz będę pogryziony przez jakąś wściekłą wiewiórkę.

— Jeśli Lewis miał rację, aż dziw bierze, że te paczki nie gryzą. Możesz rzucać po jednej?

— Mogę — odparł Tim i po chwili pierwsza część łupu poszybowała w moją stronę.

Miękki, podłużny pakunek, zawierający, jak wyczuwałam pod palcami, kilka o wiele mniejszych zawiniątek. Całość starannie owinięta w nieprzemakalną folię i zaklejona. Sny i śmierć wartości kilkuset tysięcy funtów. Wcisnęłam paczkę do kieszeni.

— Już. Następną proszę.

Spadały regularnie. Schowałam połowę, a resztę odłożyłam na bok, dla Tima.

— Chyba wszystkie — dobiegło z góry. — Siedem?

— Siedem. Nie trudź się, na pewno nie ma więcej. Balog bał się kłamać. Uważaj...

— Nic się nie bój, jestem z plemienia Bandar-log *. Dziupla pusta. Uwaga, schodzę.

Spadł, gdy tylko puścił pień drzewa i stanął na wąskiej ścieżce, lecz albo natrafił stopą na obluzowany kamień, albo pośliznął się na mokrym głazie, dość że sfrunął dalej nogami w dół z nieliczej wysokości. Być może byłby wylądował w niewielkim zagłębieniu, wypełnionym żwirem i odłamkami skały, ale w ostatniej chwili rozpaczliwym wysiłkiem przekręcił się w bok i spadł wprost na tory.

Gruchnął jak wór, bezwładnie, nie zdołał utrzymać równowagi na wystających podkładach i upadł uderzając lewą nogą o szynę. Prawa trafiła jeszcze gorzej: w wystającą zębatkę. Krzyknął z bólu i zastygł wśród rozsypanych paczek z kokainą, które złożyłam na boku.

— Tim! Tim! Co się stało? Zraniłeś się?

Kłęknęłam przy nim. Nie próbował się podnieść, tylko leżał zwinięty na szynach. Głowę wtulił między ramiona, dyszał ciężko i ścisnął prawą nogę.

— Chyba... coś pękło... w stopie... Boże... Złamana kość albo...

* Małpy z „Księgi dżungli” R. Kiplinga.

— Pokaż. Och... Tim...

Zamarłam ze zgrozy. W chwili upadku prawa stopa wśliznęła mu się w szczelinę pod zębatką i utkwiała tam na dobre, zakleszczona na amen i wykręcona pod nienaturalnym kątem.

— Trzymaj się, spróbuję cię uwolnić.

Z całej siły pociągnęłam za but, ale bez skutku. Tim zdołał już się opanować i nie jęczał, lecz na pewno każdy mój ruch zwiększał jego cierpienie.

— Zdejmiemy but, wtedy wysuniesz nogę.

Sznurowadła, rzecz jasna, były nasiąknięte wodą i splątane.

— Trzeba je przeciąć — powiedziałam. — Masz nóż?

— Co?

Tim był błądy jak ściana i opływał potem. Wyglądał tak, jakby miał zemdleć. Sama kiedyś skręciłam kostkę i pamiętam, że prócz bólu chwyciły mnie wówczas nagłe mdłości.

— Nóż. Masz scyzoryk?

Pokręcił głową.

— Nie.

Zagryzłam usta i szarpnęłam odporne sznurowadło. Nie miałam przy sobie nawet pilniczka do paznokci, a noga Tima puchła z każdą chwilą. Po kilku minutach bezskutecznej samotaniny osiągnęłam jedynie tyle, że złamałam paznokieć. Wkrótce, żeby wyjąć nogę, trzeba będzie przeciąć cholewkę — pomyślałam. Zaczęłam grzebać wśród kamieni. Znalazłam jeden z ostrym brzegiem, ale i on nie pomógł. Był za gruby, żebym mogła ustawić go pod właściwym kątem.

— Wydłubię żwir ze spodu. Może w ten sposób się uda.

Niestety. Ledwie odgarnęłam pierwszą warstwę, okazało się, że tory spoczywają na litej skale. Nic nie mogłam zrobić. Bałam się. Noga była na pewno złamana i niepokoił mnie wygląd Tima.

Chłopak pierwszy podsunął jedyne rozsądne rozwiązanie.

— Zostaw mnie. Sama nic nie zdasz. Idź po pomoc. Wszystko będzie dobrze. Mniej boli, kiedy się nie ruszam, a jak do tego obrócę się w tę stronę... o... dużo lepiej. Nic się nie martw. Odsapnę... i spróbuję znowu. Najważniejszy jest Lewis. Zrób, co mówił, i sprowadź ludzi. Możecie po mnie wpaść, schodząc z góry. Idź już.

— Przepraszam, Tim...

— To jedyna rozsądna decyzja — uciął krótko. — W wiosce znajdziesz telefon. Weź broń. Tam leży.

Podniosłam pistolet i wcisnęłam go w rękę Tima.

— Nie chcę. Trzymaj. Idę. Wrócę tak prędko, jak tylko zdołam.

— Nie zapomnij paczek. Najlepiej weź wszystkie. Nie chcę tutaj tkwić wśród kilogramów kokainy, nawet z pistoletem w dłoni. — Zmusił się do uśmiechu. — Powodzenia.

— Trzymaj się.

Odwrociłam się i pobiegłam.

Gdy dotarłam do pierwszych poskręcanych drzew na skraju lasu, wzeszło słońce.

Aż się zdziwiłam, że szopa i łazik stoją na swoim miejscu. Wczesne słońce, prześwitujące przez sosny, usunęło bez śladu nastroj zapomnienia i okraśliło całą scenę barwą złotą oraz głębokiego błękitu. Wdzięczna chociaż za to, minęłam przystanek i wbiegłam na leśną drogę.

Mercedes także czekał. Pod niewielkim kamieniem, tuż przy czerwono-białym muchomorze, znalazłam kluczyki. Wsiadłam do auta, zdjęłam wypchaną kurtkę i rzuciłam ją na tylne siedzenie. Starter zaskoczył bez oporu. Koła zaskrzypiały na żwirze i po chwili jechałam mocno zniszczoną drogą w stronę wioski.

Samochód był ciężki; o wiele cięższy od tych, które prowadziłam dotychczas. Z trudem sobie radziłam na ostrych zakrętach. Przycupnięta za kierownicą, zapomniałam o ko-

nieczności pośpiechu, o zmęczeniu i wszelkich zagrożeniach... Pochłonięta byłam jedynie tym, aby cało przeprowadzić ogromne auto nieprzyjemnym i zdradliwym szlakiem. Nawet nie chciałam myśleć, co by się stało, gdyby nagle z przeciwnej strony ukazał się jakikolwiek pojazd...

Na szczęście nastął już dzień. Zza drzew kładła się na szosie jasna palisada słonecznego światła. Otworzyłam okno, żeby nacieszyć się powiewem rześkiego, niemal słodkiego powietrza. Ptaki zanosiły się śpiewem jak na wiosnę. Zdawało mi się, że z daleka słyszę pianie koguta, a dużo bliżej rozległ się gwizd pociągu. Mimo woli poczułam się lepiej. Wstawał pogodny dzień, koszmar dobiegał końca.

Okrzyżłam pokaźną grupę sosen i wyjechałam na otwartą przestrzeń. Przede mną rozpościerał się pofałdowany ocean zieleni, a nieco dalej połyskiwała wieża kościoła i spokojna tafla jeziora. Tu, nad zagrodą, biła w niebo z komina cienka smużka dymu, tam — już za gęstym pasmem drzew — buchały czarne kłęby, pewnie z jakiejś fabryczki lub warsztatu. W świetle ranka sielankowy pejzaż nie zawierał w sobie nic groźnego. Miałam tylko wjechać do ślicznej wsi i odszukać hotel. Tam już wszyscy będą na nogach, będą rozmawiać ze mną po angielsku i ochoczo podsuną telefon...

Ostrożnie pokonałam ostatni zakręt i wjechałam na prosty odcinek szosy, między stacją a wioską. Zaraz jednak zahamowałam, gdyż spostrzegłam, że furtka na peron jest otwarta, a przed maleńką kasą uwija się z miotłą człowiek w granatowym uniformie. Tuż obok czekał pociąg: zabawna lokomotywa plus trzy wagony. Bez wątplenia na stacji był telefon.

Kolejarz ujrzał mnie, przerwał zamiatanie i uniósł głowę. Wychyliłam się przez okienko.

— Mówi pan po angielsku?

Przyłożył dłoń do ucha, potem z denerwującą powolnością odłożył miotłę i zaczął dreptać w moją stronę.

Nie wiedziałam, czy jechać dalej, by niepotrzebnie nie

tracić czasu, czy też jednak za wszelką cenę dostać się do telefonu. Wskoczyłam z auta i podbiegłam na spotkanie dróżnika.

— Mówi pan po angielsku?

Chyba powiedział „nie” i dodał jeszcze coś kompletnie niezrozumiałą niemczyzną, ale przestałam go słuchać.

Na maleńkiej stacji były dwie bocznice. Na jednej nadal stał pocieszny parowóz gotów popchnąć trzy wagony na stromą trasę, druga była pusta. Z tego miejsca błyszcząca wstęga szyn wiodła wprost pod górę i znikiała w sosnowym lesie. Stamtąd właśnie, zza drzew, buchał w niebo smolisty dym, który wcześniej uznałam za ślad pracy jakiejś fabryczki. Przypomniałam sobie dwie rzeczy: krótki wykład Josefa o „ogniowozie”, czyli „Ognistym Eliaszu” i gwizd, który usłyszałam trzy minuty temu.

Odróciłam się do dróżnika i wskazałam na zbocze.

— To! Tam! Pociąg? Pociąg?

Dróżnik był nie najmłodszy, miał oklapnięte wąsy i załzawione niebieskie oczy, zazwyczaj otoczone siecią drobnych zmarszczek, lecz o tak wczesnej porze zaspane i opuchnięte. Popatrzył na mnie z kompletnym niezrozumieniem. Pokazałam gwałtownie na dym, na stojący pociąg, na tory i na fragment lasu. Jednym słowem odegrałam wariacką pantomimę. Potem stuknęłam palcem w nadagarstek.

— Czas... pierwszy pociąg... o siódmej... *Sieben Uhr...* pociąg... jedzie?

Dróżnik wyciągnął dłoń w stronę stacji. Dopiero teraz zauważyłam zegar. Wskazywał wpół do szóstej. Dróżnik powtórzył mój wcześniejszy ruch, skinął w stronę dymu i ponownie zasypał mnie gradem obcych słów.

Nie musiał tego robić. Dym rzeczywiście sunął wolno, lecz nieprzerwanie wśród drzew, a teraz, nieco wyżej, tuż nad ścianą słonecznej zieleni zobaczyłam lokomotywę — taką samą jak ta na stacji, ale tylko z jednym wagonem. Nawet nie wagonem, a jakąś platformą...

Stary dróżnik zamruczał:
— *Gasthaus... Cafe...* — i na migi pokazał pociąg stojący na peronie.

Zrozumiałam go, jakby mówił najczystszą angielszczyzną. Rozkład, który czytałam, był przeznaczony wyłącznie dla turystów. Pierwszy pociąg rzeczywiście odchodził o siódmej. Nikt nie wspomniał jedynie, że o wpół do szóstej szła dostawa zapasów do gospody.

Niemiecki, nie niemiecki, tego akurat nie załatwię przez telefon — pomyślałam. Stary dróżnik mówił łagodnie, wolno i z namaszczeniem, najwyraźniej zadowolony, że o tak wczesnej godzinie znalazł słuchacza. Chyba powiedziałam „dziękuję” i uciekłam, a on wciąż gadał w próżnię.

Dzięki Bogu, przed stacją było dość miejsca, by zawrócić. Mercedes zakołował jak bumerang i pognął wyboistą drogą. Prowadziłam tak pewnie i szybko, jakbym nagle przeniosła się na środek Strada Del Sol.

ROZDZIAŁ XXI

*Owoce najwznioślejszych działań jest
Najbardziej niedorzeczny kres.*

Samuel Butler:

„Satyra na słabizne i mizerote czleka”

Dobrze, że pod górę jechało się łatwiej niż na dół.

Zjeżdżając, byłam tak pochłonięta obserwowaniem drogi, że nie zwracałam uwagi na otoczenie. Podczas nocnej podróży z Lewisem borykałam się z mapą i z latarką. Teraz, kiedy wielki mercedes gnał jak strzała po koszmarnych wertepach, desperacko próbowałam sobie przypomnieć, w którym miejscu szosa zbliżała się do torów.

Pamiętałam tylko dwa takie miejsca. Kilka zakrętów za stacją obie trasy przez kilkadziesiąt metrów biegły wzdłuż siebie, potem, przed stromą skałą, szyny skręcały w lewo, na samą krawędź zbocza, a szosa odchodziła w prawo i szerokim łukiem wracała na skraj lasu. Drugi raz spotykała tory dopiero na samym końcu. I tylko tam mogłam złapać pociąg.

Na zdrowy rozum raczej nie miałam szans zdążyć, ale już dawno przestałam o czymkolwiek myśleć. Zwłaszcza o tym, co by się stało, gdyby ciężkie auto nie weszło w któryś ze zdradliwych zakrętów. Nie traciłam też czasu na zmianę biegów; prulałam na dwójce i ścinałam wiraże, nie zważając na opony i lakier. Potem odkryliśmy wgnieciony kołpak i długą rysę na całym boku, ale dalibóg nie wiem, jak to

zrobiłam. Usiłowałam jechać możliwie najszybciej, chociaż na dobrą sprawę nawet nie pamiętałam, ile czasu trzeba, żeby dotrzeć do ostatniego przystanku kolejki.

Piąty lub szósty zakręt, łagodniejszy niż pozostałe, wyprowadził mnie na długi, w miarę prosty, lecz nie mniej wyboisty odcinek, poprzecinany jasnymi plamami słońca, prześwitującego przez gałęzie sosen. A na wprost siebie zobaczyłam skłębioną, gęstą chmurę czarnego dymu.

Wcisnęłam gaz do dechy. Cienie drzew zmieniły się w rozmazaną szarą smugę. Nagle z lewej strony na spotkanie szosy wybiegły błyszczące szyny.

Prawie sto metrów jechałam wzdłuż torów. Były puste, lecz czarny dym wciąż wisiał wśród gałęzi. Zwolniłam trochę i wychyliłam się przez okno. Wytężałam wzrok, by spojrzeć jak najdalej, tam, gdzie szyny znowu znikwały w lesie i gdzie stroma skała przesłaniała słońce.

Jest... Zobaczyłam kanciasty, czarny tył parowozu ze zwisającą lampą: rozkołysane, czerwone oko, migoczące wątlm światłem w gęstym tunelu drzew. A w górze wściekle buchające kłęby dymu.

Pociąg sunął powoli po tak spadzistym zboczu, że widziałam fragment wagonu nad dachem lokomotywy, a jeszcze wyżej niewielki kawałek zębatki. W parowozie siedziało dwóch ludzi: jeden spoglądał w przód, na tory, drugi zajmował się czymś, co przypominało butelkę piwa. Z całej siły wdusiłam klakson.

Muszę przyznać jedno: mercedes miał głos jak trąba jerychońska. Ognisty Eliaszdudnił ile wlezie, ale mój sygnał ścinał drzewa w lesie.

Obaj kolejarze rozejrzeli się zaskoczeni. Wychyliłam się, ile mogłam, i choć w tych warunkach nie mieli szans mnie dosłyszeć, zaczęłam machać, wykrzykując jedyne niemieckie słowo, jakie mi przyszło do głowy:

— *Achtung! Achtung!*

Minęło kilka nieskończenie długich sekund, zanim jeden

z nich — maszynista — sięgnął, jak mi się wydawało, do hamulca.

Parę metrów dalej szosa odbijała od torów. Zwolniłam, lecz nie przestawałam machać.

Maszynista pociągnął za jakąś dźwignię czy sznurek. Uruchoił gwizdek. Pociąg pozdrowił mnie radosnym *tuuut!* Palacz przyjacielsko pokiwał butelką. Jeszcze jeden gwizd i parowóz zniknął w lesie.

Do dziś nie wiem, jak mi się udało utrzymać mercedesa na szosie. Weszłam w zakręt w ostatniej chwili, odskoczyłam od torów i pomknęłam wzdłuż ściany drzew. Wciąż miałam jeszcze jedną szansę i wierzyłam, że zdołam ją wykorzystać. Pociąg jechał co prawda nieco krótszą drogą, lecz samochód był szybszy i mógł na czas dotrzeć do przystanku...

Lepiej, żeby tak było. Myślałam tylko o tym, jak powiadomić kolejarzy, że na torach leży ranny chłopiec. Tim na pewno słyszał nadjeżdżający pociąg i przeżywał najgorsze chwile.

Na szczęście z każdym metrem, z każdym kolejnym zakrętem, coraz lepiej poznawałam mercedesa i prowadziłam coraz płynniej. Szosa wydawała mi się już o wiele szersza i mniej stroma. Nie wiem, z jaką prędkością pokonałam sześć lub siedem końcowych fragmentów serpentyny, lecz cała góra jak zdmuchnięta zniknęła mi z oczu i nagle zobaczyłam magazyn kryty blachą i tuż za nim srebrzyście połyskujące szyny.

Pociągu nie było widać.

Auto bzyknęło na ostatnim zakręcie niczym pszczoła wracająca do ula i z piskiem opon, wśród fontanny tryskających spod kół kamieni, stanęło niecały metr od szopy. Wyskoczyłam zza kierownicy i podbiegłam do torów.

Udało się. Smuga dymu widniała nad drzewami jakieś pięćset metrów niżej i dostojnie, bez zbędnego pośpiechu, sunęła w moją stronę. Żaden z kolejarzy jeszcze mnie nie widział; pas drzew kończył się dopiero pięćdziesiąt metrów

przed przystankiem. Jak ich zatrzymać? — myślałam rozpaczliwie. — Może zatrąbić, pomachać, dać sygnał... Gdybym tylko miała coś czerwonego...

Tak, ale już raz widziałam, jak zareagowali na moje trąbienie. I na machanie. Cała scena jak żywa stanęła mi przed oczami: uśmiechy, świst pary i rozbujana czerwona lampa z tyłu znikającego za zakrętem pociągu...

Czerwona lampa. Miałam jeszcze mercedesa. Skoczyłam za kierownicę. Ledwie zdążyłam trzasnąć drzwiami, kiedy kłęb dymu buchnął tuż po lewej i zza drzew wychynął tępy nos platformy. Włączyłam reflektory, wdepnęłam sprzęgło i wyjechałam wprost na szyny.

Przednie koła podskoczyły na metalowej wstędze. W pierwszej chwili myślałam, że utknę bokiem, ale udało mi się wykręcić. Włączyłam wszystko: światła stopu, migacze i z całej siły nacisnęłam klakson. Wolną ręką otworzyłam drugie drzwi. Postanowiłam, że podpuszczę pociąg na dwadzieścia pięć metrów, a potem umknę z auta niczym spłoszony królik. Jak mnie nie zauważą, z mercedesa zostanie kupa złomu. Kolejka nie powinna ucierpieć. Wczepiona w zębatkę, wyszłaby ze zderzenia bez szwanku.

Skąd mi przyszło do głowy, że pociąg jedzie wolno? W tej chwili byłam przekonana, że pędzi z szybkością ekspresu. Czarny dym zasnuwał okolicę, już słyszałam ciężkie dyszenie tłoków i stukot kół głośniejszy niż moje trąbienie. Trzydzieści pięć metrów. Trzydzieści. Chyba rozległ się jakiś okrzyk. Oderwałam rękę od kierownicy i skoczyłam do drzwi. Głośno zadzwięczał dzwonek, świsnęła para. Odbiegłam kilkanaście kroków od samochodu.

Z przenikliwym zgrzytem hamulców, przy akompaniamencie gwizdów i gniewnych okrzyków Ognisty Eliasza stanął niecałe siedem metrów przed mercedesem.

Obaj kolejarze wyskoczyli z parowozu i podbiegli do mnie. Trzeci — j a k się okazało, obserwator — zszedł z platformy. Palacz wciąż ścisnął butelkę piwa, lecz tym razem

była to groźna broń, której najwyraźniej zamierzał użyć. Wszyscy mówili naraz, wrzeszczeli po niemiecku — a to chyba najlepszy język do wyrażenia złości. Przez pełne pół minuty nie zdołałabym ich przekrzyczeć, nawet gdybym była rodowitą Austriaczką. Stałam więc w milczeniu, z wyciągniętymi rękami, jakby w niemej obronie przed groźną butelką.

Wreszcie doczekałam się chwili przerwy.

— Przepraszam — powiedziałam z rozpaczą. — Przepraszam... Musiałam to zrobić. Na torach leży chłopiec... młody człowiek... eee... *Jungę*... na *Eisenbahn*. Ranny. Przepraszam... Rozumiecie?

Ten z butelką spojrzął na najbliższej stojącego kolegę, barczystego mężczyznę w ciemnoszarej koszuli, starych spodniach i miękkiej czapce z daszkiem. Jednym słowem, na maszynistę.

— *Was meint sie?*

Maszynista zaszargotał coś krótko, po czym zaczął mówić burkliwą, łamaną angielszczyzną, która w moich uszach brzmiała cudowniej niż głos Giełguda recytującego Szekspira.

— Wy pani zupełnie głupia? Nie ma chłopiec na szynach. Auto jest na szynach. I dlaczego? Pytam, dlaczego?

— Mówi pan po angielsku? Dzięki Bogu! Niech pan słucha, *mein Herr*... Przykro mi, że musiałam zatrzymać pociąg...

— *Ja, zatrzymać*. To niebezpieczne. To musi się dowiedzieć policja. Mój brat jest policja. On będzie rozmawiał z pani. Za to trzeba płacić. *Herr Direktor*...

— Tak, tak. Wiem. Zapłacę, ale teraz proszę posłuchać. To bardzo ważne. Potrzebuję pomocy...

Nagle stał się całkiem innym człowiekiem. Kiedy ochłonął ze słusznego gniewu, zauważył na mojej twarzy ślady przygód ostatniej nocy, sińce oraz zmęczenie, a co więcej, wyraźny strach o Tima. Z rozsierzonego byka zmienił się w łagod-

nego olbrzyma o niebieskich oczach. Patrzył na mnie przez chwilę, potem spytał:

— Jest kłopot, tak? Jaki kłopot? Dlaczego pani zatrzymuje pociąg? Niech mówi.

— Na torach leży chłopiec, mój znajomy. Chyba złamał nogę. — Najlepiej jak umiałam pokazałam, co zaszło. — Leży na torach. Nie może uciec. Bałam się. Musiałam was zatrzymać. Rozumie pan? Rozumie?

— Tak, rozumiem. Chłopiec szeroki?

— Nie. Raczej szczupły — zająknęłam się. — Chłopiec jaki?

— Szeroki. — Maszynista wskazał przed siebie, na tory. — Nie te słowo? Po niemiecku *weit*. Szeroko stąd?

— Ach... czy daleko? Nie, całkiem blisko... Tuż za tunelem. Pierwszy tunel...

Jak, u diabła, pokazać na migi tunel? Machałam dłońmi jak najęta, aż w końcu wyjaśniłam wszystko... albo maszynista uznał, że wystarczy mu tej rozmowy.

— Pokaże pani gdzie. Teraz wypchamy auto.

We trzech bez trudu poradzili sobie z mercedesem. Nawet nie próbowałam im pomóc. Ogarnęła mnie taka słabość, że usiadłam na stercie starych podkładów i patrzyłam bez słowa, jak samochód Lewisa zaczyna się kołysać i z wolna, metr po metrze odjeżdża na bok. Dwóch kolejarzy wzięło mnie pod pachy i wniosło niczym paczkę do kabiny lokomotywy. Buchnął smolisty dym, zazgrzytały tryby i Ognisty Eliasz potoczył się w dalszą drogę.

Podejrzewam, że każdy z nas, chłopiec czy dziewczyna, choć raz w życiu marzył, by poprowadzić pociąg. Teraz, kiedy pozbyłam się zdenerwowania, poczułam dziwną radość z niecodziennej wycieczki. Ze wszystkich lokomotyw, jakie widziałam, ta nie była może najbardziej okazała, lecz najfajniejsza: żywy relikwiarz dziewiętnastego wieku, obdarzony zapomnianym urokiem dziecięcej zabawki. Pochylony kształt, śmieszny i patetyczny, kiedy maszyna

stała na równinie, w górach sprawdzał się znakomicie, gdyż poziomował podłogę kabiny. Tender był krótki i czarny, komin przesadnie duży, a całość oplatana niewiarygodną pajęczyną rur, przewodów oraz instrumentów niewiadomego przeznaczenia. Czarny kadłub, czerwone koła, wszystko pokryte pyłem, cholernie hałaśliwe i piękne. Gdyby silnik parowy powstał w czasach baroku, nie stworzono by nic lepszego.

Wkrótce wyjechaliśmy z lasu. Blask porannego słońca legł na torach, upodabniając je do głębokiej rysy, wyłobionej w białym wapieniu. Minęliśmy otwarty fragment zbocza, porośnięty jedynie trawą i kwitnącą goryczką, a potem trafiliśmy w skalną rynnę. Pobieźnie ociosane głązy sięgały na wysokość dachu. Były tak blisko, że mimo woli cofnęłam się w głąb kabiny, ale tuż przedtem, może sto metrów przed nami ujrzałam czerniejący wylot tunelu.

Krzyknęłam ostrzegawczo, choć niepotrzebnie, do maszynisty, a ten z uśmiechem skinął głową i dał znak, żeby teraz nie wysuwała głowy. Mógł sobie zaoszczędzić fatygi; już się zdążyłam schować. Tunel wydawał się niemiły i zbyt wąski, by pomieścić pociąg. Gdy wjechaliśmy w ciemność, byłam pewna, że bok parowozu sunie zaledwie trzydzieści centymetrów od ściany.

Tunel ciągnął się w nieskończoność. Gdybym go miała drążyć, nie byłby pewnie obszerniejszy od tego, ale teraz odnosiłam wrażenie, że jestem nitką przepychaną przez ucho igielne. Huk tłoków stawał się nie do zniesienia, a skalne ściany tysiącrotnie odbijały echem ciężkie sapanie maszyny. Do tego para. Po dwudziestu sekundach od wjazdu do tunelu kabina zaczęła przypominać łaźnię parową, w dodatku brudną. Szlag mnie trafiał, a kiedy maszynista pociągnął za dźwignię i zmniejszył szybkość, miałam ochotę — bez względu na Tima — wrzasnąć na niego, by jak najprędzej wyprowadził nas z tego piekła zgrzytów, spiekoty i mroku. Byłam pewna, że bez mojego wcześniejszego ostrzeżenia

zaden obserwator — nawet jeśli miał oczy przywykłe do ciemności — nie zdążyłby na czas zobaczyć leżącego na torach człowieka.

Przez tłuste kłęby dymu wypełniającego tunel przedarł się pierwszy promień światła. Dostrzegałam już wypukłości i rysy na kamiennych ścianach. Pojaśniało. Oddychałam swobodniej. Przysunęłam się bliżej okna, by wyrzeć i popatrzyć wprost w słońce. Czarny cień tunelu prześliznął się po platformie, parowozie i został z tyłu.

Jęknął dzwonek. Znów usłyszałam zgrzyt hamulców oraz przenikliwy pisk metalu trącego o metal. Pociąg stanął z głębokim westchnieniem i urywanym sykiem ulatującej pary. Sapał na cichym wzgórzu niczym rozgrzany czajnik.

Chwyliłam się poręczy i zeskokczyłam na tory.

— Tim! Tim! To ja! Wszystko w porządku?

Leżał w tym samym miejscu, z zakleszczoną nogą, zwinięty w kłębek, jakby za wszelką cenę próbował zająć jak najmniej miejsca. Chyba się łudził nadzieją, iż tak zdoła skulić swe długie ciało, że gdy dojdzie do najgorszego, pociąg przetoczy się nad nim. Blady, kiedy go zostawiałam, teraz wyglądał jak upiór, ale na dźwięk mego głosu usiadł i nawet zdobył się na wąty, chociaż radosny i pełen ulgi uśmiech.

Klęknęłam przy nim.

— Wybacz... Od dawna słyszałeś pociąg? Nic więcej nie mogłam zrobić.

— Nieco... melodramatu nie zaszkodzi. — Usiłował mówić spokojnie, choć jeszcze nie panował nad drżeniem głosu. — Czuję się jak Pearl White. Już nie będę chichotał na starych filmach. — Uniósł głowę. — Całkiem niezły pomysł. Środek transportu i posiłki dla Lewisa. Wszystko za jednym zamachem. Pozwolili ci poprowadzić?

— Nawet nie poprosiłam. Może ty to zrobisz, kiedy będziemy zjeżdżać.

Wsparłam go ramieniem, żeby wygodniej usiadł. Kolejarze przybiegli tuż za mną. Tim zebrał się w sobie i sięgnął do

swej znajomości niemieckiego, ale żadne wyjaśnienia nie były już potrzebne. Maszynista i obserwator rażno wzięli się do roboty i w parę sekund przecięli sznurowadła, a potem delikatnie rozpruli skórzaną cholewkę buta, ciasno opinając spuchniętą nogę. Palacz także znalazł się na rzeczy. Wrócił do pociągu, poszperał na platformie i po chwili podszedł do nas z płaską zieloną flaszką, którą odkorkował i podał Timowi. Mruknął coś po niemiecku.

— Butelka, ona na koszt *Gasthaus* — wyjaśnił maszynista. — Johann Becker nie mówi nie.

— Na pewno — odparł Tim. — Co to takiego?

— Koniak — powiedziałam. — Wypij, to ci pomoże, ale na litość boską zostaw choć trochę. Sama bym opróżniła pół flaszki.

Butelka zatoczyła krąg — kolejarze byli równie przejęci jak my — potem nogę Tima na powrót umieszczono w zniszczonym bucie i pomalutku poczłapaliśmy do pociągu.

Na platformie piętrzyła się sarta pudeł i paczek, ale znalazło się dość miejsca dla dwóch dodatkowych osób. Siedliśmy na podłodze, a maszynista dokładnie zamknął barierkę.

— Jedziemy do gospody — powiedział po niemiecku do Tima. — Frau Becker zajmie się twoją nogą, a Johann da wam śniadanie.

— Jeśli macie czym płacić — kwaśno wtrącił obserwator.

— W tym moja głowa — uspokoił go maszynista.

— O co chodzi? — spytałam Tima.

Przetłumaczył całą rozmowę.

— Wątpię, żeby było śniadanie — mruknęłam — ale pojedziemy z nimi. Nie mogliśmy trafić lepiej. Brat maszynisty jest policjantem, a z tego, co słyszałam, żaden z nich nie pała zbyt dużą sympatią do Beckera. Chyba będzie lepiej zawczasu im wyjaśnić, że w gospodzie mój mąż z bronią w rękę pilnuje przemytników i że choćby z poczucia obywatelskiego obowiązku powinni nam pomóc do czasu przybycia policji.

— Spróbuję. Teraz?

— Zanim wyruszymy. Potem cię nie usłyszą. Ognisty Eliasz uwielbia mocne wejścia. No, zaczynaj... Poradzisz sobie? Na ile znasz niemiecki?

— Zaraz się okaże. Jak będzie „kokaina”?... Co się stało?

— Kokaina — powtórzyłam tępo. — Zupełnie o niej zapomniałam. Zostawiłam ją w kurtce, na tylnym siedzeniu auta.

— Co takiego?! Spokojnie... Samochód jest zamknięty...

— Nie. Prawdę mówiąc, kluczyk wciąż tkwi w stacyjce.

Z przerażeniem popatrzyliśmy na siebie, potem jednocześnie wybuchnęliśmy śmiechem. Chichotaliśmy głupio, do łez, do bólu brzucha, a nasi trzej austriaccy przyjaciele obserwowali nas ze współczuciem, od czasu do czasu pociągając łyk koniaku.

— Mam nadzieję — wykrztusił w końcu Tim i otarł oczy — że na tyle znasz angielski, żeby wszystko wyjaśnić Lewisowi.

Tak więc Lewis, siedzący na skraju stołu w kuchni Frau Becker, popijający kawę i pilnujący rzeczonyj Frau Becker, jej męża i kompana męża, został uwolniony od przykrych obowiązków nie przez grupę twardych agentów o stalowym wejrzeniu — czego zapewne oczekiwał — ale przez paru amatorów, z których dwoje przejawiało zadziwiająco dobry humor, a od wszystkich razem podejrzenie załatwywało koniakiem z zapasów Herr Beckera.

Minęły cztery godziny.

Odzyskaliśmy kokainę, jeńcy trafili wreszcie w ręce twardych agentów o stalowym wejrzeniu, a zmaltretowany mercedes odwiózł nas bezpiecznie do Schloss Zechstein, gdzie noga Tima została nastawiona przez lekarza, mówiącego coś o zwichnięciu i całodniowym leżeniu w łóżku. Wzięłam gorącą kąpiel, potem zaś (krucha i delikatna) zwiwnym krokiem podeszłam do łóżka, nie zważając na gniewne

pomruki Lewisa, który zdążył już zrzucić podartą marynarkę i przetrząsał walizkę w poszukiwaniu brzytwy.

Nagle sobie coś przypomniałam.

— Lee Elliott! — zawołałam. — Tak się przecież wpisałeś do księgi meldunkowej!

— Nigdzie się nie wpisałem. Jakaś dama w recepcji o coś mnie pytała, ale powiedziałem „później” i wsiadłem do windy. — Cisnął sweter w kąć i rozpiął koszulę. — Lokaj niósł co prawda walizkę gdzie indziej, więc mu ją zabrałem i przyszedłem tutaj.

— Lewis... zaczekaj chwilę... Nie uważasz, że lepiej będzie, jeśli pójdziesz na dół i wyjaśnisz to całe zamieszanie?

— Jak na jeden dzień mam dość wyjaśnień. To akurat może poczekać do rana.

— Już jest rano.

— Do jutra rana.

— Ale... przestań. Bądź poważny, już po dziesiątej. Jeśli ktoś wejdzie...

— Nie wejdzie. Zamknąłem drzwi. — Uśmiechnął się i posłał koszulę w ślad za swetrem. — Do kontaktów ze światem wystarczy nam telefon. Ale o tym później. Teraz... Teraz, moja droga, chcę się wykąpać i ogolić. I... pamiętasz, co powiedział lekarz? Cały dzień w łóżku. Dla zdrowia wszystkich.

— Chyba masz rację — odparłam.

EPILOG

*Jego rżenie jest jak rozkaz monarszy, a jego postawa
godna jest holdu.*

Szekspir: „Król Henryk Piąty” *

Wnętrze połyskiwało bielą i złotem jak sala balowa. Ogromny kryształowy żyrandol płonął tysiącem światła na kształt krętego ornamentu, a przez wysokie okna wpadał blask wrześniego słońca. Tylko zamiast woskowanej podłogi była szeroka przestrzeń wysypana piaskiem i trocinami. Początkowo starannie zagrabiona, teraz nosiła wyraźne ślady tańca białych rumaków.

Sala opustoszała. Pięć ogierów wybiegło przez szeroko otwarte drzwi po drugiej stronie i zniknęło w korytarzu wiodącym do stajni. Umilkły ostatnie takt menueta Boccheriniego.

Wśród tłumnie zgromadzonych widzów zapanowało lekkie poruszenie. Widownia była wypełniona do ostatniego miejsca. Stojący na galerii wyciągali szyje, usiłując coś dostrzec ponad głowami innych. Zewsząd dobiegały głośne szepty i szelest wertowanych programów. Siedzący obok mnie Tim pochylił się nerwowo, za to Lewis, spokojny i opalony, z zainteresowaniem czytał program, jakby nie wiedział, że dziś właśnie, w skąpany słońcem niedzielny

* przekł.: Zofia Siwicka

ranek, wielki Neapolitano Petra miał na nowo wystąpić w Hiszpańskiej Szkole Jazdy, w asyście samego dyrektora, i że na wieść o pokazie ściągnął tu cały Wiedeń.

Zajaśniały światła w korytarzu. Uchylono zaporę. Wkroczył koń z nieruchomością jak posąg siedzącym jeźdźcem. Szedł czujnie, nastawiając uszy i rozdymając nozdrza, z nieopisanie szlachetną dumą, spod której przebijała radość.

Okrzyknął salę zgrabnym krokiem, tym wspanialszym, że bez tętentu, gdyż muzyka i miękka ściółka głużyły odgłos kopyt. Rumak mknął lekko niczym łabędź na pełnych skrzydłach. Blask słońca migotał na jego białej sierści, z której już dawno zniknął nawet najmniejszy ślad czarnej farby. Jedwabista grzywa i ogon powiewały jak śnieg w podmuchach wiatru.

Muzyka zmieniła ton. Dyrektor sztywno tkwił w siodle. Stary ogier parsknął, dmuchnął w ziemię i wykonał wraz z jeźdźcem pierwszą akrobację w powietrzu.

Wkrótce było po wszystkim. Rumak zastrzygł uszami, wsłuchany w burzę oklasków. Rozgorączkowane widzowie zrywali się z miejsc. Jeździec zdjął czapkę, by złożyć tradycyjny ukłon przed portretem cesarza, ale nie odpowiadał na owacje, jak gdyby podkreślając umiejętności konia.

Stary Srokacz pochylił łeb. Stał od łoży nie dalej niż dwa metry i patrzył (jak sądziłam) wyłącznie na nas. Ale tym razem nie parsknął powitalnie, nawet nie łypnął okiem. Był skupiony, zatopiony w sobie, przejęty dawną dyscypliną, która leżała na nim gładko jak druga skóra.

Cofnął się, zatoczył krąg i w huraganie braw opuścił salę. Zamknięto drzwi, przygaszono światła. Białe ogier potruchtał tam, gdzie nad żłobem wypisano jego imię i gdzie zawsze czekała świeża wiązka siana.